I. 128.605

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Tom III.

	zlr.	ct.
Dr. Antoni J. Trzy opowiadania historyczne, 1 tom	1	80
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3	—
1.) Pod Pół księżycem. 2.) Książę Sarmacji. 3.) Odwiedziny monarsze. 4.) Na kresach. 5.) Dwór Tulczyński. 6.) Losy pięknej kobiety. 7.) Tynna w końcu XVIII. wieku.		
— Nowe opowiadanie historyczne	3	—
1.) Pod krzyżem. 2.) Losy kresowego miasteczka. 3.) Wartabiet. 4.) Zemsta kozacza. 5) Porwanie króla. 6) Niedeszle legiony.		
— Tadeusz Leszczyc Grabianka, Starosta Liwski	1	80
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5	60
BIBLIOTEKA POLSKA: Każdy tom broszurowany 1 złr. 80 ct., w oprawie	2	30
I. II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy.— III.—VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII.—X. **Zaleski, B.** Poezje. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. **Niemcewicz, J.** Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII.—XVI. **Słowacki, Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra. A. Małeckiego. — XVII.—XVIII. **E...ly,** (Asnyk Adam.) Poezje, 2 tomy.		
Bolesławita, B. Hybrydy, powieść współczesna	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna.	2	40
— Pamiętnik panicza — Dziennik Serafiny	2	40
— Nad modrym Dunajem, Nowella	2	40
Chlędowski, J. Sylwetki społeczne	2	40
Jeż, J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2	40
Kaczkowski, Karol. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozostałych po ś. p. K. K. gen. szt. lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski, 2 t.	4	20
Kantecki, K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1	20
— Z podróży Oświęcima	1	80
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tom.	3	60
Lemcke, K. Estetyka, 2 tomy	6	—
Liske, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i Pamiętniki.	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego	2	80
Listy Juliusza Słowackiego 1830—1848, 2 tomy	5	—
Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt., opracowane przez lwowskie grono człon. komisji histor. tejże Akademji	12	—
Niewiarowicz, A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu.	2	20
Opowiadania historyczne przez K. S. Bodzantowicza	3	—
1.) Wieczór przy kominku. 2.) Fatum 3.) Muszkieter. 4.) Sierota, wspomnienie z przeszłości. 5.) Opowiadania pani strażnikowej. 6.) Pan Gajeski, gawęda szlachecka. 7.) Kasper Cieciszowski, arcybiskup mohilowski i metrop. całej Rosyi.		
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku	1	80
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2	40
Wilkońska, P. Na Teraz. Powieść	2	40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji	2	60
Zakrzewski W. Powstanie i wzrost reform. w Polsce	2	40
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3	20

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

CHRONOLOGICZNYM PORZĄDKIEM

DO DRUKU UŁOŻONE

przez

Dr. ANTONIEGO MAŁECKIEGO

TOM III.

LWÓW
Nakładem księgarni
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA
1880.

BIBLIOTEKA NARODOWA
I.128.605
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005088168

Z DRUKARNI K. PILLERA.

lt 2as

MAZEPA

TRAGEDYA W 5. AKTACH.

Osoby.

KRÓL JAN KAZIMIERZ.
MAZEPA, dworzanin Króla.
WOJEWODA.
AMELIA, żona Wojewody.
ZBIGNIEW, syn Wojewody z pierwszego małżeństwa.
CHMARA
CHRZĄSTKA } dworzanie Wojewody.
KASZTELANOWA.

Pokojowi królewscy, Szlachta, ludzie Wojewody, Ksiądz, itd.

Scena w zamku Wojewody.

Akt I.

SCENA I.

Sala oświecona jak na bal.

WOJEWODA, ZBIGNIEW, potem KASZTELANOWA.

WOJEWODA.

A przy moździerzach trzymać zapalone lonty.
Waść mi, panie Zbigniewie, synu, zajrzyj w kąty,
Czy wszystko jak potrzeba na królewskie gody?

Do wchodzącéj Kasztelanowéj.

Mościa kasztelanowo, mam wielkie powody
Cieszyć się, że cię widzę w zdrowiu i w świeżości.

KASZTELANOWA.

Jakże mi pięknie zamek wygląda waszmości,
Co lamp! co pozłotowin! — A gdzie aści żona?

WOJEWODA.

Dotychczas nie gotowa i nie przystrojona —
A to mój syn zastąpi ją tu przy asindźce.
Pójdę tymczasem z wieży zajrzeć na gościńce,
Czy się już król nie toczy po drodze lipowéj.
Zbigniewie, atentuj się waść kasztelanowéj
I baw jaśnie wielmożną.

KASZTELANOWA, do Zbigniewa.

Waść przyjeżdżasz z Padwy?

ZBIGNIEW.

Nie, mościa dobrodziejko, już z wojska.

KASZTELANOWA.

Doprawdy?
Waść w wojsku?

ZBIGNIEW.

Tak, rotmistrzem zostałem pancernym.

KASZTELANOWA.

Strzeż mi się waść, bo zaraz zostaniesz niewiernym,
Płochym uwodzicielem, jak wszyscy rotmistrze.

ZBIGNIEW.

Broń Boże!

KASZTELANOWA.

Masz oczęta, co się błyszczą bystrze,
Ale coś trochę mgliste i afekcyonalne.
I cóż to jest waćpanu... ot, w pancerz cię palnę
Wachlarzykiem i wszystko serduszko wyśpiewa.
Mówże mi co o Włoszech asińdziej.

Słychać zgiełk za sceną.

WOJEWODA.

Cholewa!
Panie Cholewa, co tam za wrzask? Panie Chmara!
Mości Chrząstko! czy wszystkich dyabli wzięli? — Wiara!
Szablice dzwonią, trzeba iść pacyfikować.

Wychodzi.

SCENA II.

ZBIGNIEW, KASZTELANOWA, PAN CHRZĄSTKA wchodząc innymi drzwiami.

CHRZĄSTKA.

Gdzie Wojewoda?

KASZTELANOWA.

Chciej nas waść zainformować,
Co to za krzyk?

CHRZĄSTKA.

Zdarzenie, mościa dobrodziejko,
Bardzo smutne.

KASZTELANOWA.

A powiedz że?

CHRZĄSTKA.

Bryka za bryką
Wjechała na dziedziniec, mościa dobrodziejko.
Z tych bryk wysiadło szlachty, panów co niemiara.
Jednych prowadził pan marszałek ziemski Szczara,
Lubomirszczyk zajadły, rokoszanin, śmiałek;
Drugim pan Olgopolski przywodził, marszałek,
Babińcowym nazwany, bo trzyma z królową.
Zeszli się, mościa pani, przed bramą zamkową
Owi dwaj marszałkowie, a każdy jak patron
Caudy swéj przyjacielskiéj, *amicus* i matron.

KASZTELANOWA.

Proszę waćpana, nie leź w łacinę jak w błoto.

CHRZĄSTKA.

Obu więc tym marszałkom przeciwnym szło o to,
Który z nich krok najpierwszy ma mieć do przedsienia;
Lecz jako oba grzeczni, więc bez ubliżenia
Jeden drugiemu, oba, mając czapki w rękach,
Nuż się kłaniać, we dwoje giąć się, jak na mękach;
Próżno obu łysiny mroził księżyc chłodny,
Jeden krzyczał: niegodny — i drugi: niegodny!
I byłyby na wieki trwały te respekta,
Gdyby jeden z baczących na te kontrefekta
Jezuickiéj grzeczności nie był krzyknął z brzucha:
A weźże, panie Szczara, krok i nakryj ucha.
Co słysząc Olgopolski, jak piorun z obłoku
W bramę — co widząc, równie *accelerans* kroku
I pan Szczara uczynił. — Waćpani się spytasz,
Co się stało? Jak razem wstąpili w korytarz,
Tak i razem ugrzęźli, brzuch z brzuchem, nos z nosem;
Próżno ich szlachta częstym szturchańcem i głosem
Podżega i na dalsze zaprasza pokoje —
Nie mogą — więc myśl wzięto *seccare* na dwoje
Zaciętych *inimicos*, więc błysnęły szable.
Jako więc w ciasnym porcie dwa wielkie korable,
Które *fortunam* niosą przed burzliwym gromem...

WOJEWODA za sceną.

Rozbić mur, niechaj wejdą Ichmoście wyłomem.
Panie Chmara! rozwalić mur.

KASZTELANOWA.

O! krotochwila.

Chrząstka wychodzi.

SCENA III.

ZBIGNIEW, KASZTELANOWA, wchodzi AMELIA.

KASZTELANOWA.

Cóż to jest za dzieweczka? Ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma; na głowie bez żadnego fiocha.

ZBIGNIEW

To, mościa dobrodziejko, jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Ta młodziutka? To jeszcze dziecko!

Do Amelii.

A proszę cię.
Bądźże mi przyjaciółką, moje piękne dziecię.
Uważaj mię jak swoją. — Cóż? jaka ty ładna!
A to, panie Zbigniewie, cud! z sąsiadek żadna
Nie wyrówna. Nie płoń się, staréj wolno mówić.
Trzeba ci było muszek wiosennych nałowić,
Oberwać im skrzydełka i upstrzyć twarzyczkę.
Nadto białą we włosach zatknęłaś różyczkę,
Nadto białą. To jeszcze dzieciątko niewinne.
Panie Zbigniewie, czy masz respekta powinne
Dla takiéj młodéj matki? jakże wy z nią razem?
To dziwnie, waszeć mi się zdajesz zimnym głazem.
Atentujże się wasze téj młodziutkiéj matce.

Do Amelii

Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce:
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca.
Cóż — czy cię nudzi staréj gawęda bez końca?
Powiem ci coś miłego: tu z królem przybywa
Pan Mazepa.

AMELIA.

Któż to jest?

KASZTELANOWA.

Jakto, nieszczęśliwa!
Ty nigdy nie słyszałaś o panu Mazepie?

AMELIA.

Nie, mościa dobrodziejko.

KASZTELANOWA.

Ja ciebie oślepię,
Jak ci zacznę o złotym mówić sowizdrzale,
A może twoje czyste serduszko rozpalę
Ogniem nieugaszonym. — Obaczysz go sama.
Serce jego otwarte jak przejezdna brama,
Jedna wjeżdża, a druga wyjeżdża za wrota.
Spojrzenia jego nakształt kowalskiego młota,
Ciągle w biedne serduszka uderzają, tłuką
Na miazgę. Niech to będzie asińdźce nauką.

Walą z dział.

AMELIA.

O Boże, król!

KASZTELANOWA.

Nim wejdzie, mamy czasu dużo,
Tam na ganku pan Pasek, z powagą papużą
I z wielkim stał papierem — ba! to mówca śliczny,
Przygotował dla króla wiersz makaroniczny.
O czém że ja mówiła, mościa dobrodziejko?
Ha, — otóż paź Mazepa — jeszcze mu czuć mleko
Pod nosem, a już o nim tyle rzeczy plotą.

SCENA IV.

CIŻ. SAMI. Mazepa wlazi oknem nie widziany przez aktorów.

KASZTELANOWA.

Wystaw ty sobie, co to za sowizdrzał! co to
Za urwis ten Mazepa.

MAZEPA na stronie.

Ba, tu o mnie mowa.

KASZTELANOWA.

Wystaw sobie, co to jest za przewrotna głowa!
Co to za wróg niewieści! Węża wziął za godło.
Paź kochanek włosami kazał wypchać siodło.

MAZEPA, kłaniając się kasztelanowéj, nagle.

Fałsz, mościa dobrodziejko, proszę nie dać wiary.

KASZTELANOWA.

Jakże tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Z księżycem przez szpary.
Lecz w czas przychodzę bronić własnego honoru.

KASZTELANOWA.

Lecz jak tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Jak motylek dworu
Przez okno, mościa pani.

KASZTELANOWA.

Ba, kłamcy masz minę;
Okno wysokie.

MAZEPA.

Z włosów mam różnych drabinę.

KASZTELANOWA.

Z włosów kochanek?

MAZEPA.

Tak jest?

KASZTELANOWA.

Lecz czemuż przez szyby
Nie przez drzwi?

MAZEPA.

Bo we drzwiach jest pan Pasek, niby
Cerber z trzema głowami — krew się w żyłach ścina,
Co jedna skończy mówić, to druga zaczyna.
Myśląc, że to się nigdy nie skończy — uciekłem.

KASZTELANOWA.

Już ja widzę, że waćpan ten dom zrobisz piekłem,
Że tu waćpan przez okno wniesiesz niepokoje.

MAZEPA.

Skądże tak zła opinia?

KASZTELANOWA.

Ja bardzo się boję
Waszéj niestateczności. — Niech nas Bóg ochrania,
Waszeć nigdy nie możesz być bez zakochania;
Lecz tutaj wartoby się rozkochać ze skruchą.
Jak się zakochasz, to mi powiesz w kim na ucho,
Ja stara cię nie zdradzę.

MAZEPA z ręką na sercu

Paź aśćkę przekona.

SCENA V.

CIŻ SAMI, KRÓL, WOJEWODA i wiele szlachty.

WOJEWODA

Oto jest, najjaśniejszy panie, moja żona,
Która ci się pokornie do kolan uniży.
A to — kasztelanowa Robroncka ze Spiży.
A to mój syn jedynak, twéj potencyi sługa.

KRÓL

Cóż to? paź tu?

MAZEPA.

Oracya była bardzo długa;
Nie chciałem się rozczulić, wnet mi oczy mokną,
Wszedłem przez okno...

KRÓL.

Strzeż się wylecieć przez okno.

MAZEPA

W szczęśliwsze pozwól, królu, ufać horoskopy.

KRÓL do Wojewodziny.

Pani, racz mi dać rękę. — Te ogniste stropy

Prawdziwie empirejskim zdają się obłokiem,
A ty, wojewodzino...

Kończy do ucha komplement.

WOJEWODA.

Za królewskim krokiem,
Mości panowie, proszę — proszę — bardzo proszę.

Wychodzą wszyscy, oprócz Mazepy, na dalsze pokoje.

SCENA VI.

MAZEPA sam.

O! dziwny świat! ten młody rotmistrz, przy macosze
Tak cudownéj, a zimny jak lód się wydaje,
Gdy ja, ledwom ją ujrzał, już mi serce taje...
Już chciałbym albo żyć z nią, albo umrzeć dla niéj.
Mościa kasztelanowo, o! zgadłaś waćpani,
Że tu przyjdzie w miłości zapisać się wiecznik.
Zacznę jak słońce, może skończę jak słonecznik,
Ona mi będzie serce obracać oczyma.

Wojewoda wchodzi.

WOJEWODA.

Cóż to — czy mój stół żadnych względów nie otrzyma,
Proszę, wielmożny panie, nie pogardzaj strawą.

Mazepa kłania się i odchodzi.

SCENA VII.

WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Panie Chmara, w ogrodzie czy od lamp jaskrawo?

CHMARA.

Już się palą.

WOJEWODA.

Wyłamać zaraz tę przegrodę.
Niechaj król zobaczy dobrze w zamku Wojewodę.
Niechaj mu będzie jasno — cóż — wyjąć tę ścianę.

Ludzie wyjmują ścianę w głębi teatru, pokazuje się ogród iluminowany.

To pięknie? Czy tam wszystkie rozkazy wydane?
Czy włość pije, mospanie, czy upiekli wołu?

CHMARA.

Wszystko, panie.

Wchodzi p. Pasek.

PAN PASEK.

Jegomość król wstaje od stołu,
Już kazał sobie podać z nalewką miednicę.

WOJEWODA.

Panie Pasek, każ urżnąć polskiego muzyce.

Rozchodzą się w różne strony, wojewoda idzie do króla.

SCENA VIII.

Muzyka gra poloneza. — Król wchodzi w pierwszéj parze, prowadząc Wojewodzinę. — Za nim paź Mazepa z Kasztelanową, potem opodal Zbigniew z jakąś panią. — Wojewoda na końcu.

KRÓL do Amelii.

Pani Wojewodzino, to królewskie gody.
Jeśli wola, pójdziemy kołem przez ogrody?

AMELIA.

Sługa waszéj królewskiéj mości.

KRÓL.

Proszę w ślady.

Polonez wychodzi do ogrodu.

KASZTELANOWA, przechodząc, do Mazepy.

A waćpan się już kochasz?

MAZEPA.

Już.

PIERWSZA Z PAŃ do Zbigniewa.

Jak waszmość blady.

ZBIGNIEW.

Mościa pani, zapewne takim byłem wczora.

Wychodzą. Polonez wraca z ogrodu. Król puszcza rękę Wojewodziny, wszystkie pary rozłączają się.

KRÓL.

Wielmożne panie, proszę iść same, gąsiora.
A teraz nowym wszystkich wyborem zaszczycić.

Kasztelanowa bierze rękę Króla — inne panie wybierają tancerzy — Amelia zostaje na przodzie sceny, a paź z boku — polonez cały wychodzi — i bal przenosi się do sal dalszych.

SCENA IX.

AMELIA, MAZEPA.

MAZEPA na stronie.

Udało mi się żadnéj ręki nie uchwycić
I zostać z nią sam na sam... Piękności cudowna!
Owiała mię przy tobie trwoga niewymowna,
Jak w miejscu świętém.

AMELIA do siebie.

Tak mi coś na sercu smutno!

MAZEPA na stronie.

Niespokojnością jestem dręczony okrutną.
Jak tu zacząć?

Do Amelii.

Czy wolno panię prosić w tany?

AMELIA.

Niech pan wybaczy.

MAZEPA.

Więc nie?

AMELIA.

Nie.

MAZEPA.

Głosek twój szklany
Wyuczył się harmonii od leśnych słowików;
Oczy twoje z błękitów całe i z promyków
Od gwiazd się nauczyły być tak błękitnymi,

I tak zawsze, tak prosto zlatywać ku ziemi.
Pozwól mi głos usłyszeć i zobaczyć oczy,
Bo pomyślę, żeś gniewna. Ty drżysz? Nikt nie wkroczy,
Wszyscy za królem ciągną po zamku. My sami.
O! to kraj dziwny! tu są niebianek ustami
Róże zamknięte, nie chcą otworzyć się całe...
Widzę na ustach uśmiech... Muszę oczy śmiałe
Odwrócić, bo mię twoich brwi mignienie zgubi.

AMELIA.

Nie wiem czy waszmość wiejską prostotę polubi,
Ale muszę mu wyznać, że ta jego mowa
Wcale mi się nie zdaje...

MAZEPA.

Bywaj pani zdrowa,
Jeślim obraził...

AMELIA.

O! nie.

MAZEPA

Idę — i w łeb strzelę.

AMELIA.

Tak żartować!

MAZEPA.

Bynajmniéj — jak sobie podchmielę,
Gotów jestem na wszystko, idę pić z rozpaczy.

AMELIA

A potem?

MAZEPA.

Potem pani z okna mnie zobaczy
Strzelającego sobie w łeb.

AMELIA.

Pan stroi żarty.

MAZEPA.

Cóż mam robić na świecie? co? — czy grać drużbarty,
Albo z królem odmawiać [illegible] smętne?

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

Ot — nie mam już w nic wiary, serce moje mętne —
Ciebie bym jeszcze, pani, wziął za spowiednika,
Boś podobna do świętéj — ty słuchasz słowika,
A ja mam więcéj, pani, z tobą do mówienia,
A ty mnie słuchać nie chcesz.

Do siebie.

Już się zarumienia,
Dobry znak.

Głośno.

O! niebieska, bądź świętą osobą!
Tylko mi się ty pozwól spowiadać przed sobą;
Ja mam wiele na sercu ciążącéj spowiedzi.
Pod oknem twém pewnie jaki ptaszek siedzi
I przez całą noc śpiewa piosnkę nieudolną;
Czyliż mi dziś słowika zastąpić nie wolno?
Czy to gniew twój obudzi?

AMELIA.

O, Boże! O, Boże!

MAZEPA.

Jam się rozpytał dobrze o wszystko we dworze.
Wiem, że twój balkon brzozą płaczącą okryty,
Lilijami ubrany.

AMEMIA.

Pan nie jesteś skryty,
Gdy się do roli szpiega przyznajesz tak snadnie.

MAZEPA.

Tak, jestem bez honoru.

AMELIA.

Pan tu w przepaść wpadnie.
Ja mam obrońcę, ja tu będę obroniona.

MAZEPA.

Lecz pani będziesz tego żałować, kto skona.

AMELIA.

Próżne słowa, tak błaho nikt życia nie traci
I bez żadnéj nadziei.

MAZEPA.

W twéj drżącéj postaci
Wiele dla mnie nadziei.

AMELIA.

Żadnéj nie ma — żadnéj.

Odchodzi.

SCENA X.

MAZEPA, potem KASZTELANOWA.

MAZEPA.

Już się jak rybka wędki uchwyciła zdradnéj,
Przysięgnę, że się z okna dziś do mnie wychyli.
Resztę uczyni dyabeł.

Wchodzi Kasztelanowa.

KASZTELANOWA.

A gdzież to wy byli,
Mój panie dworzaninie? z kim się to gwarzyło?

MAZEPA.

Z nikim, wielmożna pani.

KASZTELANOWA.

Serduszko się wpiło
Jak kleszcz! Ja ci coś powiem — jestem tu na oku.
Widziałam, jak was Zbigniew wypatrywał z boku;
Strupiałbyś, panie paziu, gdybyś go zobaczył,
Bo tak wyglądał jak trup. — Żeby waszmość raczył
Podać mi do powozu rękę.

MAZEPA.

Już cię tracę,
Mościa kasztelanowo?

Daje rękę i wyprowadza Kasztelanowę.

SCENA XI.

ZBIGNIEW i WOJEWODA, który przez cały ciąg sceny wyprowadza gości z czapką w ręku i kłania się nisko.

ZBIGNIEW.

Serce mi kołace,
Jakbym miał omdleć. — Tutaj stała nieruchoma —
On gadał do niéj, trwoga w niéj była widoma.
O czém on do niéj mówił? jakimi wyrazy?
Ona się odwróciła, widziałem, dwa razy,
Jakby z niespokojności — trzebaż mi się było
Pokazać? — Ten dom będzie paziowi mogiłą.

WOJEWODA.

Gasić światła! Król się pan ma ku spoczynkowi.

Wychodzi.

ZBIGNIEW.

I niktże mi tu z duchów litosnych nie powie,
O czém oni gadali. Nie, ja spać nie będę;
Pójdę, aż się tych myśli dręczących pozbędę,
Ukołysany nocną cichością w ogrodzie.
Jeśli usłyszy — ona mię pozna po chodzie
I przypomni, że jestem na świecie. O! męka.

Wychodzi.

SCENA XII.

Inny pokój w zamku.

KRÓL, WOJEWODA z pochodnią, MAZEPA, POKOJOWI KRÓLEWSCY.

KRÓL.

A niechże waszmość przecie przedemną nie klęka.

WOJEWODA.

Król się pozwoli rozzuć.

KRÓL, podnosząc go z ziemi.

Waść zanadto czyni,
Prosimy cię, zostaw nas nocnéj monarchini
Dyanie, co w te szyby zamierzchłe zagląda,

Sam się ku spoczynkowi miej; Morfeusz żąda
Ofiary po ofierze Bachusa.

Wojewoda kłania się i odchodzi.

Bóg z wami.

Pokojowce królewscy odchodzą.

SCENA XIII.

KRÓL, MAZEPA.

KRÓL.

Podaj mi brewiarz. Niebo iskrzy się gwiazdami.
Ave Maria gratias plena. — Mazo!

MAZEPA.

Panie!

KRÓL.

Czy wiesz acan, gdzie tutaj śpią moi dworzanie?

MAZEPA.

Na lewo.

KRÓL.

A pan zamku?

MAZEPA.

Nie wiem.

KRÓL.

Toś kiep.

MAZEPA.

Zgoda.

KRÓL

Ave Maria. — Nie wiesz gdzie śpi wojewoda?

MAZEPA.

Nie wiem.

KRÓL.

Toś wielki dureń.

MAZEPA.

Już drugi raz słyszę.

KRÓL.

A ty gdzie śpisz?

MAZEPA.

Ja nie śpię.

KRÓL.

A coż robisz?

MAZEPA.

Piszę

Dzieje twe, miłościwy panie.

KRÓL.

Sowizdrzale,

Historyografie.

MAZEPA, na stronie,

Bogdajś pękł ex-kardynale.

KRÓL.

Co waść mruczysz?

MAZEPA.

Nic, wiersze.

KRÓL.

Ba, ja się założę,

Że ty masz jaką schadzkę po nocy.

MAZEPA.

Być może.

KRÓL.

Ja wiem pewnie. Waść gadał już z wojewodziną.

MAZEPA.

Chwaliłem przed nią waszą królewską mość.

KRÓL.

Ino

Mów prawdę. Waść ją będziesz widział dzisiaj jeszcze?

MAZEPA.

Jak tylko serce moje gdziekolwiek umieszczę,
To mi król miłościwy wnet zajrzysz.

KRÓL

Nie zajrzę
Bynajmniej.

MAZEPA.

Wnet przeszkadzasz mi, królu...

KRÓL.

A dajże
Mi święty pokój, głupcze! tak mi trąbisz w uszy,
Że aż uciekam...

Bierze na siebie płaszcz Mazepy zostawiony na krześle, i kapelusz Mazepy kładzie na głowę.

MAZEPA.

Królu! to mój płaszcz.

KRÓL.

Bez duszy!
Chcesz, żebym dostał febry, bez płaszcza, po rosie.

MAZEPA.

Król miłościwy, wszakże masz swój.

KRÓL.

Co? młokosie,
Chcesz, żeby mnie po nocy, w królewskiéj odzieży,
Poznało zaraz całe wojsko nietoperzy
I oddawało winne królewskie honory?
Cóż, Mazo, waść nie jesteś na gorączkę chory;
Jeśli mnie płaszcz zarazi czém, to głupstwem chyba.
Czekaj tu waść.

Wychodzi do ogrodu.

SCENA XIV.

MAZEPA, sam.

Niech dyabli wezmą tego grzyba!
Jemu to w pazia płaszczu po księżycu chodzić,

I pod oknami marznąć — i niewiasty zwodzić!
Ortodoxus! przeklęty Ortodoxus! ckliwy!
Wszak jeszcze wczora włos mu wyrywałem siwy;
Poczekaj! drugi raz mię nie złapiesz tak snadnie.
Dalibóg, że mu w moim płaszczu bardzo ładnie,
Gotowa jeszcze okno otworzyć.

SCENA XV.

KRÓL wraca ze szpadą dobytą, ranny w rękę, MAZEPA.

KRÓL.

Nędzniku!

MAZEPA.

Królu!

KRÓL.

Zdrajco bezczelny.

MAZEPA.

Skądże tyle krzyku?

KRÓL.

Waść mię posłał na zgubę.

MAZEPA.

Ja?

KRÓL.

Zbójcę nasadził.

MAZEPA.

Przysięgam, miłościwy panie...

KRÓL.

Waść mię zdradził...

MAZEPA.

Co widzę? Najjaśniejszy pan masz krew na dłoni!

KRÓL.

Wytłómacz się, urwisie! Niech się waszeć broni,
Będziesz waść ukarany. — Ledwom dał dwa kroki,

Jakiś olbrzym wypada, jak sosna wysoki,
Z szablą dobytą — i wnet, nuż rąbać na ślepo;
Krzycząc, podły Mazepo! tchórzu ty Mazepo!
Nie będziesz ty mi więcéj po księżycu łaził.

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

On mię nie obraził,
On waści lżył — a mnie co do tego, mospanie?

MAZEPA.

Lecz on ranił królewską dłoń — i znak zostanie.

KRÓL.

Bogdajeś pękł! — to wszystko ja cierpię za waści.

MAZEPA.

On widział, że król, jego uchodząc napaści,
Zostałeś ranny?

KRÓL.

Widział... krew ciekła z oszczepa,
A mój ludojad krzyczał: jaki tchórz Mazepa,
Ranny już, a z pod szabli jak łajdak uchodzi.

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

A cóż to mi szkodzi,
Że ktoś waści nazywa tchórzem?

MAZEPA.

W żaden sposób...

KRÓL.

Injurye takie zawsze należą do osób,
Do których wymierzone są i do nazwiska.

MAZEPA.

Lecz jutro, miłościwy panie, krew odzyska
Swoje prawa.

KRÓL.

Co? jakie krew odzyska prawa?

MAZEPA.

Jutro nazwisko tchórza weźmie ręka krwawa.

KRÓL.

Co ty mówisz?

MAZEPA.

Racz o tém pomyśleć raz drugi.

KRÓL.

Idź waść i obudź moje pokojowe sługi.
Pakować się — ja jutro wyjeżdżam przed słońcem.
Przeklęta noc!

MAZEPA.

Przeklęta noc!

KRÓL.

I koniec końcem
Wyjedziemy.

MAZEPA.

I koniec końcem, wyjedziemy.

KRÓL.

Ten zabójca rozpapla...

MAZEPA.

Nie musi być niemy.

KRÓL.

Przeklęta noc!

MAZEPA.

Injurye należą do osób...

KRÓL.

Co ty mruczysz?

MAZEPA.

Ot! panie, wynalazłem sposób,
Aby tu zostać jutro.

KRÓL.

Ba! to rzecz ciekawa?

MAZEPA.

Jutro nazwisko tchórza weźmie ręka krwawa.

KRÓL.

No, i cóż? jakże waszeć mój honor obroni?

MAZEPA, bierze szpadę króla i sam siebie w dłoń rani.

Oto mi, królu, patrzaj, krew trysnęła z dłoni.

KRÓL, ściskając go.

Dziecko moje kochane.

MAZEPA.

Cóż jest w téj zadzierce!
Jabym się może, królu, dla niéj ranił w serce.

*

Akt II.

SCENA I.

Galerya z arkadami otworzonymi na ogród.

KRÓL, WOJEWODA.

KRÓL.

Mój mości wojewodo! to rzecz nie do wiary,
Paź napadnięty.

WOJEWODA.

Niech mię położą na mary,
Jeśli ja co rozumiem, Najjaśniejszy Panie,
W téj gmatwaninie.

KRÓL.

Niech to już tak i zostanie.
A waszeć, wojewodo, nie wdawaj się w śledztwo.

WOJEWODA.

Co? Miłościwy panie, moje tu ślachectwo
Na szwank jest wystawione, assasynium w domu.

KRÓL.

No, przecież się nie stało wielkie zło nikomu,
Paź tylko przywileju wietrznika nadużył
I oberwał, mospanie, to, na co zasłużył;
Dobrze mu tak, niech ładném się oczkiem nie wabi.
No — cóż tak, wojewodo, dumasz?

WOJEWODA.

Wabik babi,
Ten paź, może się strasznie oparzyć. Mopanek
Niechaj się strzeże, niech tu nie szuka kochanek.
Mój dom nie jest...

KRÓL.

I cóż tak drzesz pas złotolity?

WOJEWODA.

Więc pazik szukał tutaj po nocy kobiéty?

KRÓL.

Wojewodo, ja nie wiem.

WOJEWODA.

Miłościwy panie,
Pozwól mi — pójdę — ranne zastawić śniadanie.

KRÓL.

Dajem wam wszelką wolność.

Wojewoda odchodzi.

SCENA II.

KRÓL sam.

Ten starzec zazdrosny,
Jakże taki charakter w starych ludziach sprosny!
Jaki śmieszny! Rwał wąsa i rozdzierał pasa,
A wszystko więził w sobie, i krwi tylko krasa
Wyszła mu na policzki starością zwiędniałe.

Wstrząsał się jakby dźwigał na ramionach skałę;
Widziałem, jak mu błysła źrenica czerwona,
Gdy wyrzekłszy, kobieta, w myśli dodał: żona.
Oj wojewodo, tak mi wyglądałeś wasze,
Jak Radziejowski, gdy jadł ze Szwedami kaszę.
Cóż to? wojewodzina?

SCENA III.

KRÓL, AMELIA.

AMELIA.

Panie miłościwy!
Przyszłam ze skargą.

KRÓL.

Jakżem dumny i szczęśliwy.

AMELIA.

Królu, widzisz mię jeszcze drżącą z przelęknienia,
Wielką zniosłam obelgę — twarz mi opłomienia,
Mówić nie mogę. Niech król w lice mi nie patrzy.

KRÓL.

Któżby chciał na tych licach kwiat oglądać bladszy,
Kiedy jesteś tak cudnie piękną, gdy się płonisz.

AMELIA.

Królu, ty mię obronisz — ufam, że obronisz,
Jeśli mię nie chcesz widzieć, panie, pod mogiłą.
Twój dworzanin mnie zelżył, panie.

KRÓL.

Jak to było?

AMELIA.

O tak, królu, jak zwykle, dziś, o słońca wschodzie
Szłam na mszę. Pan Mazepa mnie spotkał w ogrodzie.
Na wązkiéj kładce, zewsząd okrytéj drzewami,
Ukląkł — jam się bladością okryła i łzami,
Lecz nie chciałam się cofnąć, by nie zdradzić strachu;
Począł mówić, że poznał mię po róż zapachu,
Że mu wschodzące słońce powiedziało o mnie;

Zawstydzona, ile że ubrana mniéj skromnie,
Bom nie myślała, że mnie kto z ludzi nadybie,
Musiałam spuścić oczy i w rzeczułki szybie
Wołać rybek na pomoc i prosić o radę.
Gdy ten bezczelnik, lica moje widząc blade,
Rozumiał, że mię z barwą zarazem różaną
Odleciał wstyd — i z trwogi na kładce zachwianą
Zatrzymał tak, że usta uczułam na twarzy.

KRÓL.

O! szatan!

AMELIA.

Więc się, panie, zawstydzona skarży.
Ufam, że się król ujmiesz za sprawą kobiety.

KRÓL.

Osądź go sama.

AMELIA.

Jakto! ja mam sądzić — nie ty?
Królu, ty w naszym domu

KRÓL na stronie.

Przeklęty paziku!

Do Amelii.

Pani, w naszym kodexie jest zbrodni bez liku,
Lecz takiéj niema zbrodni, ani kary na nią.

AMELIA.

Królu! powiedz mu, że on domu tego panią
Zhańbił, że podłe serce mu w piersiach uderza,
Ani serce Polaka, ni serce rycerza;
Powiedz mu, że my biedne kobiety się bronim
Wzgardą — więc ja pogardzam i zapomnę o nim.
Że choćbym nierządnicą była — nie skorzysta,
Bo jeszcze ja dlań będę za dumna, za czysta.
Powiedz mu, że nikogo nie mając za stróża,
Mogłabym mieć mściciela, lecz mam go za tchórza,
I wzgarda moja litość urodziła we mnie.
Ale mu powiedz, królu, że zrobił nikczemnie,
Powiedz i wypędź, niech go nie widzę przed sobą.

KRÓL.

Czemuż winienem, pani, że z twoją żałobą
Do mnie przyszłaś

AMELIA.

Sądziłam, że króla przytomność
Nie wstydzi...

KRÓL.

O! szczęśliwy król, któremu skromność
Zawierza i w całem się zdaje zaufaniu;
Szczęśliwy cię oglądać po świeżém spłakaniu,
Jeszcze cichymi łzami żalu brylantową.
O! nie płacz, ja ukarzę pazia — daję słowo,
Ukarzę — i nie ujrzysz go więcéj przed tobą.
Teraz o innych rzeczach pomówimy z sobą,
Piękna wojewodzino — o zakład, że zgadnę
Jak masz imię; być musi imię smętne, ładne,
Jakże twe chrzestne imię?

AMELIA.

Amelia.

KRÓL.

Bóg z nami!
Słowik téj nocy ciągle pod mymi oknami
Śpiewał to imię, jam spał i słyszał po trosze:
Teraz już z serca tego słowika nie spłoszę,
Piękna Amelio! i tak więdnąć tu odludnie?
Ten zamek nad jeziorem położony cudnie,
Ale smętny jak moje we Francyi więzienie.
Te okna, te arkady, te lipowe cienie,
Ale tu całe życie prawie przeżyć trudno.
Amelio, czy ci w zamku tym czasem nie nudno?
Czy nie żądasz odmiany, tu dnie smutne płyną,
Jabym w tym zamku umarł już, wojewodzino.
To więzienie jak moja francuska wieżyca.
Ach! było i tam dziewczę tak jasnego lica
Jak ty pani — tak w każdém ujęciu okrętna,
Która mi wtenczas miła — a dziś jest pamiętna.
Jesteś od niéj piękniéjsza, lecz podobna trochę,
Ty jesteś smutna, tamto dziewczę było płoche,

Nieraz oszukiwała więzienia pachołków,
I list z kraju przyniosła w bukiecie fiołków.
Dziś woń fiołków zawsze mi ją przypomina.

AMELIA.

Jakże się nazywała ta biedna dziewczyna?

KRÓL.

Klaudya.

AMELIA.

Więc kochała i umarła z żalu.

KRÓL.

Wdową jest po marszałku dzisiaj d'Hopitalu.

AMELIA.

Zapomniała? zdradziła?

KRÓL.

Odmieńmy rozmowę.
Dziś, gdy mię gryzą kolce korony cierniowe,
Cóżbym nie dał by dawne powróciły lata,
Gdy chleb spleśniały przy mnie, w oknach była krata,
A serce kochające przy sercu mi biło.
O! pani, jakże teraz samotnemu miło
Znaleść tak piękną, smętnych uczuć powiernicę,
Takie dwie łzy, dwie takie w oczach błyskawice,
Co z gniewnym ogniem niosą razem przebaczenie;
Takie słyszeć nad własną niedolą westchnienie,
Tak białą dłoń i miękką mieć do łez otarcia.
Tron i koronę rzucić, bez przyjaciół — wsparcia
Opuścić kraj, gdzie ludzie są w sercach zatruci,
Rzucić wszystko, z tą jedną, co nigdy nie rzuci.

AMELIA.

Mogęż odejść?

KRÓL.

O! pani, zostań — jedna chwila.
Ty nie wiesz, że w téj chwili los mój się przesila,
Że mi korona spada z głowy, co się schyla
Przed tobą, czarodziejko.

AMELIA.

Mogęż odejść, panie?

KRÓL.

O! dumna, raz niechętnie dałaś całowanie
Czołu pazia — lecz teraz spotkasz...

AMELIA.

Już mi widne...

KRÓL.

Czoło w koronie ..

AMELIA.

Zimne ..

KRÓL.

Dokończ...

AMELIA.

I bezwstydne.

Odchodzi.

SCENA IV.

KRÓL, WOJEWODA.

WOJEWODA, spotykając odchodzącą Amelię.

Co to jest? Do swych aśćka idź apartamentów.

KRÓL.

Cóż tak srogi?

WOJEWODA

Mościwy Panie, bez wykrętów,
Coś mi dziś we łbie jęczy pogrzebowym dzwonem,
Krew co się lała, leży pod żony balkonem.

KRÓL.

Co? pazik taki śmiały?

WOJEWODA.

Królu, proszę o to :
Wypraw ty mi z zamczyska tę laleczkę złotą,
Wypraw ją — bo już, Panie Miłościwy, ranna,
To jak się dotknę, stłuc się gotowa jak szklanna;
Ja żony nie podzieram, to święta kobiéta.

Lecz ten paź, on się czegoś tu, królu, dopyta.
Ja ciebie może, panie miłościwy, nudzę,
Lecz powiadam, jeśli chcesz mieć w dalszéj usłudze
Twojego dworzanina, to go wypraw prędzéj,
On się tu może zgubić jak worek pieniędzy,
Złoto wabi, on cały złoty — toć ukradną,
Wypraw go, mciwy panie, ma figurkę ładną,
Ja się o niego boję.

KRÓL.

No, mój wojewodo,
Widzę, że w tobie ta krew, to nie szafran z wodą.
Cieszę się, żeś mi jeszcze czerstwy i ognisty.
Przyślij mi pazia, zaraz mu napiszę listy
I wyślę do Warszawy.

WOJEWODA.

A ja mu dam szkapę.

Odchodzi.

SCENA V.

KRÓL, potem MAZEPA.

Ja zgrzeszyłem jak dziecko, a paź weźmie w łapę;
To i dobrze, on w moich zamiarach przeszkadza.
A jak widzę, to mnie tu on haniebnie zdradza
I sam pięknie przy własnéj patronuje sprawie.
To i dobrze, z listami pazika wyprawię,
Zostanę sam, a pomoc mi rychło przybędzie.

Wchodzi Mazepa.

Nastraszyłeś mi waćpan przed czasem łabędzie.
Próżno spuszczasz oczęta i przegryzasz wargi,
Były tu na waćpana, gapiu, różne skargi;
Wywędrujesz mi stąd precz, z listami do żony.
Do gabinetu za mną.

Wchodzi do pokoju bocznego.

MAZEPA.

Proszę, jaki słony
Mój ortodoxus, nigdy tak źle nie zaczynał.

KRÓL za sceną.

Za mną do gabinetu wać...

MAZEPA.

Dyabeł kardynał.

Wychodzi za królem.

SCENA VI.

ZBIGNIEW wchodzi.

Tu wszedł paź, już go niema, zaczekam tą razą.
Niechaj nas po dniu zimne rozsądzi żelazo.
O! zabić go! a potem zabić się samemu.
Cóż jest w téj cichéj śmierci okropnego? czemu
Lękamy się téj ziemi, co nam czoło plami,
I snu z założonymi na piersiach rękami?
Śmierć, innéj nie ma drogi przedemną — o Boże!
Gdyby mi kto powiedział wczora, że być może
Jaki człowiek na ziemi, z sercem ludzkiém w łonie,
Śmielszy, niż róża listkiem kryjąca jéj skronie,
Bliższy jéj ust, niż swojski jéj kanarek złoty,
Szczęśliwszy niż powietrze, niż owe istoty
Muszki wieczorne, którym ja zazdroszczę co dnia,
Ach, nie wiem... wczoraj mi się zdawała to zbrodnia
Dotknąć jéj twarzy... dzisiaj możebym szalony...
Tak więc ten, co się pali sam — żar zapalony
Ciska na serca drugich i winien pożogi,
Która człowieka wali losowi pod nogi
Zimnym — zwalanym trupem...

SCENA VII.

WOJEWODA, ZBIGNIEW.

WOJEWODA.

Waść tu czekasz kogo,
Waść widzę porysował marmury ostrogą.
Cóż to jest za rysunek — trupia głowa — synu!
Waszeć mi chcesz się rąbać? wstyd, to człowiek z gminu:

Takiego wojewoda pod kijem zatłucze...
Posłałem Chmarę — ja go respektu nauczę...
Melka niewinna, że krew pod oknem — niewinna,
Lecz z paziem, co ją sądził ścierką — to rzecz inna.
Pod kijami odszczeka, już posłałem Chmarę.
Zostaw to wszystko waszeć na to czoło stare.
Czy ty myślisz, że matka o tém nie wiedziała?

ZBIGNIEW.

O! na to ja przysięgnę.

WOJEWODA.

Panu Bogu chwała,
Że mi nadarzył świętą kobietę za żonę.
Czy waść uważał, miała oczęta czerwone
Od płaczu?

ZBIGNIEW.

Bo też każde posądzenie boli...

WOJEWODA.

Posłałem ludzi — będą przy wielkiéj topoli
Koło karczmy na tego czatować gałgana.

ZBIGNIEW.

Lecz jak się król pan dowie?

WOJEWODA.

Króla mam za pana,
Ale nie w moim domu.

SCENA VIII.

Ciż sami. KRÓL i MAZEPA wychodzą z bocznych drzwi.

KRÓL.

Mości wojewodo,
Paź jedzie do Głuchowa, potem z naszą zgodą
Powraca do Warszawy, rzecz ukartowana.
Pozwólże mu waścine uściskać kolana,
I każ mu spuścić mosty.

WOJEWODA.

Niech odjeżdża zdrowo.
A odemnie niech przyjmie szablę turkusową,
I rumakiem murzynem nie gardzi na drogę.
Koń ten bystre ma oczy i lotną ma nogę.
Oby waści szczęśliwie niósł przez nasze pola
Do szczęśliwego celu.

MAZEPA.

Jeśli wasza wola,
Przyjmuję oba dary — piękny upominek,
Dobra szabla, a jeszcze lepszy koń murzynek;
I bodajby to koń był, co kędyś po lesie
I po łąkach aż na tron pazika zaniesie,
Jak to już wywróżyła cyganka przed laty.

KRÓL.

A lećże mi po łąkach, paziku skrzydlaty,
Wspomnij o mnie na tronie i bądź mi aljantem.
A teraz, wojewodo, chodźmy alikantem
Pić za szczęśliwą podróż tego pretendenta
Do korony.

Do Mazepy.

Niech waszeć o listach pamięta.

Odchodzi z wojewodą.

SCENA IX.

MAZEPA, ZBIGNIEW.

ZBIGNIEW, dobywając szabli.

Mości panie, do szabli.

MAZEPA dobywa szabli.

Wiem, co się to znaczy.

ZBIGNIEW.

Strzeż łba.

MAZEPA.

Mości rotmistrzu, jestem syn kozaczy,
Bić się umiem, lecz wcale nie czuję ochoty
Tłuc ojca turkusówką w syna pancerz złoty;

Ani wojewodzica, co jak róża młody,
Zabiwszy, uciec z zamku koniem wojewody.
Wreszcie i to waćpanu w pokorności ducha
Wyznaję, że mnie teraz poruszyła skrucha,
Że się wstydzę téj w zamku odegranéj roli;
Więc jeżeli szanowny pan Zbigniew pozwoli,
Ścisnąwszy się jak bracia, rozjedziemy w zgodzie.
Czar był jakiś w tym zamku, w księżycu, w ogrodzie,
Co mię obłąkał, ogniem zapalił, miłością;
Czar trwa i mnie uniża teraz przed waszmością,
I szczerym mnie afektem ku niemu zapala.
Cóż mówisz na to waszmość? czy serce pozwala?
Czy od proponowanéj jest dalekie zgody?
Wierzaj mi, wrzućmy nasze zatargi do wody
I bądźmy przyjaciółmi.

ZBIGNIEW.

Drwisz? czy jesteś tchórzem?

MAZEPA.

Każdy swego honoru powinien być stróżem.
Zdaj to na mnie; potrafię zniżyć się bez szwanku.

ZBIGNIEW.

Waść zmykałeś téj nocy.

MAZEPA.

Księżyca kochanku
Czy pewny jesteś, że ja przed waścią umykał?

ZBIGNIEW.

Mój Boże! jak wąż z bolu pod żelazem ksykał,
Zdejm rękawiczkę, krwawe masz na ręku znamię.

MAZEPA.

Pewnyż jesteś, że twoje żelazo i ramię
Temu winne, mospanie, że mam krew na ręce?

ZBIGNIEW.

Wykręcasz mi się podle.

MAZEPA.

Lecz się nie wykręcę.
Co? Oto moja ręka — tak, dalibóg krwawa,
Lecz nie waćpan ją zranił.

ZBIGNIEW.

Ba! to rzecz ciekawa!

MAZEPA.

Mospanie, jak nabierzesz znajomości świata,
Poznasz, że nieraz cześci albo krwi utrata
Potrzebną jest *ut salvat* miłe nam osoby.
Waćpan jeszcze przez żadne nie przeszedłeś próby,
A jednak w tym się właśnie waść znajdujesz razie,
Że nie tak na odwadze szumnéj, na żelazie
Honor najdroższéj tobie osoby spoczywa,
Jako na roztropności — to sztuka prawdziwa
Serce mieć pełne ognia, zimne jak lód lice,
I do grobowca z sobą zanieść tajemnicę.

ZBIGNIEW.

Żadnych takich tajemnic nie mam do ukrycia.

MAZEPA.

Więc może ja się mylę. — Każdy ma do picia
Kielich mniéj więcéj gorżki; a ja się lituję
Nad tym, co się codzienną męką serca truje.
Zdjął mię smutek, gdym ujrzał w chmurach ciemnych losu
Dwie istoty cierpiące bez jęku, bez głosu,
Ciche, co mając serca od Chrystusa krwawsze
Mówią: niestety! dodać zmuszeni: na zawsze!
Jestem dziecko; lecz takie widząc przeznaczenie,
Szczere i wielkie w sercu uczułem cierpienie
I litość — i poświęciłbym siebie.

ZBIGNIEW.

Za kogo?

MAZEPA.

To moja tajemnica.

ZBIGNIEW.

Do szabli!

MAZEPA.

Tak srogo?

ZBIGNIEW.

Serce wydrę...

MAZEPA.

Dla czegoż pobladłeś jak chusta? —
Pewien mi pocałunek wiecznie zamknął usta.

ZBIGNIEW,

Kłamiesz jak pies!

MAZEPA.

Koniecznie?

ZBIGNIEW.

Do szabli, mospanie!

MAZEPA.

Ha! kochasz ją...

Biją się, — Zbigniew końcem szabli rozdziera i wyrzuca listy królewskie, które paź był schował przy piersi.

ZBIGNIEW.

Dostałeś.

MAZEPA.

Waść lepiéj dostanie.

Mazepa wytrąca pałasz z ręki Zbigniewowi i obala go na kolano.

ZBIGNIEW.

Korzystaj z losu, przepędź mi sztychem przez kości.

MAZEPA, podnosząc go.

Zbigniewie! proszę teraz drugi raz waszmości
O braterstwo i przyjaźń. Daj zemście spoczynek.
Użyłem słów wabiących gniew i pojedynek,
Abym poznał, czy wasze jest jednym z tych ludzi,
Który się w domu ojca szpiegowaniem trudzi,
I odejmuje pokój starca włosom siwym;
Czy waść jesteś szlachetnym, ale nieszczęśliwym.
O! tak, szczerze waszmości chcę być teraz bratem...

Zbigniew rzuca się w objęcia Mazepy.

Zbigniewie mój, z tym biednym kłócący się światem
Walką wrącego serca, mój drogi! szlachetny!
Ty mi się podobałeś; ty w tym zamku, świetny
Jak rycerz dawnych czasów, ująłeś mi serce,
Słuchaj! twój pożar jeszcze w maleńkiéj iskierce,
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił.
Aniś ty jeszcze w niczém skalał się, przewinił,
W jéj szafirowych oczach twoja bogobojność
Zostawiła anielskość dotąd i spokojność;
Lecz to nie potrwa wiecznie, to nie potrwa długo...
Wierzaj mi, ty być musisz twego losu sługą,
Bo nie możesz być panem; nie, to niepodobna.
Zostaw ją tu — jak róża kwiatami ozdobna
Niech się błyszczy i cicho na słońcu przekwita.
Lecz ty uciekaj! ciebie już skrzydłami chwyta
Straszny duch ognia, tobie uciekać potrzeba.
Wierzaj mi, są miłoście bez gwiazd, Boga, nieba,
Te wkrótce zetrą serce na proch — tak go znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą,
Tyle razy w sen cichy ogłupienia wtrącą,
Że wreszcie źródło wspomnień na wieki zamącą —
To się i z tobą stanie. Jedź ze mną, Zbigniewie.
Jak dwa motyle w wichru kręcone powiewie,
Przelecimy przez okna otworzone dworu,
Gdzie gapie, a w kontuszach różnego koloru,
Jak ćmy głupie obsiadły starą francuzicę.
Przewrócimy ten cały stary świat na nice,
Brzękiem, śmiechem, szyderstwem napełnimy salę.
Jak mi serce zagaśnie, to je znów zapalę
Przy ogniu twego serca — a jak ogień boski
I w tobie zamrze — wtenczas żadne łzy i troski
Już nie wrócą, i będziem śpiewali *victoria*.
Widzisz, moje kazanie gorżkie jak cykorya,
Wycisnęło ci z oczu łzy, drogi Zbigniewie...
I cóż?

ZBIGNIEW.

Pojadę z tobą...

MAZEPA.

Dziś przy wielkiém drzewie
Koło karczmy zaczekam na cię do północy.

ZBIGNIEW.

Nie tam — jedź inną drogą...

MAZEPA.

Co? czy tam Rakocy
Stoi z wojskiem?

ZBIGNIEW.

Nie pytaj, bo mi wstyd wyjawić...

MAZEPA.

Więc potrafię się w bliskiém miasteczku zabawić
Grą w kości, choćby z jakim wojakiem ciemięgą.

ZBIGNIEW.

Czekaj tu, ja ci każę klacz osiodłać tęgą,
Wtenczas wiatr nie doścignie.

MAZEPA.

Idź, chłopaku szczery.

Zbigniew odchodzi.

SCENA X.

MAZEPA, sam.

Panie Mazepo! teraz wasze innéj cery —
Co się z twoją złoconą zrobiło maszkarą?
Mówiłeś jak ksiądz — próżno dyabeł krzyczał: *haro!*
Ty brnął w cnotę jak w błoto, ani dbał o siebie...
Dwa dni tego humoru, a umrę, i w niebie
Będę siedział po uszy. — Ba — lecz bies powróci.

Podnosi listy królewskie z ziemi.

A ha! królewskie listy... Ten król mi coś czmuci.
Dalibóg! szablą pieczęć przecięta na dwoje —
Schowam — ja się téj szelmy ciekawości boję;
To mój wróg — ba! lecz pieczęć na dwoje złamana.
Tylko troszeczenieczkę...

Zaziera w listy.

„Proszę waszmość pana“
Do Głuchowskiego pisze komendanta ..

Przebiega list oczyma.

Nieba!
Ukartowane wszystko na rapt jak potrzeba,
Ortodoxus chce porwać żonę wojewodzie!
Daléj — tu widać jakiś przypisek na spodzie —
Czy ja ślepy? czy bielmo mi na oczach leży?

Czyta.

„Pana Mazepę zaraz zasadzić do wieży,
„I strzec aż do dalszego z nim rozporządzenia.“

Chowa listy.

Ach, panie ortodoxus! co? mnie do więzienia?
A młodziutką starego żonę w twoje łapy?...
Więc ty myślisz, że wszyscy, włącznie ze mną, gapy?
Że w twoich sidłach muszki uwikłane zginą?
Téj nocy muszę widzieć się z wojewodziną.
Jéj tylko mogę wyznać tę dziecka ciekawość;
Czegoż się lękam? — Moja zwinność, lotność, prawość
Wszystko ocali. — Będę ją widział téj nocy...
Mam jéj honor i własną śmierć we własnéj mocy,
Z tém się zgubić nie można.

SCENA XI.

ZBIGNIEW wraca, MAZEPA.

ZBIGNIEW.

Koń czeka gotowy.

MAZEPA.

Do widzenia.

Wychodzi.

ZBIGNIEW sam.

Skończona rzecz! ugiąłem głowy
Przed nieszczęściem — skończona ze mną rzecz — zginąłem.
Gdyby wiedzieć, że człowiek smutny jest aniołem,
Że co tu niespokojnych miłości uniknie,
To będzie miał u Boga. Mój cień wkrótce zniknie,
I w téj krainie więcéj o mnie nie usłyszą;
Ale po latach wielu z jaką straszną ciszą
Trumny się starych ludzi w jednym lochu schodzą,

Jakby się nigdy z sobą nie znały, i płodzą
Robactwo obrzydliwe. Patrząc na te kości,
Ktoby wtenczas przypomniał ludziom o miłości,
Odebrałby śmiech dziwny trumien w odpowiedzi
I odszedłby jak głupiec z mistycznéj spowiedzi —
Czas jest rozgrzeszycielem. — O! jakże tym błogo,
Co swe gryzące wiecznie serce przeżyć mogą.

SCENA XII.

ZBIGNIEW zamyślony. — Widać AMELIĄ zbliżającą się po drugiéj stronie arkad. — KSIĄDZ idzie za nią. — AMELIA staje przed Zbigniewem i uderza go lilią po twarzy.

AMELIA.

Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic! głowa mi cięży jak ołów.

Amelia daje Zbigniewowi liliję, lecz ksiądz stojący za nią wyrywa kwiat z ręki Amelii i mówi srogo.

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilija jest kwiatem aniołów.

*

Akt III.

SCENA I.

Pokój wojewody. — WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Więc paź jest tu, w ogrodzie?

CHMARA.

Widziałem na oczy...

WOJEWODA.

Zdejm wacan strzelbę, spróbuj czy zamek odskoczy.
Czemu waść patrzysz na mnie? co? zbierz acan ludzi,

Ale cicho, niech się król jegomość nie zbudzi.
Idź — z ludźmi bądź w ogrodzie.

Chmara wychodzi.

Panie! Chryste Panie!
Oto rzecz! w zamczysku moim polowanie
Na gacha mojéj żony! Chryste! Jezu Chryste!
A dajże tym umarłym światło wiekuiste!
Pomrą! piekielnie pomrą!

Wychodzi zbrojny.

SCENA II.

Mieszkanie wojewodziny. — Okno otwarte na balkon — z jednéj strony alkowa zasłoniona firankami.

MAZEPA włazi oknem.

Wszystko śpi w zamczysku.
Żadnego po komnatach szmeru ani błysku.
Doskonale! to pokój kobiecy. Gdzież ona?
Może jeszcze w ogrodzie chodzi zamyślona,
Może u swoich niewiast?

Pokazując na alkowę.

Może tam uśnięta.
Co robić? czy tam zajrzeć? — Alkowo przeklęta!
O! najniebezpieczniejsza z zasadzek alkowo!
Za tą zasłoną lekką, wiotką, purpurową,
Ona śpi snem różowa, cicha. — Dyable! dyable!
Jak ty mnie dręczysz...

Zaziera w alkowę i wraca.

Pusta. — Przysięgam na szablę,
Że nie miałem złéj myśli ruszając firanek.
Cóż robić?... Ona przyjdzie... skryję się na ganek,
A na wachlarzu kilka słów do niéj napiszę...

Pisząc.

Odeślij twe niewiasty — jestem tu...

Rzuca wachlarz.

Co słyszę?
Kroki dwóch osób... mury te dla mnie fatalne!
Ha! jeśli mnie odkryją tu, w łeb sobie palnę.

Wchodzi do alkowy i zasłania firanki.

SCENA III.

AMELIA, ZBIGNIEW.

AMELIA.

Więc to ostatnie twoje ze mną pożegnanie?

ZBIGNIEW.

Tak, moja matko.

AMELIA.

Słyszysz słowików śpiewanie?
Chce mi się płakać — biedna ja! biedna!

ZBIGNIEW.

Dla czego?

AMELIA.

Nie wiem! ja na tym świecie nie pragnę niczego,
A jednak ja nie jestem szczęśliwa. Ja nie wiem,
Co mi jest. Siedząc teraz z tobą pod modrzewiem,
Zdało mi się, że jakaś okropna godzina
Dzwoni w nocném powietrzu. — Wczoraj moja sina
Szpileczka turkusowa, którą mam po matce,
Złamała się — to mała rzecz! — lecz na okładce
Książki od nabożeństwa zapisałam sobie
Ten dzień, jak zły dzień. — Boże! skądże przyszło tobie
Odjeżdżać?... ty mi nigdy nie mówiłeś o tém.
Zostanę sama!... Lecz ty odjeżdżasz z powrotem?

ZBIGNIEW.

Nie, matko.

AMELIA.

Nie — więc nigdy tu już nie powrócisz?

ZBIGNIEW.

Nigdy! nigdy już! nigdy!

AMELIA.

Żałośnie mi nucisz,
Jak szpaczek, co jednego nauczony słowa,
Nie rozumie i gada...

ZBIGNIEW.

O matko! bądź zdrowa!

AMELIA.

Chodź tu! klęknij mi wasze — cóż tak nieserdecznie
Żegnasz się? — i ty mówisz, że się żegnasz wiecznie!
Ja ciebie nie rozumiem. Chodź! czoło waszmości
Okropnie zimne.

ZBIGNIEW klęka przed nią.

Matko! o matko! litości...

AMELIA.

Milcz! milcz! ja cię rozumiem! tak padłeś przedemną,
Waćpan przedemną strasznie upadłeś. Bóg ze mną!
Ja waćpanu nie mogę nic, prócz łez, ja sama
Cierpię. — Idź waść.

ZBIGNIEW.

Litości!

AMELIA.

Prócz łez... Jaka plama
Dla mojéj czystéj duszy tak z waćpanem gadać,
Jak gdybym rozumiała. Nie chcę o nic badać...
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła.
Nie bój się, my niewinni; Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja pana żegnam wiecznie — ja jestem uboga,
Nie mam co dać mu prócz łez. — To ciebie nie splami,
Że schylona nad tobą obleję cię łzami;
Ty będziesz je pamiętał, te łzy. Proszę! proszę!
Proszę te łzy pamiętać... i o mnie. Ja znoszę
Wielkie męki, lecz proszę źle nie myśleć o mnie,
Bo to, co teraz mówię, mówię nieprzytomnie.
Bądź zdrów!

ZBIGNIEW, chce wstać i mdleje

Ciemno mi w oczach...

AMELIA.

Słyszysz! ktoś nadchodzi.
O! wstań! o! wstań... to ojciec nasz!

Do wchodzącego wojewody.

Niech pan dobrodziej
Ratuje — twój syn leży mi u nóg zemdlały.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA do ludzi za sceną.

Pilnować drzwi i okien. — Jeszcze honor cały.
Mój syn tu był na straży.

Do Amelii.

Czyś ty jego struła?

AMELIA.

Ja?

WOJEWODA.

Ty bez cześci.

AMELIA.

Mężu!

WOJEWODA.

Waćpaniś tu czuła
Gacha w komnacie; czarów użyłaś na dziecko.
Wszedł i omdlał.

AMELIA.

Co waćpan mówisz?

WOJEWODA.

O! zdradziecko
Umiesz ty się wykręcać, czarna ohydnico.
Panie Chmara! synowi memu pod nos świecą,
Czy żyje?

CHMARA.

Dycha, panie.

WOJEWODA.

Wynieść do ogrodu.

ZBIGNIEW, przychodząc do zmysłów.

Gdzie jestem? co to znaczy? ojciec!

WOJEWODA.

Bez wywodu,
Panie synu! nie kryj się waćpan, ja świadomy
Całéj rzeczy. — Bogdajby mnie trzasnęły gromy!
Bogdajbyśmy obadwa legli od pioruna...
I ta winna! ta sądna! ta przebiegła kuna!
Ta... ta ścierka!

ZBIGNIEW.

Ach! ona, mój ojcze, niewinna.

WOJEWODA.

Nie... ona jest, jak mówią, kobieta uczynna,
Nic więcéj, ona tylko się...

ZBIGNIEW.

Ojcze! na Boga!

WOJEWODA do Amelii.

Jak mi waćpani płaczesz! jak cię trzęsie trwoga?
Ha! bo też tu się stanie z nami rzecz okropna.
Waćpani mi tu byłaś bardzo nieroztropna!
Waćpaniś prowadziła źle twe ceregiele,
To teraz będą kiry i trumny w kościele;
Przygotuj się waćpani, bo to sprawa czarta.
O! jaka ty na czole ze wstydu wytarta!
Innaby już mi do nóg padła cała długa
I całowała stopy.

AMELIA.

Ja waszmości sługa,
Ale jestem niewinną.

Zbigniew pada do nóg.

WOJEWODA do Zbigniewa.

Ty śmiesz prosić za nią?

ZBIGNIEW.

Nie, ja sam jestem...

WOJEWODA, przerywając.

Tak, ty — z twoją matką panią
Złączyliście się...

ZBIGNIEW.

Ojcze!

WOJEWODA.

Przeciw starca głowie,
Aby ją okryć hańbą — niech ci Bóg da zdrowie;
Wybrałeś się tu dobrze z protekcyą wasze.

ZBIGNIEW.

Ojcze! choćbyś miał piorun, to ja go zagaszę
Krwią moją, i sam jeden tę winę odkupię.

WOJEWODA.

O! synu krwi wężowéj! synu — zimny — trupie!
Bez duszy — i ty żadnym gniewem się nie palisz?
Czy twoje młode kości naruszył paraliż?
Czy serce tylko twoje tknięte paraliżem?

ZBIGNIEW.

Ojcze! te słowa dla mnie są boleści krzyżem —
Reszta będzie bez męki. — Syn z pokorą czeka.

WOJEWODA do Amelii.

Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka.

AMELIA.

Ja?...

WOJEWODA

Patrzcie na nią teraz, patrzcie! jak się chwieje,
Ona tu wnet omdleje.

AMELIA.

Nie — ja nie omdleję.
O! Matko Boska! bądź ty ze mną w téj godzinie.

WOJEWODA.

Przysięgam, że waćpani gach jak mucha zginie,
Panie Chmara, poszukać w alkowie.

AMELIA, zatrzymując Chmarę.

Stój wasze!
Pierwéj w tych piersiach srogie utopcie pałasze,
Nim dotkniecie firanek — a ty słuchaj, mężu.

WOJEWODA.

W twoim pokoju człowiek jest — kobieto! wężu!

AMELIA.

Zbigniewie! nie ma w moim pokoju nikogo.

WOJEWODA.

Da się to widzieć.

ZBIGNIEW.

Ojcze! nim postąpisz nogą,
Pomyśl, co robisz! tu się rzecz okropna stanie...
Ja wierzę — i ty musisz wierzyć — o! mój panie!
O! mój ojcze! ty wierzysz? nieprawdaż?

WOJEWODA.

Rufianie!

ZBIGNIEW.

O! mój ojcze!

WOJEWODA.

Dla czegoż ty się z pasyonatem
Droczysz — i stoisz tutaj — i jesteś mi katem?...
Dla czegoż ty jéj wierzysz? o godzino sromu!
Waść by mnie teraz wtrącił do szalonych domu?
A jednak ja mam zmysły wszystkie dobrze zdrowe.
Panie Chmara! każ ludziom tę straszną alkowę
Zrewidować — tam nie ma okien; nie uciecze,
Tu go waćpani kozak za włosy wywlecze,
Będziesz ssać jego rany i całować w usta,
Położysz się na piersiach — lecz pierś będzie pusta,
Bo ja mu z piersi serce jak oko wyłupię.
Ja waćpani pozwolę potem spać przy trupie,
Jeśli nie będziesz chciała, przywiążę jak sukę.
Ja dam niewiernym żonom okropną naukę,
Będą o niéj pamiętać aż Polski nie będzie.
Waćpani będziesz słynąć w sławnych ścierek rzędzie,
Mną będą straszyć dziatwę. — Hej, iść pod kotary!

Ludzie zawołani przez Chmarę chcą iść do alkowy. — Zbigniew staje u wejścia, dobywa szabli.

ZBIGNIEW.

Ojcze, każ im się cofnąć, bo pójdą na mary.
Bo ja tu ich nie puszczę.

WOJEWODA sam daje krok wprzód.

Zbigniew dobywa pistoletu i przykłada sobie do piersi.

On ze mną zaczyna.

ZBIGNIEW.

Stój, ojcze! bo na progu tu wstąpisz w krew syna.

WOJEWODA.

A to dyabeł zacięty!

AMELIA.

Zbigniewie! Zbigniewie!
Odsłoń firanki, ja wiem, że twój ojciec nie wie,
Co ja cierpię, lecz niech się przekona oczyma.
Oczy są jego sercem, on innego nie ma;
Gdyby miał, ulitowałby się tysiąc razy.

Do wojewody.

O! Panie, ja niewinna! ja bez żadnej zmazy,
Lecz patrzaj, co ty robisz tu z sercem kobiéty?
Patrz! twój syn do ust kładzie pistolet nabity;
On nie może wytrzymać udręczenia mego,
On się chce zabić, panie.

WOJEWODA.

A wiesz ty dla czego?
Do ust włożył pistolet i za śmiercią dyszał?
Bo tam za sobą szelest człowieka usłyszał,
Bo ja aż tu słyszałem.

AMELIA.

Ten starzec mię łamie!
Zbigniewie! tyś nie słyszał nic? ten starzec kłamie.

ZBIGNIEW, jakby pasując się z sobą i wpadając w obłąkanie.

Nie, ja nic nie słyszałem — nic — to rzecz skończona,
Tam nikt nie wejdzie. Piersi Chrystusa czerwona
Siedmią ranami, tam nikt nie wejdzie — o! Boże!

Idzie ku Amelii.

Matko! — macocho.

Cofa się ze wstrętem i znów wraca przed alkowę.

Ojcze, ja się tu położę
Jak pies i nikt nie wejdzie, miej litość nademną.
Ojcze! o! ja omdleję, słabo mi i ciemno...
Ja omdleję drugi raz. Ta scena mię dręczy!
Ojcze! syn ci na duszę nieśmiertelną ręczy,
Że tam niema nikogo, czy ci nie dość na tém?
Ojcze! o! będzie ze mną tak jak z moim bratem,
Którego ty zabiłeś przed laty niechcący.
Patrzaj, ja cały blady, patrzaj, cały drżący,
Ja słabnę — jeszcze chwila a serce mi pęknie.

AMELIA do wojewody.

Litości, panie! niechaj twa zaciętość zmięknie,
Ja bardzo cierpię.

WOJEWODA ponuro.

Chciałbym uwierzyć w waćpanią.

Zdejmuje ze ściany krucyfix.

Przysięgniesz na krucyfix?

ZBIGNIEW.

Ja przysięgnę za nią!
Ojcze! co myślisz? kazać przysięgać kobiécie?
Ja sam oto na moje nieśmiertelne życie,
Na tym krzyżu obiedwie położywszy ręce,
Przysięgam. Usta kobiet są jak niemowlęce,
Ich straszliwymi słowy nie potrzeba mazać.
Mój ojcze, daj krzyż, ludziom już można rozkazać,
Aby odeszli.

Na stronie.

Cóż to? i ona się zbliża?

AMELIA.

Ja przysięgnę.

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELIA.

I cóż?

ZBIGNIEW cicho do ucha Amelii.

Matko — precz od krzyża.

AMELIA kładzie rękę na krucyfix.

Na Chrystusowe rany i na matki duszę,
Na wycierpiane teraz krzyżowe katusze
Przysięgam, że niewinnie byłam posądzona,
Niech wam tak Bóg odpuści.

ZBIGNIEW.

Ojcze! rzecz skończona.

WOJEWODA.

Ha?

ZBIGNIEW

Wszak przysięgła?

WOJEWODA.

Amen.

ZBIGNIEW.

Ojcze! idźmy razem,
Ja sam jestem — jak senny!

WOJEWODA.

Chmara! idź z rozkazem,
Niechaj mi tu mularzy przyśle budowniczy.

Chmara odchodzi.

ZBIGNIEW.

Cóż to jest?

WOJEWODA.

Król Jegomość tutaj sobie życzy
Kaplicę mieć pod bokiem, więc trzeba mularzy.

ZBIGNIEW.

Ojcze! tobie coś patrzy okropnego z twarzy.

WOJEWODA.

Ja, mospanie, spokojny. Na Chrystusa rany,
Spokojny jestem starzec. Choćby teraz w tany,

Tak mi wesoło, tak mię ta przysięga cieszy.
Gdyby nie to, że śmierci się kościotrup śpieszy
I już stoi nad głową, śmiałbym się na gardło...
Lecz, mości panie, serce już we mnie umarło;
Śmierć się dotknie i kości na proch się rozsypią...
Cyt, cyt, cyt — czy słyszałeś? jakieś buty skrzypią,
Czemu waść drżysz?

ZBIGNIEW.

Już późno, ojcze, już poranek...

Wchodzą mularze i Chmara.

WOJEWODA

Zamurować alkowę, nie tykać firanek.

ZBIGNIEW.

Mój ojcze, ta niewiara...

WOJEWODA.

A waść mojéj żonie
Wierz, przysięgła na krzyżu, to ja teraz bronię,
Abyś ją waść o krzywą posądził przysięgę.
Zamurować! Na piekieł czerwonych potęgę
Zaklinam się, że nigdy tam nie zajrzą ludzie.
Tam leży tajemnica, tam żeńskiéj obłudzie
Jest zamknięta rzecz czarna, dręcząca — tam kara!
Tam po ciemnościach z głodem tłukąca się mara,
Tam letargnik żyjący swego ciała strawą
Ze szklanymi oczyma, z gębą wyschłą, krwawą,
Gryzący ręce. Patrzcie, jak ten mur podrasta.
Otóż to z sercem prawie kamiennem niewiasta,
Żona, co dba o siebie, o honor kobiécy,
Zabójczyni zrobiona nagle z nierządnicy.
Synu! Co wacan myślisz o swojéj macosze?

Podczas tych słów, mularze już część wejścia zamurowali. Amelia, która stała zamyślona, rzuca się do nóg wojewody.

AMELIA.

Panie! mój mężu...

WOJEWODA.

Aśćka mi rozkazuj.

AMELIA

Proszę,
Pozwól mi, nim alkowę zamurują...

WOJEWODA.

Aha!

AMELIA.

Ja muszę tam wejść, mężu!

WOJEWODA.

Już aśćka się waha,
A przysięgłaś!

AMELIA.

Ja muszę tam wejść, nim dokończą.

WOJEWODA.

Jak waćpanią Bóg złączy — ludzie nie rozłączą.
Gotowi zamurować.

ZBIGNIEW na stronie.

Dzień sądu prawdziwy.

AMELIA, pokazując na alkowę.

Panie, tam jest...

WOJEWODA.

Ha — jest kto? i cóż?

AMELIA.

Tam jest żywy...

ZBIGNIEW na stronie.

Kto? czy tam król?

AMELIA.

Konterfekt méj nieboszczki matki.

WOJEWODA.

Na Boga ran siedmioro, wybieg bardzo gładki!
Precz od kolan! a wy tam spieszniéj z tą robotą.
Rozwiedziemy się, pani; tę obrączkę złotą
Odbierzesz, cudzołożna żono, w konsystorzu.
A teraz mi acani utoniesz jak w morzu.
Pod klucz serce, nie będziesz mnie więcéj hańbiła.

CHMARA.

Panie, mur dokończony.

WOJEWODA.

Zamknięta mogiła.
Na murze krzyż napisać.

ZBIGNIEW znajduje wachlarz rozłożony, na którym był Mazepa o swojém przyjściu napisał. Czyta i chowa wachlarz.

O! nieba, co widzę.

WOJEWODA.

Chodź stąd waćpani, nie płacz, ja z łez próżnych szydzę,
Precz stąd wszyscy, tu będzie królewska kaplica;
A za ołtarzem straszna, trupia tajemnica,
Między tobą, niewierna, a piekłem chowana.
O! straszliwa to ściana! bolesna to ściana!

Do Chmary.

A wy, co tam byliście tego muru bliscy,
Milczcie. *Et requiescat in pace!* I wszyscy
Precz stąd.

Wychodzą wszyscy. Wojewoda ostatni żonę za rękę na pół omdlałą wyciąga.

*

Akt IV.

SCENA I.

Pokój ciemny — okno jedno z kratami — Amelia sama, potem Chmara.

AMELIA.

Z wszystkich nędz — najstraszniejsze ludzkie zapomnienie.
O! jak posępnie błyszczą księżyca promienie!
Już druga noc, jam ani godziny nie spała.

CHMARA, wchodząc z wody dzbankiem i z chlebem.

Czy pani będzie jadła?

AMELIA.

Nie.

CHMARA.

Pani płakała?

AMELIA.

Nie. Czy nikt się nie pytał ciebie, panie Chmara,
Jak ja się mam?

CHMARA.

Nikt, pani.

AMELIA.

I nikt się nie stara
Za mną? nikt się nie wstawia? Czy jegomość w zdrowiu?
Powiedz, że tu od tego na dachu ołowiu
Zimno mi, ja mam febrę.

CHMARA.

Czy przysłać doktora?

AMELIA.

O! nie, jeszcze nie jestem ja śmiertelnie chora,
Tylko mi zimno. Czy tu ksiądz nie przyjdzie do mnie,
Ksiądz spowiednik?

CHMARA.

Pan się dziś rozgniewał ogromnie
Na panicza, godzinę się kłócili z synem.

AMELIA.

Ach!

CHMARA.

Panicz się za księdzem ujął kapucynem,
Lecz bardzo było trudno dójść do ładu z panem,
Wreszcie zezwolił. Oto chleb i woda z dzbanem,
Niech się pani posili, wszystko dobrze będzie.
Przypomniały dziś panię panu dwa łabędzie,
Co przypłynęły po żer aż pod okno szklane,
Pan je chciał spłoszyć.

AMELIA.

Moje łabędzie kochane.

CHMARA.

Pan je chciał spłoszyć, nawet już ze strzelby mierzył,
Ale pan Zbigniew ręką po lufach uderzył

I nabój poszedł na wiatr. Jegomość już wzdycha;
Wczoraj ledwo przy stole wziął się do kielicha,
Nie mógł dopić i ryknął jak lew — wstał od stołu
I chciał odbić alkowę... ba — pańskiemu czołu
Coś cięży, coś dolega — wstyd samego siebie.
Ja go znam — on się prędzéj pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu, to panisko dumne,
Ja go znam; taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.
Ja go znam, to dotkliwy jest pan na honorze.

AMELIA.

Panie Chmara, acana słowo wiele może.
Proś acan jegomości i nalegaj na to,
Aby zajrzał w alkowę.

CHMARA.

Juściż, całe lato
Nie przejdzie tak, wypłynie na wierzch tajemnica,
Ale teraz nie można.

AMELIA.

Czemu?

CHMARA.

Tam kaplica,
Gdzie był pokój imości, ołtarz gdzie alkowa.
Królisko się tam ciągle z brewiarzem chowa.
Wpadł w religijny afekt i sprowadził popów
Unitów.

AMELIA.

Panie Chmara, zbierz ty kilku chłopów.
Pójdź w nocy, każ rozwalić mur, pan się przekona,
Że niewinną posądził, że ja wierna żona.
Ty nawet panu wielką uczynisz przysługę.

CHMARA.

Ale, pani, tam człowiek jest — ja w tę framugę
Zajrzałem, stał tam blady jak trup.

AMELIA.

Matko Boska!
Czy to jest urok jaki! Panno Częstochowska!
Czy jaki zły duch ludziom tym pokazał lice.
Człowieku, ty widziałeś szatana źrenice,

Błyszczące się w ciemności po nad mojém łożem.
Idź precz! idź, jesteś kłamcą.

Chmara wychodzi.

SCENA II.

AMELIA sama.

O! gdyby tym nożem
Można się przebić i być spokojną i zasnąć!
Nie, nie, nie mam odwagi — ja muszę zagasnąć
Zwolna, wypiwszy do dna ten kielich goryczy.
Cóż to? słychać po wschodach znów krok tajemniczy?
Ktoś idzie, ksiądz zapewne.

SCENA III.

AMELIA, ZBIGNIEW wchodzi zakapturzony, w księdza habicie

AMELIA rzucając się ku niemu.

To anioł z obłoków.
Zbigniewie, jam poznała szelest twoich kroków!
To ty!

ZBIGNIEW.

Precz! precz! — z daleka ode mnie.

AMELIA.

Co słyszę?
To musi być kto inny.

ZBIGNIEW odsłania twarz.

To ja.

AMELIA.

Gniew kołysze
Twoją wiotką postacią jak znikomym cieniem.
I z czémże ty przyszedłeś do mnie?

ZBIGNIEW.

Z potępieniem.

AMELIA.

Za cóż ty mię potępić chcesz? Ty cały drżący.

ZBIGNIEW.

Przyszedłem cię potępić jak umierający,
I przekląć — i przed tobą trupem się położyć,
Lecz pierwéj przekląć.

AMELIA.

Skądże ci mnie biedną trwożyć!
Dla czego ty przeklinać mnie masz? Wszak ty jeden
Nie masz prawa przeklinać.

ZBIGNIEW.

O! tu mi był Eden.
Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia,
Hymnem anielskim twoje tłumione westchnienia,
Twoja dusza połową méj duszy weselszą;
Nie mówiłem ci tego, pókiś była bielszą;
Teraz ty czarna, ciebie już słowa nie splamią,
Choćbym powiedział: kocham — oczy twoje kłamią,
Serce twoje jest brudne, usta twoje drżące
Zdają mi się tak na mnie oddychać gorące,
Że mi się czoło pali i więdnie. O! matko,
Zdaleka stój. Przyszedłem się na twoją gładką
Twarz zapatrzeć i ludzkiéj piękności urągać.
Nie śmiej już po mnie żadnéj przysięgi wyciągać,
Bo już nie mógłbym przysiądz, żeś nie jest fałszywą;
Chociaż ty mnie przysięgać nauczyłaś krzywo,
Ja ciebie teraz czegoś nawzajem nauczę.
Chodź tu, powiem na ucho. Utnij włosy krucze,
I powieś się, lub — słuchaj, zakryj twarz włosami,
Bo się nie płonisz.

AMELIA.

Zbigniew!

ZBIGNIEW.

Ty mię raz już łzami
Oszukałaś, więc oszczędź sobie teraz mdłości,
O! jak ja tę kobietę kochałem! — litości!
O! jak ja tę kobietę kochałem!

AMELIA.

Zbigniewie.

ZBIGNIEW.

Ktoby myślał, że ona nic o żądzach nie wie!
Ja sam myślałem, głupi! Teraz dobrze pomnę.
Jakie mi ona nieraz uściski nieskromne,
Jakie gorące usta na czole mi kładła.
Drżę cały, kiedy myślę — i tego widziadła
Nie mogę teraz wygnać z pamięci, nie mogę!
Śmiała się ze mnie w duchu! Chodź, dam ci przestrogę:
Nie kochaj się ty nigdy w człowieku cnotliwym,
Bo to jest miłość długa i głupia, i żywym
Nie przystoi; lecz musi być wreszcie wyśmianą.

AMELIA.

Jakżem się ja za niego modliła dziś rano!

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELIA

Czy wiesz ty, co do mnie mówiłeś, Zbigniewie?

ZBIGNIEW.

Czy ty go bardzo kochasz?

AMELIA.

Kogo?

ZBIGNIEW.

O! żarzewie
Piekielne! ona pyta kto? — wiesz! twój kochany!
Wiesz, o! ten podły... o! ten tchórz, zamurowany.
Czy ty go bardzo kochasz? mów! mów! klnę się duszą,
Że się rączęta twoje w moich rękach skruszą,
Jeśli nie powiesz — wyznaj, nie potrzeba szlochać,
Ty zamurowanego musisz bardzo kochać,
Bo ty myślisz, że się on poświęcił za ciebie?
Kłamstwo! omdlał ze strachu, to tchórz, jak Bóg w niebie!
To tchórz, ze strachu omdleć musiała gadzina.
Ale gdy się obudził, to ciebie przeklina,
To pierś drze, i przeklina; ręce w piersiach broczy,
Ot i chciałby tę swoją krew ci rzucić w oczy,
Tu, gdzie te łzy po czystym migają lazurze.
On cię przeklina, ręce swe krwawi na murze,

Potem je niesie do ust z głodu i krew pije,
Ten człowiek teraz przekleństwami żyje.

Zamyśla się.

Ona go będzie wiecznie kochać umarłego...
To sęk, jak wydrzeć marę z pamięci... bez tego
Zemsta się jak skorpion własnym jadem chłoszcze.

Ze smutkiem i skargą.

Amelio! o Amelio! chodź tu! ja zazdroszczę
Tamtemu człowiekowi i zawiść mię dręczy...
Amelio! ja jęczałem, jak on teraz jęczy,
Jak on, patrzaj! pogryzłem z bolu ręce obie,
Ja mu będę zazdrościł spokojności w grobie
Tak, jak teraz zazdroszczę męczarni i głodu...
Daj mi ten nóż... to serce chce zimnego lodu,
Obaczysz, jak ja umiem kochać, cierpieć, konać,
Daj nóż! Ja ciebie muszę kobieto przekonać,
Że gdybyś mnie kochała, to jabym był godny
Nawet miłości wiecznéj.

AMELIA.

Stój! nóż nadto chłodny,
Ja ci go mojém sercem rozdartém ogrzeję;
O! jak ten człowiek straszny! — serce we mnie mdleje.
Zbigniewie! czy ty pewny, że tam był kto taki?

ZBIGNIEW rzuca jéj wachlarz

Patrz!

AMELIA.

Wachlarz mojéj matki.

ZBIGNIEW.

Czytaj! tam są znaki,
Po których ja poznałem, że był.

AMELIA.

Chryste Panie!
Prowadź ty mnie, przed królem uczynię wyznanie.
Prowadź mię! ja niewinna, lecz tam człowiek kona.
Potem umrę ze wstydu i w twoje ramiona
Upadnę skonać. — Ty mię uwierzysz niewinną.

O! przed królem ujrzycie wy mnie teraz inną,
Ja was tam dobrze wszystkich i ciebie przekonam,
Ja wam opowiem wszystko, co wiem, potem skonam.
To może wy się przecie zmiękczycie litością.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, WOJEWODA.

Waćpani masz przed królem stanąć jegomością
Ze mną! Rzecz się odkryła.

Wyciąga za sobą żonę.

ZBIGNIEW.

Bronić ją! niewinna!

Zrzuca habit księdza i wychodzi.

SCENA V.

Pokój jak w trzecim akcie przemieniony na kaplicę. — KRÓL stoi na stopniach ołtarza. — Kilku KSIĘŻY. Potem WOJEWODA, AMELIA, potem ZBIGNIEW.

KRÓL.

A! to, święci ojcowie, jakby powieść gminna,
Mury jęczą — trudno tu strachom nie dać wiary...
Coś mi się bardzo kręci wojewoda stary.
Żona jego zniknęła — może tu zamkniona.

Wojewoda wchodzi z Amelią.

WOJEWODA.

A ot mi, królu, zmartwychwstała żona.

KRÓL.

Lecz tam jęk słychać było, przeniknął mi kości.
A, panie wojewodo, gdzie jest syn waszmości?

WOJEWODA.

Nie wiem!

Wchodzi Zbigniew.

A ot i Pan Bóg zesłał mego syna.

KRÓL.

To rzecz dziwna! Ojcowie święci, to kraina
Zaczarowana — duchy wywołane stają.
Mury te, wojewodo, dziwne rzeczy tają,
Rozkazujemy zaraz tę ścianę rozwalić.

WOJEWODA.

Wolałbym, miłościwy panie, zamek spalić,
Za mur ten nie zajrzawszy — lecz gdy taka wola...
Panie Chmara, rozbić mur... Panie Chmara, hola!
Krzyknij mi tam na ludzi, niechaj przyjdą z młoty.
Lecz, miłościwy panie królu, ten skarb złoty
Będzie należeć do mnie... cały skarb cacany —
Bo to skarb przez małżonkę moją pochowany.

KRÓL.

Rozbić mur.

Ludzie rozwalają mur, jeden z księży wchodzi do alkowy.

Cóż tam?

KSIĄDZ.

Jakiś człek bez zmysłów leży.

KRÓL.

Wynieść go tu!

WOJEWODA.

Lecz, królu, on do mnie należy.

SCENA VI.

CIŻ SAMI, MAZEPA wyprowadzony z alkowy przez księdza.

KRÓL.

Co to znaczy? mój własny paź — to pan Mazepa.

WOJEWODA.

Fortuna mi, jak widzisz, królu, daje ślepa
Twego pazia za trupa.

KRÓL.

Ocucić go winem.
Na Boga! Wojewodo, z twoim panem synem
Odpowiecie przed sądem i przed trybunały!

WOJEWODA.

To mi więc, mości królu, jest krok nazbyt śmiały
Zabić cudzołożnika?

KRÓL.

Rzecz się ta wyświeci...
Gościnny mi się wcale zdaje dom waszeci!
Panie Mazepo, cóż się waćpanu wydarza?

MAZEPA.

Mości królu, wychodzę z pod tego ołtarza
Jak Lazarus, rzecz całą jak była odsłonię,
A przynajmniéj, że honor téj pani obronię,
Która niewinnie męża posądzenie znosi.
Potem paź, kogo trzeba pokornie przeprosi,
A komu trzeba — mignie pod oczy żelazem.
Wyprawiony przez ciebie, panie mój, z rozkazem,
Wziąwszy za nadrę listy, groźby i odprawę,
Musiałem tu załatwić honorową sprawę...
W pojedynku zaś owym, przez traf oczywisty,
Przeciwnik mi otworzył szablą twoje listy,
A ja w otwarte, jak paź ciekawy...

KRÓL.

Mazepo!

MAZEPA.

Listy te były takie, żem się tu na ślepo
Wrócił do zamku. — Króla chcąc uniknąć twarzy,
Wkradłem się do ogrodu, nie spotkałem straży,
I długo ważąc w myślach owego wieczora,
Kogoby w mojéj biedzie wziąć za protektora,
Albowiem mnie to srogie groziło więzienie,
Wpadłem, bo tak nieszczęsne chciało przeznaczenie,
Do pustego pokoju téj pani. — Wtem słyszę,
Ktoś nadchodzi — osób dwie — kilka słówek piszę
Na wachlarzu jejmości o prezencyi własnéj,
Potem z trwogi do ciupy téj wpadam niejasnéj
I zapuszczam firanki. — Moja dotąd wina! —
Z wojewodzicem była to wojewodzina.
Jużem chciał łeb wychylić jak ryba z niewoda,

Gdy oto wpada z ludźmi zbrojny wojewoda,
Krzyczy, grzmi, wietrzy — zwietrzył mnie za tą firanką;
Już miałem wyjść i moją szabelką acanką
Drogę sobie otworzyć i wrota kozacze...
Lecz słucham — ona, panie miłościwy, płacze;
Ona, kiedy mąż wrzeszczy i tupce ciemięga,
Na krzyżu mu najświętszym Chrystusa przysięga,
Że mnie w alkowie nie ma. — Jakże tu wyjść było?
Przysięgła — jam się kurczył i serce mi biło:
Już myślałem, że burzę przeczekam bez szwanku.
Wtem wojewoda ludzi zawołał z krużganku...
Przyszli — ja słucham — włosy mi wstają na głowie,
Każe mnie kamieniami zawalić w alkowie...
Walą głazy — ja słucham — stosują do węgła...
Lecz jakże było, królu, wyjść? — ona przysięgła!
Téj kobiecie by nigdy wtenczas nie wierzono...
Nie wyszedłem. Lecz jakże drżało moje łono,
Gdy usłyszałem już mur rosnący przedemną.
Zamurowali... Ciszę uczułem podziemną...
W oczach stanęły różne młodości obrazy,
Wyciągnąłem przed siebie ręce, czuję głazy
Zimne, nieporuszone... zacząłem żałować,
Że się tak marnie dałem żywcem zamurować...
I zdjął mię strach, o głodzie pierwsza myśl nadbiegła;
Gdzie zajrzę, ciemność; czego się dotknę, to cegła.
I zdjął mię strach i strach mi był bratem do końca.
Nie wiem wiele tych godzin minęło bez słońca,
Jużem się rezygnował na wszelkie boleści,
Wtem słyszę, coś nademną jęczy i szeleści;
Szukam, przebiegam ręką drżącą czarne ściany,
Znalazłem... to kanarek był zamurowany
I zdychający z głodu. — Te skargi pisklęce,
Trzepiotanie się jego, gdy konał na ręce,
Taką mię zdjęły zgrozą, że padłem bez ducha.

KRÓL.

Byłbyś tam waszeć zamarł jak w bursztynie mucha,
Gdyby nie ja. — Nad czémże dumasz, wojewodo?
Nie widzimy, aby to było z jaką szkodą

Waścinego honoru, że ten świszczypała
Zmartwychwstał.

WOJEWODA.

Co?

KRÓL.

Ta rzecz się przez omyłkę stała.
Paź mówi prawdę, mógłbym pokazać te listy,
A obaczyłbyś waćpan, że miał zamiar czysty,
Że pragnął owszem honor waściny ocalić.

WOJEWODA.

Na Boga! To mnie, królu, na nic się nie żalić?
Być ukontentowanym, z hańbą zostać wiecznie...
Nie prawdaż?

KRÓL.

Ja tu hańby nie widzę.

WOJEWODA.

To grzecznie!
To, miłościwy panie, dowód twojéj łaski...
Więc ty hańby nie widzisz? Ja stawiam zatrzaski
Na wilka, a złowiłem wróbla i czyżyka;
Pokój chcę zamurować — i cudzołożnika
Zamurowałem. — Smutny to wypadek, panie! —
A teraz niech się ze mną wola boska stanie;
Ale ja tego pazia już mam i nie puszczę.

KRÓL.

Co? i ty śmiesz?...

WOJEWODA.

Gdy jeleń wejdzie w moją puszczę,
To, mości królu, jeleń mój, ja dobrze strzelam.
Ja tu was teraz starą męką rozweselam.
Śmiejcie się! i ty, żono, śmiej się, pókiś żywa...

KRÓL.

Cóż to za zemsta w starym twarda i straszliwa!

MAZEPA.

Chodzi mi o tę panię, co u waszéj mości
Nie znajduje obrony, ani też litości...

Cóż pocznie tu obelgom na zęby wydana?
Oto miłościwego mi zaklinam pana,
Aby temu, co powiem, chciał dodać powagi
Królewskiém przyzwoleniem. Oto jest miecz nagi,
Na tym pałaszu honor niewiasty spoczywa:
Kto śmie ją lżyć, niech szabli z jaszczuru dobywa,
Ja żądam sądu Boga.

KRÓL.

Zezwalamy z żalem.

WOJEWODA, dobywając szabli.

Chodź się bić!

KRÓL.

Ty sam, starcze?

WOJEWODA.

Ja będę rywalem
Tego gacha, co broni niewiernicy sprośnéj;
A jużby też był Pan Bóg bardzo nielitośny,
Gdybym ja go nie zabił.

ZBIGNIEW.

Ojcze, zdaj to na mnie;
Lecz jeżeli ja zginę, to wtenczas przynajmniéj
Uwierz ty w jéj niewinność... Niechaj żyje błoga,
Krwią ludzką od potwarzy broniona przez Boga.
Przyrzekasz mi? tu boski cios nie może minąć...
Przyrzekasz mi?

AMELIA do wojewody.

Nie pozwól mu iść, on chce zginąć.

WOJEWODA.

Precz! on zwycięży — a ty...

Odpycha ją.

No, synu, do szabli!
Zbigniewie! ot mi teraz szepcą jakby dyabli,
Że ty się pomścisz za mnie. Czy czujesz to w sobie?
Jeżeli nie, to zostań.

ZBIGNIEW.

Nie myślę o grobie!
To za wcześnie, za wcześnie. Cóż, panie Mazepo,
Co się tak mamy rąbać i może na ślepo
Przy księżycu, albo li przy pochodni blasku;
Proponuję broń palną. Miejsce w bliskim lasku...
Czekam na pana.

MAZEPA.

Chodźmy!

ZBIGNIEW.

A ha, mości panie!
Nim się tu z nami wola Pana Boga stanie,
Jako rycerz osoby, któréj cześci bronisz,
Warto, że się jéj kornie do kolan ukłonisz,
Że ciebie i obrończą broń pobłogosławi...

WOJEWODA.

Paź przed nią?...

ZBIGNIEW.

Jeśli winna, to pazia odprawi
Z błogosławieństwem zguby... Bóg winnym nie sprzyja.

Mazepa klęka przed Amelią, która stoi nieruchoma.

WOJEWODA, do Amelii.

Słyszysz! Błogosławieństwo waćpani zabija,
Błogosław go! Cóż, martwa jak kamień, daj rękę!

AMELIA, wyrywając rękę Wojewodzie.

Czemu mnie waćpan ciśniesz?

Błogosławiąc Mazepę.

Na Chrystusa mękę,
Bądź błogosławiony. A tamten? a drugi?...

WOJEWODA.

Tamtego błogosławił ojciec... Hej! niech sługi
Wyjdą w las z pochodniami; poświecić synowi.

ZBIGNIEW.

Niech nikt nie idzie za mną.

WOJEWODA do Zbigniewa.

Zamorduj! — strach mrowi
Przenika mnie... Zamorduj! — mierz w serce głęboko.

Zbigniew całuje ojca w rękę i daje znak Mazepie, Wychodzą oba,

SCENA VII.

CIŻ SAMI, prócz Zbigniewa i Mazepy.

KRÓL do Wojewody.

Osłupiałeś mi coś waszmość — w ziemię wlepił oko.
Pomyśl, jeszcze czas cofnąć tych szaleńców obu.

WOJEWODA.

Już nie czas, moja krzywda domaga się grobu...
Już nie czas, mości królu! Wszak tam winny padnie.
A mój syn... ot mi czoło ni trochę nie bladnie;
Mój syn przeciwko mojéj cześci nie zawinił.
Niesprawiedliwość by to sam Pan Bóg uczynił,
Gdyby mój syn nie wrócił. Cyt, proszę o ciszę;
Proszę... o wielką cichość...

Chwila milczenia, słychać strzał z pistoletu.

KSIĄDZ.

To sąd Boga.

WOJEWODA.

Słyszę. —
To mój syn strzelił... drugi nie strzela. Nie strzeli...
Już mu się czoło śmierci okropnością bieli,
Już serce pękło... leży u stóp mego syna.
Bądź pochwalony, Boże! Twoja to przyczyna,
Najświętsza Panno, ciebie moje serce sławi!
Jakże się nad tym trupem mój syn długo bawi...
To dziwnie, strzał był tylko jeden mego syna,
A po nim już ogromna ubiegła godzina —
Trup musiał umrzeć... czemuż tu nie widać mego...

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, MAZEPA wchodzi z pistoletem w ręku i staje przy królu.

WOJEWODA.

Gdzie jest mój syn? gdzie syn mój? Gdzie mój syn? Dla czego
Wy tacy bladzi? — W imię przenajświętszéj Panny
Co to jest? — Pokaż mi piersi twoje?

Biegnie do Mazepy i rozdziera mu żupan na piersiach.

Nie ranny!...
Mój syn zabity! — Chłopiec mój zamordowany!!!

Wali się u stóp króla twarzą do ziemi.

KRÓL.

Nie ruszać go, nie mówić nic, bo takie rany
Same się muszą goić — i łzy mają swoje.

WOJEWODA.

Gdzie moje dziecko! ja chcę widzieć dziecko moje!

Wychodzi.

KRÓL.

Iść za nim!

Jeden z księży wychodzi za Wojewodą.

SCENA IX.

CIŻ SAMI, prócz Wojewody.

KRÓL do Mazepy.

Czy się wszystko odbyło z honorem?...

MAZEPA.

Nie pytaj, najjaśniejszy panie; on był wzorem
Szlachetności i wdzięku, śmierć miał bardzo smutną.
Zajmij się ty jéj losem; patrz, blada jak płótno,
Posąg, który się trzyma strętwieniem boleści...
Jéj ducha anioł teraz podnosi i pieści...
A ona mu rozpaczy ciszą odpowiada.

Patrzcie, powraca stary, wraca mara blada...
Nie zatrzymujcie, idzie obłąkany, puśćcie!

SCENA X.

CIŻ SAMI, Wojewoda wraca niosąc w ręku chustę zbroczoną.

WOJEWODA.

Oto me łzy i syna mego krew na chuście.

AMELIA z obłąkaniem postępuje ku niemu.

To dla mnie.

WOJEWODA rzuca jéj w twarz chustkę krwawą.

Masz ją w oczy.

AMELIA.

A!... A!...

Pada na wznak omdlała.

KRÓL.

To dzień sądny!

WOJEWODA.

Królu! proszę na pogrzeb, a będzie porządny...
A ty mi, panie, wszakże nie odmówisz, sądzę,
I ten paź także. U wrót zasunąć wrzeciądze!
I ten paź także... Czarną wywiesić chorągiew...
Tokaju z beczek zaraz utoczyć do stągiew,
Będzie stypa...

KRÓL, na stronie.

On, widzę, mię tu więzi gwałtem.

WOJEWODA.

Dla oszczędności, grzebać będziemy ryczałtem.

*

Akt V.

SCENA I.

Sala w zamku, WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Czy syn już w trumnie?

CHMARA

W trumnie już panicz spoczywa.

WOJEWODA.

Czy moja żona jeszcze nie umarła?

CHMARA.

Żywa,
Ale już jéj nie długo.

WOJEWODA.

Teraz, panie Chmaro,
Cokolwiek się tu stanie z mą głową starą,
Waćpan mię nie opuścisz?

CHMARA.

Przysięgam na krzyżu.

WOJEWODA.

Więc ty widziałeś wojsko kwarciane w pobliżu?

CHMARA

Jadąc po trumnę, wojsko spotkałem i działa.
Tu szli.

WOJEWODA.

Stąd o dwie mile?

CHMARA.

O dwie.

WOJEWODA.

Bogu chwała,
Dosyć mam czasu. Król chce wyjechać koniecznie,
Ja króla puszczę; lecz paź tu zostanie, wiecznie,
Choćby mi spadł łeb siwy. Idź, czekaj rozkazu.

Chmara wychodzi.

Proszę, nie zapłakałem jeszcze ani razu,
Tak mi ta zemsta wszystkie łzy w oczach wypiekła.
Lękam się tylko, by mi już z rąk nie uciekła.

SCENA II.

WOJEWODA, KRÓL ubrany jak do podróży, MAZEPA — kilku pokojowych królewskich.

KRÓL.

Mój wojewodo, z naszą by to chęcią było
Nad twojego chłopaka zapłakać mogiłą,
Bo to nam i pancerny tęgi wojak ubył.
Zaprawdę, że to smutna rzecz! on wczoraj tu był,
Śmiał się z nami, rozmawiał, dziś już gdzieś przed Bogiem,
A na nas tu spogląda z litością, i głogiem
Nazywa róże świata. To rzecz jest głęboka,
Kiedy tak nagle młodość nam schodzi z przed oka
I wynosi swe wszystkie za ten świat nadzieje.
Dziwnie, że się i kiedy człowiek głośno śmieje,
Będąc na takim świecie; lecz cóż robić z dolą!
Stary mój druhu, jak ci te rany przebolą,
Zapraszamy cię do nas, do stolicy, w gości.
Dalipan, że mi smutno rzucać dom waszmości,
Ale są interesa Rzeczypospolitéj
I te mnie bardzo naglą.

WOJEWODA.

Pogrzeb nie odbyty
A ty, panie, wyjeżdżasz?

KRÓL.

Wierzaj, wojewodo,
Że gdyby to nie było z wielką kraju szkodą...

WOJEWODA.

Ot — na co próżno gadać, miłościwy panie,
Ty wyjeżdżasz; lecz syna mego kat zostanie.

KRÓL.

Na Boga! mości panie, na co?

WOJEWODA.

By zdał sprawę.

KRÓL.

Cóż to? czy waszmość sądną chcesz postawić ławę?
A niechże się coś waszmość na króla ogląda,
Czy waszeć męki, czy waść krwi człowieczéj żąda?
Na Boga! a to może, gdy mi pryśniesz w oczy,
I waćpana się głowa po trumnie potoczy.
Śmiałżebyś tutaj zrobić rokoszową próbę?
Czy waść myśli uwięzić królewską osobę?

WOJEWODA.

Król stąd wyruszy — ale bez pazia wyruszy.

KRÓL.

Zobaczymy, czy śmiesz nas trzymać? Waść się puszy,
Ale waść nie śmie.

WOJEWODA.

Żadnéj nie użyję siły,
Ale ci, królu, drogę zastąpią mogiły.

KRÓL.

Do szabel, mospanowie.

WOJEWODA.

Moja w pochwie leży.
Kazałem zaszpuntować gardła mych moździerzy.
Ja się nie oprę siłą; tylko w moim dworze
Nieprzestąpiony jeden próg tobie położę...
Próg dla królewskiéj nogi.

KRÓL.

Ba — gadzino dumna!

Wojewoda wychodzi do bocznego pokoju i wraca, niosąc na ramionach trumnę syna, którą w drzwiach stawia poprzek.

WOJEWODA.

Oto jest, mości królu, syna mego trumna,
Oto próg, mości królu, święty trup człowieka.
Teraz że, najjaśniejszy panie, ojciec czeka.
Niechaj twoja ostroga to ciało ubodzie,

Niech będzie każda hańba znaną w moim rodzie.
Daj pazia, lub idź, panie.

KRÓL.

Odsuń tego trupa.

WOJEWODA.

O! teraz dobrze moja zamknięta chałupa.
Cóż, panie paziu, ze mną zostajesz? czy zgoda?
Ja waćpana dzień jeden chcę mieć. Dzisiaj środa?
W piątek wypuszczę, żywcem wypuszczę, niech zginę.
Lecz cię żywego będę miał, choć przez godzinę.
Na Matkę się najświętszą klnę, że wyjdziesz żywy,
Ja tylko chcę mieć ciebie w rękach.

MAZEPA na stronie.

O! straszliwy.
W ręce mię chce wężowe owinąć jak bluszcze.

WOJEWODA do króla.

Przysięgam, panie, że ci go żywcem wypuszczę.

MAZEPA do króla na boku.

Panie, zostaw mnie, sam jedź. Twoje szyki blisko.
Przyjedziesz tu, działami otoczysz zamczysko; . .
Mnie się tu nic nie stanie, król stracisz powagę.
Mam szczęśliwe przeczucie, będę miał odwagę.
Król wrócisz za godzinę.

KRÓL, namyśliwszy się, do wojewody,

O! starcze zacięty,
Ja ci pazia zostawiam; lecz za jeden zdjęty
Włosek z niego — za jedną plameczkę na cześci,
Ty mi odpowiesz głową.

WOJEWODA.

W tym domu boleści
Paziowi będzie dobrze.

KRÓL.

Zobaczym się, stary.

Wojewoda trumnę bierze na ramiona, król i pokojowce wychodzą.

SCENA III.

MAZEPA, potem Chmara i słudzy w żałobie.

WOJEWODA.

Nie wiem, czy do widzenia? tu szerokie mary,
Ja może pójdę z synem — tu śmierć ludzi ściga.
O! patrzajcie, jak człowiek krzyż Chrystusa dźwiga,
Zmorduje się i gotów się powalić trupem.

Kładzie trumnę na środku sali.

MAZEPA na przedzie sceny sam z sobą gada, Wojewoda zaś nad trumną stoi i daje rozkazy.

Zostałem się więc teraz królewskim okupem.
Stary zda się, że nie dba, ani na mnie patrzy.
Lecz się w nim żółć gotuje strasznie, coraz bladszy,
Coś żuje, jakby zemstę żuł.

WOJEWODA.

Hej! panie Chmara.

Wchodzi Chmara i słudzy.

Ustawić tu katafalk — trupów będzie para.

MAZEPA.

Zimno mi trochę.

WOJEWODA.

Rzędem postawić gromnice.

MAZEPA.

Wolałbym jaką prędką śmierć — jak błyskawicę.

WOJEWODA.

Na drugiéj trumnie także przybić moje herby.

MAZEPA.

To nie dla mnie.

WOJEWODA do Mazepy, uderzając go po ramieniu.

Mospanie!

MAZEPA.

Co?

WOJEWODA.

Czy liczysz szczerby

Na tym suficie?

MAZEPA.

Patrzę na sufit bez celu.

WOJEWODA.

Stary dom.

MAZEPA.

Jeszcze potrwa.

WOJEWODA.

Dłużéj niż nas wielu.

MAZEPA.

Życie jest w ręku Boga.

WOJEWODA.

Waszmość mi pozwoli,
Że zostawię samego, jest to dom niedoli,
Ot zostawiam waćpana z nim.

Pokazuje na trumnę syna i do niéj mowę obraca

A wstańże, śpiochu!
Wstańże i baw. Co, nigdy już? nigdy! Garść prochu!
Kilka desek i wszystko!

MAZEPA na stronie.

Biedny stary.

WOJEWODA.

Proszę,
Zostań waść z tym nudziarzem i baw się potrosze,
Jak można, aż powrócę.

MAZEPA.

Mam suplikę jedną
Do ciebie, mości panie.

WOJEWODA.

Co? masz matkę biedną?
Którą żywisz? ja dam jéj dławiącego chleba,
Jak waść umrzesz.

MAZEPA.

Tu mówić otwarcie potrzeba.
Syn twój — wielmożny panie, nim skonał...

WOJEWODA.

Nim? daléj.

MAZEPA.

Kilka mi próśb ostatnich zdał.

WOJEWODA.

Starcze, oszaléj!
Syn go exekutorem zrobił testamentu.

MAZEPA.

Nie chcesz więc słuchać, panie, cierpliwie?

WOJEWODA.

Bez wstrętu.

MAZEPA.

Klnę się Bogiem i śmiercią, jak sądzę, już bliską,
Że mam czyste zamiary. To biedne chłopczysko
Polecił mi, bym widział się tu z matką panią.

WOJEWODA.

Ja ci ją przyślę.

Wychodzi.

SCENA IV.

MAZEPA później AMELIA.

MAZEPA.

Boże! o jakże mię ranią
Słowa tego człowieka, próżno — cierpieć muszę.
Wartoby też i na śmierć przygotować duszę,
I pomodlić się Pannie Najświętszéj przy trumnie.
To potem czoło moje będę nosił dumnie,
I będzie mi pomocą Przenajświętsza Trójca.

Wchodzi Amelia z rozpuszczonymi włosami, biało ubrana.

Otóż i ona... Jaka ty blada?

AMELIA, dając mu znak, aby się nie przybliżał.

Zabójca!

MAZEPA.

Pozwól mi się przybliżyć, biedna moja pani,
Nie oddalaj mnie ręką, jesteśmy związani

Łańcuchem tajemnicy, jak trzy cienie bratnie.
Ja mam od umarłego zlecenia ostatnie.
On ciebie kochał, pani.

AMELIA.

On!

MAZEPA.

Śmierć jego sama...

Amelia pokazuje ze zgrozą na Mazepę.

O! nie, na czole mojém krwi nie leży plama;
Jam go nie zabił.

Amelia postępuje krokiem ku niemu.

Słuchaj, gdyśmy byli w lasku
Brzozowym, przy księżyca ujrzałam go blasku
Bardzo smutnym i bladym. Co? serce ci bije?

Amelia daje znak ręką, aby mówił daléj.

On mi się rzucił pierwszy z uściskiem na szyję,
I położywszy głowę mi na pierś bijącą,
Milczał długo i rękę moją trzymał drżącą.
Niestety! w mojéj ręce była broń nabita!
Nagle strzał usłyszałem. Patrzę — on się chwyta
Rękami za powietrze i na wznak się wali.
Przybiegam — patrzę; mały sznureczek korali
Zbiegał mu po puklerzu i plamił stokrocie.
Otworzył oczy całe w księżycowém złocie,
I rzekł... przebacz! ty byłeś rycerzem zhańbionéj,
Ja ginę z ręki przez nią pobłogosławionéj,
Przebaczcie mi i razem pamiętajcie o mnie.
Potem zaczął pacierze mówić nieprzytomnie,
I zamknął oczy pełne łez — mówiąc o tobie.

Amelia zaczyna płakać.

O! płacz! o! płacz go, pani — ten, co leży w grobie,
Godzien jest teraz naszéj zobopólnej cześci.
Amelio — oto jestem ci bratem boleści;
Jeśli kiedy ja biedny na dworze sierota...
Wszak nie masz braci? Jeśli więc biedna istota,
Dworskie pachole, może być tobie pomocą?
Otom jest na kolanach.

AMELIA, kładąc ręce na głowie klęczącego pazia i nachylając się nad nim.

Niech ci drogę złocą
Matki Boskiéj anieli. Ja umierająca.

SCENA V.

CIŻ SAMI, WOJEWODA.

WOJEWODA chwyta za rękę Amelia i odrzuca ją od pazia.

Co? w obec trupa?

AMELIA.

Niech mię waszmość nie odtrąca,
Ja sama padnę — jestem otruta.

Chwiejąc się, idzie i klęka przy trumnie.

WOJEWODA.

To dumnie!
A nie kładź się waćpani tam, na dziecka trumnie,
Bo ją splamisz.

MAZEPA.

Okropność! Starcze, daj, niech skona.

WOJEWODA.

Co? trupie ty!

SCENA VI.

Ciż sami, CHMARA, potem GONIEC od króla.

CHMARA

Posłaniec króla.

WOJEWODA.

Śmierci wrona,
Niech wleci, ścierwo tutaj gotowe i świeże.

Goniec wchodzi.

GONIEC.

Król jegomość, spotkawszy kwarciane żołnierze,
Jest przed zamkiem i każe ci otworzyć wrota,
O dworzanina się też upomina.

WOJEWODA,

Złota
Wolność szlachecka, zamku nie dam. Niech król bierze,
Co zaś do dworzanina, na szlacheckiéj wierze
Król może polec, pazia mu wypuszczę żywcem;
Ale król będzie dobrym, mopanku, myśliwcem,
Jeśli go złowi.

GONIEC.

Mości panie, są harmaty.

WOJEWODA.

Da się to słyszeć — idź precz.

Goniec i Chmara odchodzą.

SCENA VII.

WOJEWODA, MAZEPA i AMELIA, umarła na trum nie.

WOJEWODA.

Moje antenaty,
Cieszcie się, ja ostatni nie bez szlachetności
Światowi daję habdank.

MAZEPA na stronie.

Mróz idzie przez kości.

WOJEWODA, zbliżając się do Amelii.

Cóż to? na trumnie! — czy to cudzołożne łoże?
Cóż to? waćpani milczysz. Co? ja ci otworzę
Piersi i tam zobaczę twój strach. Wstań obłudna.
Waćpani mi tak była zawsze czysta, schludna,
A teraz się nie lękasz popiołem powalać.
A wstańże imość i precz!

Zrzuca ją z trumny.

Jak się można skalać,
Dotknąwszy takiéj rzeczy rękami — pfu! zgroza!

Do Mazepy, który klęczy nad ciałem Amelii.

Słuchaj mię ty, urwany wisielcze z powroza!
Ty mi nie tykaj żony.

MAZEPA wstając.

Starcze wściekły, siwy,

Żałowałem cię, sądząc, żeś był nieszczęśliwy,
Teraz pogardzam.

WOJEWODA.

Mówisz, paniczu, rozumnie.
Poczekaj — pogadamy — usiądę na trumnie.
No — i cóż?

MAZEPA.

Podłą duszę masz. Jać się nie boję.

WOJEWODA.

Ha...

MAZEPA.

Mogę na proch strzaskać podłe serce twoje.
Mogę cię tu otrętwić jak piorun, co miga.
Ot, wstań z trumny, bo trup się tam pod tobą wzdryga.

WOJEWODA.

Trup mego syna.

MAZEPA

Syna twego trup się męczy,
On cię nie chce na sobie czuć, on w trumnie jęczy.
Wstań, hańbicielu zmarłych i upadnij czołem,
Bo ja tu jestem dla nich mścicielem aniołem.
Bo ja mam piorun w ustach i przez litość jedno
Nie rzucam go na twoję głowę siwą, biedną.
Na twoję nędzną głowę.

WOJEWODA.

Waszmość jesteś głupi.
Mówisz, a tu w około słuchają cię trupi;
A waszmość jesteś trzecim.

MAZEPA

Jam się zdał na Boga.
Lecz wać mi, wojewodo, do nóg — bo wieść sroga,
Bo jak powiem — waćpana krew zabić gotowa.

WOJEWODA.

Mów...

MAZEPA.

A waćpan precz z trumny.

WOJEWODA.

Mów, bo twoja głowa...

MAZEPA.

Niechże więc ciebie żółcią zgryzoty napoję. —
Ot — kochało się razem do śmierci tych dwoje!

WOJEWODA, porywając się z trumny.

Łżesz!

MAZEPA.

A ty wstałeś z trumny.

WOJEWODA.

Przenajświętsza Trójco!

MAZEPA.

I twój syn był dla żony twojéj — samobójcą.

WOJEWODA.

Mój syn — czekaj, przypomnę, czy prawda. — Ohydni!

Słychać huk dział, kilka kul wlatuje do sali.

Idź waćpan stąd — tu kule latają... Bezwstydni!
Idź waść...

MAZEPA.

Powrócę z królem, mości wojewodo!
Syn twój chce leżeć przy niéj!...

WOJEWODA.

Precz!

MAZEPA.

Z waszmości zgodą
Oddalam się, cokolwiek mię czeka za progiem.

Wychodzi. — Słychać, że go w korytarzu napadają ludzie zbrojni. — Szczęk krótkiéj walki.

SCENA VIII.

WOJEWODA sam.

Biorą go, wiążą... To mi to zemsta nad wrogiem!
Sznury się w mięso wpiły... koń ciało roztarga.
Zimno mi, synu! ojciec waszmości się szarga
We krwi, a ty się krwawéj nie przelęknij mary...
Co to jest? jak tu ciemno?... Jakie to poczwary
Całujące się głośno w ciemnym korytarzu?

A wstańże z trumny! wstańże, ohydny nędzarzu!
Powiedz, że to nieprawda!... każ się deskom spaczyć!
Wstań! otwórz ty się, trumno! ja gotów przebaczyć,
Jak mi do nóg upadniesz. — Łzy gotowe pociec...
O, trumno! ja ci gotów przebaczyć — ja, ojciec,
Jeżeli z ciebie wyjdą łzy nad moją nędzą.
Precz, trupy! Niech szatani was przez ognie pędzą!
Dosyć oszukiwania! i dosyć żywota!

SCENA IX.

WOJEWODA, CHMARA, później KRÓL na czele zbrojnych.

CHMARA.

Król...

WOJEWODA.

Daj mi kindżał.

CHMARA.

Panie, ukorz się...

WOJEWODA.

Do błota?...

KRÓL wchodzi.

KRÓL.

Wojewodo! dasz głowę...

WOJEWODA zabija się.

Ot masz... niech ją zwleką,
Lecz każ mnie od tych trupów pogrzebać daleko...

Pada martwy.

1834.

*

BALLADYNA

TRAGEDYA W 5. AKTACH.

Osoby.

PUSTELNIK, Popiel III. wygnany.
KIRKOR, pan zamku.
MATKA wdowa.
BALLADYNA, ALINA } jéj córki.
FILON, pasterz.
GRABIEC, syn zakrystyana.
FON KOSTRYN, naczelnik straży w zamku Kirkora.
GRALON, rycerz Kirkora.
KANCLERZ.
WAWEL, dziejopis.
PAŹ.
POSEŁ ZE STOLICY GNIEZNA.
OSKARŻYCIEL SĄDOWY.
LEKARZ KORONNY.
Pany — rycerze — służba zamkowa — wieśniacy — dzieci.

OSOBY FANTASTYCZNE.

GOPLANA, Nimfa, królowa Gopła.
CHOCHLIK.
SKIERKA.

Za czasów bajecznych koło jeziora Gopła.

KOCHANY POETO RUIN!

Pozwól, że pisząc do ciebie, zacznę od apologu, który mi opowiedziano nad Salaminy zatoką.

Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał, że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. — Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi; a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojéj smutny Greczyn, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza utonął.

Kochany Irydyonie! ta powiastka o falach i harfiarzu zastąpi wszelką do Balladyny przedmowę. Wychodzi na świat Balladyna z ariostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi szczepione. Niech naprawiacz wszelkiego bezprawia, Kirkor, pada ofiarą swoich czystych zamiarów; niech Grabiec miłuje kuchnię Kirkora; niechaj powietrzna Goplana kocha się w rumianym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłosnych i umarłéj kochanki; niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie

historyków i kronikarzy; a jeżeli to wszystko ma wnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem téj dziwnéj władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet nie widziane istoty; jeżeli instynkt poetyczny był lepszym od rozsądku, który nieraz tę lub owę rzecz potępił, to Balladyna, wbrew rozwadze i historyi, zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jéj chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości.

Uśmiechnij się teraz, Irydionie, bo oto, naśladując francuskich poetów, powiem ci, że Balladyna jest tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyj, czyli kronik dramatycznych. Cienie już różne ludzi niebyłych wyszły ze mgły przedstworzenia i otaczają mnie ciżbą gwarzącą; potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postacie piramidalne wypadków, a jednę po drugiéj garstkę na świat wypychać będę; i sprawdzą się może sny mego dzieciństwa. Bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie: „niestety!“ A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku. — O! nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta, — bo choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniéj mi je oświecił ów duch Irydyona, któregoś ty pod krzyżem w Koloseum położył i nakrył złotymi skrzydłami anioła.

Tak więc, kiedy ty dawne posągowe Rzymian postacie, napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego; ja z Polski dawnéj tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowéj wydobywam chóry prorockie — i na spotkanie twojéj czarnéj, piorunowéj, dantejskiéj chmury prowadzę lekkie, tęczowe i ariostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się

nasze w wyższéj krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.

Doniosły mi Sylfy, żeś powędrował teraz odwiedzić Etnę czerwoną; posłałem natychmiast Skierkę, aby ci na drodze wszystkie pootwierał kwiaty i wszystkie gwiazdy nad tobą zapalił; za to przez wdzięczność, stanąwszy na szczycie wulkanu, spojrzyj na mórz rozległe błękity i pomyśl, że niedawnymi czasy przez te zwierciadła wędrował okręt mój jak łabędź żaglami nakryty. Powiedz, czy nie dojrzysz jakiego rysu na fali, jakiego śladu po zniknionym okręcie? Księża wtenczas śpiewali hymn do Najświętszéj Panny, a ja stałem z wlepionymi w ogień Etny oczyma, smutny, że mnie fala znów tylko do Europy odnosiła. Słuchaj w ciszy powietrznéj, czy echo tego hymnu, który mi serce uciszał, nie drga dotąd w kryształowéj atmosferze? Szukaj mojego śladu w powietrzu i na fali, a jeśli o mnie na fali i w powietrzu nie słychać, to znajdź mnie w sercu twojém, i niech ja będę jeszcze z tobą przez jednę godzinę. Wszak darem to jest Boga, że my umiemy myślą latać do siebie w odwiedziny.

Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

AUTOROWI IRYDYONA

NA PAMIĄTKĘ

BALLADYNĘ

poświęca

JULIUSZ SŁOWACKI.

Akt I.

SCENA I.

Las blisko jeziora Gopła. — Chata pustelnika ustrojona kwiatami i bluszczem. KIRKOR wchodzi w karaceńskiéj zbroi, bogato ubrany z orlimi skrzydłami.

KIRKOR sam.

Rady zasięgnąć warto u człowieka,
Który się kryje w téj zaciszy leśnéj;
Pobożny starzec — ma jednak w rozumie
Nieco szaleństwa; ilekroć mu prawisz
O zamkach, królach, o królewskich dworach,
To jak szalony od rozumu błądzi,
Miota przekleństwa, pieni się, narzeka;
Musiał od królów doznać wiele złego,
Więc teraz został przyjacielem gminu.

Stuka do celi.

Puk! puk! puk!

GŁOS Z CELI.

Kto tam?

KIRKOR.

Kirkor.

PUSTELNIK, wychodząc z celi.

Witaj, synu!
Czego chcesz?

KIRKOR.

Rady.

PUSTELNIK.

Zostań pustelnikiem.

KIRKOR.

Gdybym podstarzał dziesiątym krzyżykiem,
Możebym w smutne schronił się dąbrowy;
Ale ja młody, pan czterowieżowy,
Przemyślam dzisiaj, jakby się ożenić...
Poradź mi, starcze!

PUSTELNIK.

Lat dwadzieścia z górą
Jak żyję w puszczy...

KIRKOR.

Cóż stąd?

PUSTELNIK.

Więc ocenić
Ludzi nie mogę — ani wskazać, którą
Weźmiesz dziewicę.

KIRKOR.

Te, co rozkwitały
Z dzieciństwa pączków, gdyś ty żył na świecie,
Są dziś pannami... czerwony li biały
Pączek na róży, taka będzie róża...
Przypomnij niegdyś najpiękniejsze dziecię,
Białą jak w ręku anielskiego stróża
Kwiat lilijowy — niech jéj słowik śpiewny
Zazdrości głosu, a synogarlica
Wiernością zrówna... gdzie taka dziewica?
Wskaż mi, o starcze? Mówią, że królewny
Słyną wdziękami?

PUSTELNIK.

Nieba! to ród węża,
Żona zbrodniami podobna do męża,
Córki do ojca a do matek syny;
Jak w jedném gnieździe skłębione gadziny.
O! bogdaj piorun!...

KIRKOR.

Nie przeklinaj!

PUSTELNIK.

Młody!
Przeklinaj ze mną — oni klątwy warci.
Bogdaj doznali co pomór i głody.
Bogdaj piorunem na poły pożarci,
Padając w ziemi paszczę rozdziawioną,
Proch mieli płaszczem, a węża koroną.
Bogdaj!... Klnąc zbójcę potargałem siły,
Wściekłem się jako brytan uwiązany.
Bo też ja kiedyś byłem pan nad pany,

Stutysięcznemu narodowi miły.
Żyłem w purpurze, dziś noszę łachmany;
Muszę przeklinać. Miałem dziatek troje:
Nocą do komnat weszli brata zbóje,
Różyczki moje trzy z łodygi ścięto!
Dziecinki moje w kołyskach zarżnięto!
Aniołki moje!... Wszystkie moje dzieci!

KIRKOR.

Któż jesteś, starcze?

PUSTELNIK.

Ja... Król Popiel trzeci...

KIRKOR.

Królu mój!

PUSTELNIK.

Któż mię z żebraki rozezna?...

KIRKOR.

Uzbrajam chamy i lecę do Gniezna
Mścić się za ciebie!

PUSTELNIK.

Młodzieńcze, rozwagi!

KIRKOR.

Bezprawie gorzéj od Mojżesza plagi
Kala te ziemie i prędzéj się szerzy;
Popiel, skalany dzieci krwią niewinną,
Niegodny rządzić tłumowi rycerzy.
Niech więc się stanie, co się stać powinno
Pod okiem Boga na téj biednéj ziemi.

PUSTELNIK.

Czy ty skrzydłami anioła złotymi
Z nieba zleciałeś?

KIRKOR.

Na barkach orlicy
Para tych białych skrzydeł wyrastała;
Gdy na rycerskiéj są naramiennicy,
Będzież-li rycerz mniéj niż owa biała
Ptaszyna ludziom użyteczny? — ma-li
Gadom przepuszczać rycerz uskrzydlony
Orła piórami?

PUSTELNIK.

O mężu ze stali!
Ty jesteś z owych, którzy walą trony.

KIRKOR.

Ty wiesz, jak nasza ziemia wszeteczeństwem
Króla skalana. Wiesz, jak Popiel krwawy
Pastwi się coraz nowém okrucieństwem...
Zaczerwienione krwią widziałem stawy;
Król żywi karpie ciałem niewolników.
Nieraz wybiera dziesiątego z szyków
I tnąc w kawały, ulubionym rybom
Na żer wyrzuca; resztę ciał wymiata
Na dworskie pola i czerwonym skibom
Ziarno powierza. Sąsiad ziemię kata
Na pośmiewisko zwie Rusią czerwoną.
Dotąd żyjącym pod Lecha koroną
Bóg dawał żniwo szczęścia nie zasiane,
Lud żył szczęśliwy; dzisiaj niesłychane
Pomory, głody sypie boża ręka.
Ziemia upałem wysuszona pęka;
Wiosenne runa złocą się, nim ziarno
Czoła pochyli, a wieśniacy garną
Sierpami próżne tylko włosy żyta.
Ta sama Polska, niegdyś tak obfita,
Staje się co rok szarańczy szpichlerzem;
Niegdyś tak bitna, dziś bladym rycerzem
Z głodami walczy i z widmem zarazy.

PUSTELNIK.

Ach, jam przeklęty! przeklęty! trzy razy
Przeklęty! winien jestem nieszczęść ludu.

KIRKOR.

Jako tyś winien?

PUSTELNIK.

Z rozlicznego cudu
Korona Lecha sławną niegdyś była,
W niéj szczęście ludu, w niéj krainy siła
Cudem zamknięta... oto ja wygnany,
Lud pozbawiłem téj korony.

KIRKOR.

Starcze!...

PUSTELNIK.

Korona brata mego jak liczmany
Fałszywa... moja pod spróchniałe karcze
Lasu wkopana... miałem ją do grobu
Ponieść za sobą.

KIRKOR.

Skądże téj koronie
Cudowna władza?

PUSTELNIK.

Ku ojczystéj stronie
Wracali niegdyś od Betleem żłobu
Święci królowie — dwóch Magów i Scyta.
Ów król północny zaszedł w nasze żyta,
Zabłądził w zbożu jak w lesie, bo zboże
Rosło wysokie jak las w kraju Lecha;
Więc zabłądziwszy, rzekł: „wyprowadź Boże!“
Aż oto przed nim odkrywa się strzecha
Królewskiéj chaty, bo Lech mieszkał w chacie;
Wszedł do niéj Scyta i rzekł: „Królu! bracie!
„Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
„Twoich bławatków ciągle szła przedemną,
„Aż tu zawiodła.“ — Lech rzekł: „zostań ze mną!
„Kraina moja szczęśliwa i bitna,
„Jeśli chcesz, to się tą ziemicą z tobą
„Dzielę na poły.“ — Scyta rzekł: „zostanę,
„Lecz kraju nie chcę, bo ziemie złamane
„Rozgraniczają się krwią i żałobą
„Dzieci i matek.“ Więc razem zostali,
Ale to długa powieść...

KIRKOR.

Mów! mów daléj!

PUSTELNIK.

Więc jako dawniéj czynili mocarze,
Z Lechem się mieniał Scyta na obrączki;
A pokochawszy mocniéj sercem, w darze
Dał mu koronę... stąd nasza korona.
Zbawiciel niegdyś, wyciągając rączki,

Szedł do niéj z matki zadumanéj łona
I ku rubinom podawał się cały
Jako różyczka z liści wychylona,
I wołał caca! i na brylant biały
Różanych ustek perełkami świecił.

KIRKOR.

O! biedny kwiatku! na toż ty się kwiecił,
By cię na krzyżu ćwiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam na Golgocie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą,
Zbawiłbym Zbawcę, lub wyrąbał krocie
Zbójców na zemstę umarłemu.

PUSTELNIK.

Synu!
Bóg weźmie twoją pochopność do czynu,
Za czyn spełniony. Wróćmy w nasze czasy.
Gdy mię brat wygnał, uniosłem w te lasy
Świętą koronę...

KIRKOR.

Wróci ona, wróci!
Przysięgam tobie... Lecz...

PUSTELNIK.

Co chcesz powiadać?

KIRKOR.

Nim Kirkor w przepaść okropną się rzuci,
Szukając zemsty — chcę — chciałbym cię badać,
Na jakim pieńku zaszczepić rodowe
Drzewo Kirkorów, aby kiedyś nowe
Plemię rycerzy tronu twego strzegło?
Kogo wprowadzić w podwoje zamkowe
Z żony imieniem?

PUSTELNIK.

Tylu ludzi biegło
Z pierścionkiem ślubnym za marą wielkości,
A prawie wszyscy wzięli kość niezgody,
Zamiast straconéj z żebra swego kości.
Postąp inaczéj — ty szlachetny, młody;
Niechaj ci pierwsza jaskółka pokaże,

Pod jaką belką gniazdo ulepiła;
Gdzie okienkami błysną dziewic twarze
A dach słomiany, tam jest twoja miła.
Ani się wahaj, weź pannę ubogą,
Żeń się z prostotą, i niechaj ci błogo
I lepiéj będzie, niżbyś miał z królewną...

KIRKOR.

Tak radzisz, starcze?

PUSTELNIK.

Idź, synu, na pewno
Do biednéj chaty — niechaj żona karna,
Miła, niewinna...

KIRKOR.

Jaskółeczko czarna!
Ptaszyno moja, gdzie mię zaprowadzisz?

PUSTELNIK.

Słuchaj, mię synu!...

KIRKOR.

Starcze, dobrze radzisz...
Prowadź jaskółko!

Odchodzi Kirkor.

PUSTELNIK.

O! ci młodzi ludzie,
Odchodzą od nas i wołają głośno:
Idziemy szukać szczęścia. Więc my starce,
Cośmy przebiegli po téj biednéj ziemi,
A nigdy szczęścia w życiu nie spotkali;
Możeśmy tylko szukać nie umieli...
Idź! idź! idź starcze do pustelnéj celi...

Chce wchodzić do celi i zatrzymuje się na progu.

Wchodzi Filon, pasterz zamyślony — fantastycznie we wstążki i kwiaty ubrany.

FILON z exaltacyą.

O! złote słońce! drzewa ukochane!
O! ty strumieniu, który po kamykach
Z płaczącym szumem toczysz fale szklane!
Rozmiłowane w jęczących słowikach
Róże wiosenne! z wami Filon skona!
Bo Filon marzył los Endymiona.

Marzył, że kiedyś, po blasku miesiąca,
Biała bogini, różami wieńczona,
Z niebios błękitnych przypłynie, i drżąca
Czoło pochyli, a koralowymi
Ustami usta moje rozpłomieni.
Ach! tak marzyłem! Ale na téj ziemi
Nie ma Dyany. Samotny uwiędnę,
Jako fiołek, albo kwiat w jesieni.

PUSTELNIK.

Co znaczą owe narzekania zrzędne?
Młody szaleńcze, gdzie zimny rozsądek?
Wywracasz świata boskiego porządek;
A że ty chciwy Akteona wanien,
Czekasz na ziemi anielskiego bóstwa:
Dla tego tyle zestarzałych panien
Dotąd się mężów swych nie doczekały;
Szukaj kochanki na ziemi.

FILON.

Świat cały
Napróżno zbiegłem, przeglądając mnóstwa
Dziewic śmiertelnych. Nieraz wzrok łakomy
Śledził z pod złotéj kapeluszów słomy
Żniwiarek twarze, podobne czerwienią
Makom zbożowym. Nieraz poglądałem
Na białe płótna, łąk jasną zielenią
Słońcu podane; rojąc serca szałem,
Że z bieli płócien, jako z morskiéj piany,
Alabastrowa miłości bogini
Wyjdzie na słońce. Ach! tak obłąkany,
Żyłem na świecie jako na pustyni,
Nienasycony, dumający, rzewny.
Byłem na dworach, widziałem królewny,
Podobne gwiaździe Wenus co wynika
Wieczorem z nieba różowego zorzą,
Zaczerwieniona ale bez promyka.
Serca nie mają, a sercem się drożą
Więcéj niż koron brylantami.

PUSTELNIK.

Głupcze!
Niedoścignionych gwiazd szalony kupcze!
Ty, co na dworach szukałeś kochanki,
Precz! precz odemnie, kwiecie beznasienny,
Studniom niezdatny jak stłuczone dzbanki,
Światowi jako słońca blask jesienny
Bezużyteczny. Skoro na tron wrócę,
Zamknę cię w szpital szalonych, lub rzucę
Na bakalarską ławę między dzieci.

FILON.

Mój dobry ojcze! niechaj ci Bóg świeci!
Musisz być chory, gadasz nieprzytomnie.

PUSTELNIK.

Wszyscy szaleńcy zlatują się do mnie,
A wszyscy marzą o królewskich dworach;
Myślą o królach, a kryją się w borach,
I jęczą, jęczą jak oślepłe sowy.

FILON.

Wsadź, starcze, głowę w strumień kryształowy,
Może ochłonie.

PUSTELNIK.

Woda nie obmyje
Na mojém czole czerwonego pasu,
Widzisz! czy widzisz, jak korona ryje?
Dwudziestoletnie życie w głębi lasu
Nie zagoiło rany. Pas na czole,
A drugi taki pas mi serce płata;
Ten od korony,

Pokazując na serce.

ten od mieczów.
O! moje dzieci! o! sieroctwa bole!
O! moja przeszłość!

FILON.

Nudzi mię ten stary;
W głowie ma jakieś bezcielesne mary,
Pewnie oszalał samotnością, postem.

PUSTELNIK.

Cierpienie myśli jest kolącym ostem,
Lecz rzeczywistość... O! ta jak żelazo
Rani, zabija...

FILON.

O tém inną razą
Mówić będziemy, a przekonam ciebie,
Że smutek serca...

PUSTELNIK.

Niechaj cię pogrzebie,
Mdława istoto. *Nic* niech *nic* zabije;
A twój grobowiec zamknie *nic*.

FILON.

O luba!
Nieznaleziony twój obraz

Pokazując na serce.

tu żyje!
Nieznalezienie gorsze niźli zguba;
Jam cię nie znalazł, a widzę przed sobą!
Idę do lasu, gdzie będę sam... z tobą.
Błogosławiony wyobraźni cudzie,
Ty mnie ocalasz!

Odchodzi w las.

PUSTELNIK.

Jak szaleją ludzie!

Wchodzi do celi.

SCENA II.

Inna część lasu, widać jezioro Gopło.
Skierka i Chochlik wchodzą.

SKIERKA.

Gdzie jest Goplana, nasza królowa?

CHOCHLIK.

Śpi jeszcze w Gople.

SKIERKA.

I woń sosnowa,
I woń wiosenna nie obudziła
Królowéj naszéj! woń taka miła!
Czyliż nie słyszy jak skrzydełkami
Czarne jaskółki biją w jezioro,
Tak, że się całe zwierciadło plami
W tysiące krążków.

CHOCHLIK.

Za nadto skoro

Zbudzi się jędza i będzie
Do pracy nas zaprzęgać. To w puste żołędzie
Wkładać jaja motylic; to pomagać mrówkom
Budującym stolice i drogi umiatać
Do mrownika wiodące; to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać;
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartéj księgi
Czytać prawa ulowe, lub rotę przysięgi
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonéj pszczółki;
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworoczne matki.
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki,
Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,
Naprzekor ptasznikowi; już to pani sroce
Ciągle trąbić do ucha naukę: nie kradnij;
Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą.
Pracuj jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimą śpij u chłopa za brudnym przypieckiem,
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem.

SKIERKA.

Bo też ty jesteś leniwy, Chochliku!

Patrzy na jezioro.

Ach patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie.
I patrz! patrz! lekka i gibka
Skoczyła z wody jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach czarowna! któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?

CHOCHLIK.

Ona ma wianek na głowie.
Czy to kwiaty? czy sitowie?

SKIERKA.

O nie — to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki.
Tak powiązane za nóżki,
Kiedyś, w jesienny poranek,
Upadły na dno rzeczułki:
Rzeczułka rzuciła wianek,
Wianek czarny jak hebany
Na złote włosy Goplany.

CHOCHLIK.

Radzę ci, uciekajmy, mój Skierko kochany,
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać.
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
Biednemu młynarzowi, lub każe spowiadać
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
Za kradzież słodkich miodów... lub malować pawie.

SKIERKA.

Więc uciekaj... ja się bawię.
Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka.
Ożyły — pierzchły — i znikły,
Jak spłoszonych wróbli chmurka.
Królowa nasza bez ducha,
Zadziwiona stoi, słucha;
Nie śmie wiązać i zaplatać
Kos rozwianych, nie wié czemu
Wianeczkowi uwiędłemu
Przyszło ożyć? skąd mu latać?
Goplano! Goplano! Goplano?

Wchodzi Goplana.

GOPLANA.

Narwij mi róż, Chochliku! poleciał mi mój wianek.

CHOCHLIK.

Już się zaczyna praca.

Chochlik odchodzi, mrucząc.

GOPLANA.

Czy to jeszcze rano?

SKIERKA.

Pierwsza wiosny godzina.

GOPLANA.

Ach! gdzież mój kochanek?

SKIERKA.

Co mi rozkażesz, królowo?
Zadaj piękną jaką pracę.
Winąć tęczę kolorową,
Albo budować pałace,
Powojami wiązać dachy,
I opierać kwiatów gmachy
Na kolumnach malw i dzwonów
Lazurowych.

GOPLANA zamyślona.

Nie!

SKIERKA.

Chcesz tronów
Z wypłakanych nieba chmurek?
Czy ci przynieść pereł sznurek,
Z owych pereł, które dają
Lep na ptaszki; ale mają
Takie blaski, takie wody,
Jak kałakuckie jagody.
Chcesz? lecę na trzęsawice,
Dojrzę — dogonię — pochwycę
Błędnego moczar ognika;
I zaraz w lilijkę białą
Oprawię jak do świecznika
I nakryję białym dzwonkiem,
By ci świecił... Czy to mało?
Rozkaż pani! co pod słonkiem,
Co na ziemi, wszystko zniosę:
Drzewa, kwiaty, światło, rosę.
Co nad ziemią, w ziemi łonie:
Dźwięki, echa, barwy, wonie,
Wszystko, o czem kiedy śniły
Myśli twoje w jezior burzy
Kołysane.

GOPLANA.

Skierko miły,
Ja się kocham.

SKIERKA.

W czém? czy w róży
Bezcierniowéj? czy w kalinie?
W cztero-listnéj koniczynie?
Może w kwiatku: *niech Bóg świeci*,
Który posadzi macocha
Na grobie mężowskich dzieci?
Może w Magdaleny nitce,
Co bez wiatru leci płocha?
Może w białéj margierytce,
Co piątym listkiem: *nie kocha*,
Zabiła młodą pasterkę?
W czém się kochasz? poślij Skierkę!
A przyniesie ci kochanka,
I wplecie do twego wianka,
I będziesz go wiecznie miała,
Pieściła i całowała
Do przyszłéj wiosny poranka,
Do drugiego kwiatów wieku.

GOPLANA.

Ach! ja się kocham. kocham się w człowieku.

SKIERKA.

To ludzkie czary.

GOPLANA.

Téj zimy gdym usnęła
Na skrysztaloném łożu, światło mię jakieś
Z głuchego snu gwałtownie ocuciło.
Otwieram oczy, patrzę... płomień czerwony
Jako pożaru łuna bije przez lody,
I słychać głuchy huk. Rybacy to rąbali
Przełomkę biednym rybkom zdradliwą... Nagle
Okropny krzyk — w przełomkę człowiek pada.
Na moje upadł łoże; a czy to światło
Podobne barwie róż, które świeciło
W moim pałacu szklistym? czy też prawdziwe
Róże na jego licach śmiercią mdlejące;

Ale się piękny wydał, ach! piękny tak, że chciałam
Zatrzymać go na wieki w zimnych pałacach,
I nie rozwiązać z wieńca ramion, i przykuć
Łańcuchem pocałunków. Wtem zaczął konać...
Musiałam wtenczas, ach! musiałam go wypuścić!
Gdybym przynajmniéj mogła była go wynieść
Z wody na rękach moich, usta z ustami
Spoić i życie wlać w ostygłe jego piersi:
Ale ty wiesz, co to za męka dla nas,
Kiedy podobne kwiatom, musimy składać
Rumieniec nasz i piękne barwy wiosny,
I do kamieni białych podobne leżeć
W głębiach jeziora. Taką ja wtenczas byłam.
Musiałam leżeć na dnie, ani się płocho
Na światło dnia wyrywać. Napół martwego
Wyniosłam drżącą ręką i przez otwory
W lodzie wybite rzucam: sama boleśnie
Wracam na puste łoże, na zimne łoże;
A serce moje rozdarł okrzyk rybaków,
Którzy witali wtenczas, gdy ja żegnałam.
Jakżem czekała wiosny, przyszła nareszcie.
Z miłością w mojém sercu budzę się... kwiaty
To nic przy jego licach — gwiazdy gasną
Przy jego jasnych oczach. Ach! kocham! kocham.

SKIERKA

Ktoś idzie tutaj lasem.

GOPLANA.

To on! to on! mój miły.
Bądź niewidomym, Skierko.

Skierka odchodzi.

Wchodzi na scenę Grabiec — rumiany — w ubraniu wieśniaka.

GRABIEC.

A cóż to za panna?
Ma twarz, nogi, żołądek; lecz coś niby szklanna.
Co za dziwne stworzenie z mgły i galarety!
Są ludzie, co smak czują do takiéj kobiety;
Ja widzę coś rybiego w téj dziwnéj osobie.

GOPLANA.

Jak się nazywasz, piękny młodzieńcze?

GRABIEC.

Nic sobie.

GOPLANA.

Miły! nic sobie!

GRABIEC.

Jakżeś głupia, mościa pani;
Nic sobie, to się znaczy, że nic nie przygani
Mojéj piękności, to jest, żem piękny. A zwę się
Grabiec.

GOPLANA.

Cóż cię za anioł obłąkał w tym lesie?

GRABIEC.

Proszę, co za ciekawość w tym wywiędłym schabku!

GOPLANA.

Proszę cię, panie Grabiec!

GRABIEC.

Wolno mówić: Grabku!
Panie Grabku!

GOPLANA.

Któż jesteś?

GRABIEC.

Aśćki panny sługa.
A pytasz, kto ja jestem? to historya długa.
W naszym kościółku stały ogromne organy,
Mój tata grał na dudach; pięknie grywał pjany,
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił;
Do tego był balwierzem i wieś całą golił,
Golił i grał na dudach, bo golił w sobotę,
Na dudach grał w niedzielę; a miał taką cnotę,
Że nie pił kiedy golił, a pił kiedy grywał.
I wszystko szło jak z płatka. Wtem kogut zaśpiéwał
I mój ojciec małżeństwem z żoną los zespolił.
Panna młoda wąs miała, ojciec wąs ogolił,
I wszystko szło jak z płatka. Lecz tu nowe cuda!
Żona grała na dudach, a tatuś był duda;
Grała więc po tatusiu, i dopóty grała,
Aż go na cmentarzyku wiejskim pogrzebała.
Ja zaś pośmiertne dzieło pana organisty,

Jestem, jak mówią, ojca wizerunek czysty,
Bo lubię stary miodek i kocham gorzonnę,
I uciekam od matki.

GOPLANA.

Słowa jego wonne
Przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha.
O luby! ja cię kocham...

GRABIEC.

Cóż to za dziewucha?
Obcesowo zaczyna. Wprawdzie to nie dziwy.
Ilekroć przez wieś idę, to serca jak śliwy
Lecą pod moje nogi — wołają dziewczęta:
Panie Grabku! Grabiątko, niech Grabiec pamięta.
Że jutro grabim siano — pomóż Grabku grabić.
O to znaczy że za mnie dały by się zabić,
I to, że się na sienie dadzą pocałować.

GOPLANA.

Czy mię kochasz, mój miły?

GRABIEC.

Ha? trzeba skosztować...
Naprzykład... daj całusa...

GOPLANA.

Stój? pocałowanie
To ślub dla czystych dziewic. Na dziewiczém wianie
Za każdym pocałunkiem jeden listek spada.
Nieraz dziewica czysta i smutkami blada
Dla tego, że spadł jeden liść u serca kwiatu,
Nie śmie kochać i daje pożegnanie światu.
I do mogiły idzie nigdy nie kochana.

GRABIEC.

Coś waćpanna jak mniszka.

GOPLANA.

Raz pocałowana
Będę twoją na wieki — i ty mój na wieki.

GRABIEC.

Ha, pocałunek bliski a ten mój daleki.

Całuje.

GOPLANA.

O mój luby!

GRABIEC.

Dalibóg... pfu! pocałowałem
Niby w pachnącą różę... pfu — róża jest ciałem,
Ciało jest niby różą... niesmaczno!

GOPLANA.

Mój drogi!
Więc teraz co wieczora na leśne rozłogi
Musisz do mnie przychodzić. Będziemy błądzili,
Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,
Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem
Będziemy razem marzyć przy księżycu.

GRABIEC do siebie.

Nie wiem,
Co odpowiedzieć babie.

GOPLANA.

Ty smutny? ty niemy?
O! my z tobą będziemy szczęśliwi!

GRABIEC.

Będziemy,
Lecz nie wieczorem — i nie przy jeziorze.

GOPLANA.

Czemu?

GRABIEC.

Bo ja nie lubię wody jak wściekły.

GOPLANA.

Mojemu
Kochankowi rwać będę poziomki, maliny.

GRABIEC.

Lecz ja nie lubię malin... a kiedy dziewczyny
Niosą dzbanek na głowie, nieraz zrzucam dzbanek,
Ale to nie dla malin.

GOPLANA.

Lecz ty mój kochanek,
Ty musisz lubić kwiaty. Więc przyjdź co wieczora...

GRABIEC.

A to już tego nadto! co za nudna zmora!
Nie przyjdę w żaden wieczór.

GOPLANA.

Dla czego?

GRABIEC

Za borem
Pewna dziewczyna czeka na Grabka wieczorem.

GOPLANA.

Dziewczyna?

GRABIEC.

Tak — dziewczyna.

GOPLANA.

Czy piękna dziewczyna?

GRABIEC.

Ha? co pannie do tego? zwie się Balladyna.

GOPLANA.

Siostra Aliny? córka wdowy? ale ona
Złe ma serce.

GRABIEC.

Waćpanna, widzę, coś szalona.
Nie wierzę w babskie dziwy, sądy i przestróżki.
Wszystkie dziewczęta, które mają małe nóżki,
To mają piękne usta i serce, a właśnie
Ona piękną ma nóżkę.

GOPLANA, zapalając się.

Niech słońce zagaśnie,
Jeśli mi ciebie kto wydrze, kochanku.
Ty jesteś moim! moim! moim wiecznie!
Choćbyś miał księżyc za ślubny pierścionek,
Choćbyś miał księżyc, to ja go rozłamię,
Zagaszę księżyc, który cię prowadzi
Do pocałunków, do kochanki domu.
Ach bądź mi wiernym! błagam cię! zaklinam!
Na twoje własne szczęście. Ach! zaklinam!
Bo zginiesz luby — nie — razem zginiemy,
Ale ty zginiesz także, gdy ja zginę.
Więc nie chcę zginąć, abyś ty nie zginął.
Przynajmniéj dzisiaj nie chodź tam wieczorem,
Przynajmniéj dzisiaj nie chodź tam... ja każę.

GRABIEC.

A któż ty jesteś, co każesz?

GOPLANA.

Królowa!

Królowa fali, Goplana.

GRABIEC.

Ej! w nogi!

Jezus Marya! a tom popadł w biedę,
Szatana żona chce być moją żoną.

Grabiec ucieka.

GOPLANA sama.

Niech słońce gaśnie, niechaj gwiazdy toną
W bezdrożne niebo! niechaj róże więdną!
Co mi po słońcu, po gwiazdach, po kwiatach,
Wolę je stracić, niż kochanka stracić.
Co mam potęgi, co nadprzyrodzonéj
Siły nad światem, to obrócę na to,
Aby to serce podbić i mieć mojém.
Skierko! Chochliku!

Skierka przybiega.

Czy słyszałeś, Skierko,
Moję rozmowę z kochankiem? aniołem?

SKIERKA.

Nie karz... ciekawość... szczera moja skrucha,
Biały powoju kwiatek uszczyknąłem,
I końcem rożka włożywszy do ucha,
Słyszałem... przez kwiat.

GOPLANA.

Gdzie Chochlik?

SKIERKA.

Leniwy,
Ciągnie się z wiankiem.

Wchodzi Chochlik z wiankiem.

GOPLANA.

A wstydź się, Chochliku!
Patrz, coś ty narwał chwastu i pokrzywy,
Brzydkich piołunów, koniczyn, trawniku.

SKIERKA.

Pozwól mi pani, niech ja go wysiekę
Za taki wianek.

CHOCHLIK.

Ej! ja cię urzekę.

GOPLANA.

Słuchajcie mię cicho, dyabliki.
Oto, Chochło, polecisz za moim kochankiem;
Idź przy nim, przed nim, za nim, jak skoczne ogniki,
I błąkaj po murawach, tak, by przed porankiem
Nie trafił do mieszkania, ani do téj chaty,
Gdzie mieszkają dwie piękne dziewczęta, dwa kwiaty,
Córki wdowy... Rozumiesz... a o wschodzie słońca
Tu miłego przyprowadź.

CHOCHLIK.

Będę go bez końca
Błąkał i sadzał w błocie... cha! cha! cha! cha! cha! cha!

Odchodzi Chochlik.

GOPLANA.

A ty, mój Skierko, leć na mały mostek,
Gdzie jest mogiła samobójcy stracha.
Ukryj się w łozy zarostek.
Za godzinę, przez ten mostek
Będzie jechał pan bogaty,
Ustrojony w złote szaty,
Jak do ślubu — bez oręży,
I kareta złotem błyska,
I pięć rumaków w zaprzęży;
Cztery karych i klacz biała,
Przodem lecąc iskry ciska.
A na mostku wypróchniała
Leży belka drżąca, śliska.
Czy rozumiesz?

SKIERKA.

Wywrócić?

GOPLANA skłaniając głowę.

Lecz nie szkodzić żywym,
Ani ludziom ni koniom.

SKIERKA.

A potem?

GOPLANA.

Tego pana w płaszczu złotym

Hymnem wiatru czułym, tkliwym.
Zaprowadzić aż do chaty,
Gdzie mieszka uboga wdowa
I dwie młode córki chowa.
Uczyń tak, by pan bogaty
Wziął tam żonę i we dwoje
Odjechał złotą karetą.
Luby Skierko! dziecię moje!

SZIERKA

Dziewczyna będzie kobietą,
Nim dwa razy słońce zaśnie,
Nim dwa razy księżyc zgaśnie.

Odlatuje.

GOPLANA sama.

Więc rozesłałam Sylfy; niechaj pracują
Na moje szczęście. Teraz nie idzie o to,
Aby wojskami kwiatów zdobywać niwy;
Nie kwiatów strzedz mi teraz, nie tęcze winąć,
Ani słowiki uczyć piosenek, ani
Budzić jaskółki wodne, kocham! ginę!
A jeśli on mię kochać nie będzie? cała
W mgłę się rozpłynę białą, i spadnę łzami
Na jaki polny kwiat i z nim uwiędnę.

Rozpływa się w powietrzu.

SCENA III.

Chata wdowy.

WDOWA i córki jéj BALLADYNA i ALINA wchodzą z sierpami.

WDOWA.

Zakończony dzień pracy, moja Balladyno,
Twoje rączki od słońca całe się rozpłyną
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku dożniemy ostatka;
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą.

ALINA.

Nie! nie, nie, jutro odpoczywa matka,
A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
Słoneczko lubi twoję główkę siwą
I leci na nią, by natrętna osa

Do białych kwiatów, ani go od włosa
Liściem odpędzić; że też nigdy chmurki
Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła
O! biedna matko!

WDOWA.

Dobre moje córki.
Z wami to nawet ubożyzna miła;
A kto posieje dla Boga, nie straci.
Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
Bogatym mężem — a kto wie? a może
Już o was słychać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle zboru
Jaki królewic — niech i kuchta dworu,
Albo koniuszy, zajeżdża karetą...
I mówi do mnie: podściwa kobieto,
Daj mi za żonę jednę z córek. Panie!
Weź Balladynę, piękna jak dziewanna —
Tobie się także, Alino, dostanie
Rycerz za męża — ale starsza panna
Powinna prędzéj zostać panną młodą.
W rzeczułkach woda goni się za wodą,
Mój królewicu, żeń się z Balladyną.

BALLADYNA.

Gdzie ty mój grzebień podziałaś, Alino,
Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy.

ALINA.

Wiesz, Balladyno, że to jéj do twarzy,
Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiécha.

MATKA do BALLADYNY.

Dobrze ty mówisz! chata taka licha,
A mnie się marzy Bóg wié nie co. Ale
Bogu się także w wiekuistéj chwale
Musi coś marzyć... a gdyby też Bogu
Chciało się matce dać złotego zięcia.

BALLADYNA.

Ach! słychać jakiś turkot na rozłogu,
Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia.
Pięć koni... złota kareta... ach kto to?
Jedzie aleją. Jak to pięknie złoto

Między drzewami błyska. Ach! mój Boże,
Co im się stało? śród naszego mostu
Powóz prrr... stanął... i ruszyć nie może.

WDOWA.

Pewnie chcą konie napoić...

BALLADYNA.

Ot właśnie
Pan poi konie na drodze po prostu.

WDOWA.

Ha! jeśli pić chcą.

ALINA.

Już słoneczko gaśnie,
Trzeba zapalić sosnowe łuczywo...

BALLADYNA, biegnąc od okna.

Ach lampę zaświeć... ach lampę... co żywo...
O! gdzie mój grzebień?

Słychać pukanie do drzwi.

WDOWA.

Cóż to? co? ktoś puka.
Otwórz, Balladyno.

BALLADYNA.

Niech siostra otworzy.

WDOWA.

Prędzéj otwórzcie, ktoś do chaty stuka.

ALINA.

Ach! ja się boję...

WDOWA.

Niech wszelki duch boży
Boga wychwala... ja odemknę chatę.

Patrzy przez dziurkę od klucza.

O! jakie stroje złocisto bogate.

Otwiera.

Czy w imię Boga?

Kirkor wchodzi.

KIRKOR.

Tak, z Boga imieniem.
Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem

Mostek pod mojém załamał się kołem,
Szukam schronienia.

WDOWA.

Proszę po za stołem,
Mój królewicu, siadać, proszę siadać.
Chata uboga — raczyłeś powiadać,
Że powóz... O! to nieszczęście! Dziewczęta!
To moje córki, jasny królewicu...
A to już dawno człowiek nie pamięta
Takich przypadków, chyba przy księżycu,
Młynarz, co jechał przeszłéj wiosny.

BALLADYNA.

Matko,
Dosyć — daj panu mówić.

Wchodzi Skierka niewidzialny dla aktorów.

KIRKOR.

Przed tą chatką
Słyszałem dźwięki luteń... Czy to córki
Wasze grywają na lutni?

WDOWA.

Przepraszam,
Nie, królewicu.

SKIERKA.

Z niewidzialnéj chmurki
Sympatycznymi kwiaty poukraszam
Obie dziewice, bo moja królowa
Nie powiedziała, do któréj nakłonić
Serce Kirkora. Muzyka echowa
Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić;
A wieniec kwiatów taką woń rozleje,
Że serce tego człowieka omdleje,
Że jedném sercem dwa serca pokocha.

Wkłada wieńce kwiatów na głowę dziewicom. — Słychać muzykę.

WDOWA.

Może królewic chce odpocząć trocha...

KIPKOR, z zadziwieniem i niespokojnością.

Odpocząć, kiedy dźwięki takie cudne
Słyszę... Dziewice, wasze są to pieśni?
Słyszę śpiewanie...

ALINA.

Czy się panu nie śni?
Tu w chacie... cicho...

KIRKOR.

Ach! jakże mi nudne
Wspomnienie zamku pustego!...

SKIERKA, na stronie

Czar działa...

KIRKOR.

Z jakich kadzideł ta woń się rozlała?...
To z pewna wasze wieńce, uroszone
Łzami wieczora, dają takie wonie?

BALLADYNA.

Lecz my nie mamy wieńców.

Wchodzi sługa Kirkora bogato ubrany.

SŁUGA.

Naprawione
Koło w powozie...

KIRKOR.

Wyprząc z dyszla konie,
Ja tu zostanę...

Sługa odchodzi.

WDOWA.

Cóż to za zjawienie?
Królewic w chacie! Na jakiém on sienie
Spać będzie?... Jemu listki róży cisną...

KIRKOR do siebie.

Prawdę wróżyłeś, pustelniku stary,
Gdzie okienkami dwie różyczki błysną,
Gdzie dach słomiany...

SKIERKA do siebie.

Zakończone czary...

KIRKOR, do wdowy.

Słuchajcie, matko! na świat wyjechałem
Szukać ubogiéj i cnotliwéj żony;
Daléj nie jadę, bo tu napotkałem
Cudowne bóstwa... O! gdybym dwa trony!...
Ach! powiem raczéj, gdybym miał dwa serca!
Lecz zdaje mi się, że dwa serca noszę...

Dwoma sercami o dwie córki proszę;
Ale Bóg jednę tylko wziąść pozwala
I do ślubnego prowadzić kobierca;
Więc trzeba wybrać... Czemuż losu fala
Rozbiła serce moje o dwie skały?
Ach! czemu oczy moje nie wybrały
I nie powiodły czucia. Dziś nie umiem
Wybrać...

WDOWA.

Ja ciebie, panie, nie rozumiem!...

KIRKOR

Proszę o rękę jednéj z córek... może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogromny zamek, cztery wieże,
Złocisty powóz, konie i rycerze
Na swych usługach?... Otóż Kirkor... to ja!...
Proszę o jednę z córek.

WDOWA.

Córka moja?...
Ja dwie mam córki — ale Balladyna...

KIRKOR.

Czy starsza?

WDOWA.

Tak jest... a młodsza Alina
Także jak anioł...

KIRKOR do siebie.

Jaki wybór trudny,
Starsza jak śniegi — u téj warkocz cudny,
Niby listkami brzoza przyodziana;
Ta z alabastrów — a ta zaś różana —
Ta ma pod rzęsą węgle — ta fijołki —
Ta jako złote na zorzy aniołki,
A ta zaś jako noc biała nad rankiem.
Więc jednéj mężem, drugiéj być kochankiem;
Więc obie kochać, a jednę zaślubić!
Lecz którą kochać? którą tylko lubić?...
Niech się przynajmniéj z ust różanych dowiem,
Która mnie kocha?

Do dziewic.

Moje smugłe łanie,
Czy mnie kochacie?

BALLADYNA.

Ach! ja ci nie powiem,
Nie... ale nie śmiem wymówić — tak, panie —
Ale ty zgadniesz, choć będę milczała,
Zgadnij, rycerzu.

KIRKOR do Aliny.

A ty, różo biała?

ALINA.

Kocham!...

KIRKOR.

Obiedwie kochają.

WDOWA.

Zapewne,
Że muszą kochać!... tożby to dopiero,
Gdyby nie kochać rycerza, co szczerą
Mógłby za żonę wziąść sobie królewnę,
Piękny i śmiały.

KIRKOR.

Któraż z was, dziewice,
Będzie mię więcéj kochała po ślubie?
Jak będzie kochać? lubić, co ja lubię?
Jak mi rozchmurzać gniewu nawałnice?

BALLADYNA.

O panie! jeśli w zamku są czeluście,
Z czeluści ogień bucha, a ty każesz
Wskoczyć, to wskoczę. Jeśli na odpuście
Ksiądz nie rozgrzeszy, to wezmę na siebie
Śmiertelne grzechy, którymi się zmażesz.
Jeżeli dzida będzie mierzyć w ciebie,
Stanę przed tobą i za ciebie zginę...
Czegoż chcesz więcéj?...

WDOWA.

Weź! weź Balladynę!
Szczera jak złoto.

KIRKOR do Aliny.

A ty, młodsza dziewo,
Co mi przyrzekasz?

ALINA.

Kochać i być wierną.

KIRKOR.

Ach nie wiem, któréj oddać rękę lewą
Jako szwagierce — a któréj z pierścionkiem?
O! gdybym ujrzał tę gwiazdę przedsterną,
Co wiodła króle do dzieciątka żłobu,
Serce mam jedno a ciągnie do obu.
Którą odrzucić? któréj być małżonkiem?
Obie kochają, więc niesprawiedliwość
Poniesie jedna, jeśli wezmę drugą.
W obojgu jedna prostota i tkliwość,
W obojgu miłość jednaką zasługą...
Którą tu wybrać?...

ALINA.

Jeśli mnie wybierzesz,
Szlachetny panie, to musisz obiecać,
Że mię do zamku twojego zabierzesz
Z matką i siostrą... Bo któż będzie matce
Gotować garnek? kto ogień rozniecać?
Ona nie może zostać w biednéj chatce,
Kiedy ja będę w pałacach mieszkała.
Patrz, ona siwa jak różyczka biała.
O! widzisz, panie... Musisz także ze mną
I matkę zabrać...

KIRKOR.

O! jakąż tajemną
Rozkoszą serce napełnia... o! miła...

WDOWA.

Lecz Balladyna to samo mówiła
W sercu i w myśli... Wierzaj mi, rycerzu,
I Balladyna kocha matkę starą.

KIRKOR.

Jużem był wybrał i znów mi w puklerzu
Dwa serca biją...

BALLADYNA.

Byłabym poczwarą,
Niegodną twéj ręki, ale piekła,
Żebym się matki kochanéj wyrzekła.
Procz matki, siostry, wszystko ci poświęcę.

KIRKOR.

Oślepionego chyba losu ręce
Wskażą mi żonę...

SKIERKA, śpiewa do ucha Wdowy.

Matko, w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny.
Która więcéj malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.

WDOWA.

Coś matce staruszce
Przyszło do głowy... Mój ty królewicu,
Jeśli pozwolisz twéj pokornéj służce,
To ci poradzi, piękny krasnolicu.
Oto niech rankiem idą w las dziewczyny,
A każda weźmie dzbanek z czarnéj gliny
I niechaj malin szukają po lesie;
A która pierwsza dzban pełny przyniesie
Świeżych malinek, tę weźmiesz za żonę.

KIRKOR.

Wyborna rada... O! złota prostoto!
Ty mi dasz szczęście niczém nieskłócone,
Dni rozkoszami przeplatane z cnotą.
Tak, moja matko, niech o słońca wschodzie
W las idą córki z dzbankami na głowie.
A my w lipowym usiądziemy chłodzie;
Która powróci pierwsza, ta się zowie
Hrabini Kirkor... Sądź sam, wielki Boże.

WDOWA.

Królewic znajdziesz w téj chateczce łoże,
Pachnące siano, zakryte bielizną.
Wierzaj mi, panie, żabki się nie wślizną
Do twego sianka... proszę do alkowy.

KIRKOR klaszcze, wchodzi sługa.

Przynieś z powozu puhar kryształowy,
Wino i zimne żubrowe pieczywo.

Sługa odchodzi.

Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone...

Odchodzi do alkowy poprzedzany przez Wdowę.

ALINA.

Siostrzyco moja, o! jakież to dziwo,
O! jakie szczęście!

BALLADYNA.

Jeszcze nie złowione,
To szczęście, siostro, może nie dla ciebie...

ALINA.

O! moja siostro! wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową;
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę pani Kirkorowéj siostrą.
A tobie trzeba jutro wziąść się ostro
Do tych malinek, bo wiesz, że ja zawsze
Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
Nie wiem, czy na mnie jagody łaskawsze,
Same się tłoczą... czy tam... twój kochanek...

BALLADYNA.

Milcz!...

ALINA.

Ha, siostrzyczko? a ja wiem dla czego
Malin nie zbierasz...

BALLADYNA.

Co tobie do tego?

ALINA.

Nic... tylko mówię, że jabym nie chciała
Rzucić kochanka ani dla rycerza,
Ani dla króla... A gdybym kochała,
Wzajem kochana, rolnika, pasterza,
To jużby żaden Kirkor...

BALLADYNA.

Nie chcę rady
Od głupiéj siostry.

Słychać klaskanie za chatą. — Balladyna zapala świeczkę i ukrywszy ją w dłoni wychodzi.

ALINA.

Ha, zaklaskał w borze —
Wyszła ze świeczką... O! mój wielki Boże,
Co tam pan Grabek powie na te zdrady?
Bo też ta siostra chce iść za Kirkora,

A jam widziała na kwiatkach ugora,
Ba! i pod naszą osiną słyszałam
Sto pocałunków... przebacz mi, o! Chryste,
Że sądzę miłość, któréj, ach! nie znałam...

Klęka.

Widzisz, mój Boże! ja mam serce czyste,
A przysiegając, nie złamię przysięgi...
Boże! ptaszęta u twojéj potęgi
Mogą uprosić o wiszeńkę czarną,
Jaskółkom w dzióbek dajesz muszkę marną.
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny,
Gdzie stąpię... wszędzie czerwone maliny...

Siada na ławie i usypia.

SKIERKA śpiewa.

Niech sen szczęścia pozłacany
Zamyka oczy dziewczyny,
A ja lecę do Goplany...

Odchodzi.

ALINA przez sen.

Wszędzie maliny! maliny! maliny!

*

Akt II.

SCENA I.

Las przy jeziorze Gople. — Wschód słońca.

CHOCHLIK i GRABIEC w czerwone błoto trzęsawic uwalany i dobrze podpiły.

GRABIEC.

Nie pójdę krokiem daléj.

CHOCHLIK.

Ale tu już blisko
Do twojego domostwa.

GRABIEC.

Moje czarne psisko,
Nie wierzę tobie... bo mię błąkasz, sadzasz w błocie

I wykręcasz ogonem... Nie, mój czarny kocie,
Chciałem ciebie pogłaskać a ogień wytrysnął...
Spać chcę.

CHOCHLIK.

Zażyj tabaki!...

GRABIEC, trzymając się dębu.

Patrz, dąb mię uścisnął;
I nie dziw, dąb przyjaciel grabiny... Mój dębie,
Wierz mi, że cię szacuję, co w sercu to w gębie.

CHOCHLIK.

Chodźmy daléj...

GRABIEC.

Znalazłem dęba przyjaciela;
Choćbyś mi raj pokazał, gdzie Bóg wróble strzela,
To nie porzucę dębu, co się cały chwieje
I potrzebuje wsparcia. — Patrz, biedaczek mdleje.
Tu psie! tutaj z latarnią! zgubiłem dębinę.
Ha! dąb uciekł... nie poznał mnie... obrosłem w trzcinę,
Siedząc w błotach noc całą...

CHOCHLIK.

Chodźmy do karczmy.

GRABIEC.

Na to
Masz ze mnie przyjaciela — na to jak na lato...
Nie... to już nie przystoi... jeśli karczma dama
Kocha mię, jak ja kocham, to nadejdzie sama...
Głupstwo chodzić do dziewcząt... Skąd ty masz tabakę.

CHOCHLIK.

Od pana Lucyfera.

GRABIEC.

Ty mi świecisz bakę.
Psie mój miły, poszukaj zająca, a strzelę.

CHOCHLIK.

Czém?

GRABIEC.

Gromem... Cośmy z tobą dobrzy przyjaciele,
Przepraszam ciebie bardzo, żem cię zawiódł w błota,
Siedzieliśmy w kałuży po uszy jak cnota
I kichali — kichali... mój nos w nos waćpana.

CHOCHLIK.

Pamiętasz, co nam trzcina mówiła?

GRABIEC.

Kochana!

Przyszła na pomoc...

CHOCHLIK.

Trzcina ratowała dudę...

GRABIEC.

Ja zawsze obwiniałem trzciny o obłudę...

CHOCHLIK.

Chodź daléj!

GRABIEC.

Spać chcę.

CHOCHLIK.

Lepiéj wleź na dąb.

GRABIEC śpiewa.

Na dębie
Siedzą gołębie,
Na stawku pływają kaczki...
Jeżeliś przyjacielem, to zanieś do praczki
Moje spodnie...

CHOCHLIK.

Co? jak to? chcesz spać bez szlafmycy?

GRABIEC.

Nie chcesz? to idź do dyabła, kocie czarownicy.

CHOCHLIK.

Dobréj nocy...

GRABIEC.

Dobranoc, dobranoc, psie miły.
Szedłbym jeszcze do karczmy, ale nie mam siły.
Dobranoc...

Zasypia.

CHOCHLIK.

Co za głupie stworzenia ci ludzie!
Spił się, cały w czerwonéj umazgał się rudzie,
I śpi, niech sobie teraz nadchodzi Goplana.

Goplana wchodzi ze Skierką.

GOPLANA.

Gdzie on? ach! zasnął... Niech zorza różana
Pierwsze mu blaski na oblicze rzuci;
Lecz niech się zorza na poły zasmuci
I płaczem rosy tak słońce przesłoni,
Aby łagodne powiek nie raziło...
A ty, Chochliku, weźmij z hojnéj dłoni
Twoję nagrodę.

CHOCHLIK, biorąc dar.

Orzech świstun, zgniłą
Pełny tabaką... dzięki ci, królowo;
Przez dwa dni będę częstował hiszpanką
Chłopstwo pijane...

GOPLANA do Skierki.

Któraż jest kochanką
Kirkora?

SKIERKA.

Obie.

GOPLANA.

O szalona głowo!

SKIERKA.

Przyjdą do lasu szukać malin obie,
Jak ci mówiłem...

GOPLANA.

Poradź mi, co zrobię?

SKIERKA.

Spuść się na czarne Balladyny serce;
Zazdrość widziałem w maleńkiéj iskierce,
Więcéj niż zazdrość...

GOPLANA.

Cóż robiły w nocy?

SKIERKA.

Alina boskiéj wzywając pomocy
Usnęła cicho, marząc o malinach;
A Balladyna zapaliła świécę
I wyszła, bo ktoś zaklaskał w osinach.
Leciałem za nią śledzić tajemnicę
Nocnéj przechadzki... Jako mgliste mary
Szła po murawach i drżąca i cicha;

A płomyk świecy przez różowe szpary
Białych paluszków, jak z róży kielicha
Błyskał i gasnął, to błyskał, to gasnął.
Zbudził się ptaszek w osinach i zasnął,
Tak cicho przeszła wietrznymi poloty,
Tak cicho przeszła... Ćmy wianeczek złoty
Zwinął się, leciał nad dziewicy głową.
Stanęła... słucham... ona ciche słowo
Wmięszała w szmery listeczków osiny...
Ktoś odpowiedział...

GOPLANA.

Może Balladyny
Drużka?

SKIERKA.

Nie, pani.

GOPLANA.

Kto?

SKIERKA.

Mamże powiedzieć?

GOPLANA, pokazując na śpiącego Grabka.

On?

SKIERKA.

Tak.

GOPLANA, do Chochlika.

Chochliku!... kazałam ci śledzić,
Przeszkodzić.

CHOCHLIK.

Dyabeł kochankom przeszkodzi.

GOPLANA.

Zamknij Chochlika, Skierko, w muszli żabiéj
I na jezioro puść by kota w łodzi.

CHOCHLIK.

O! pani! pani! lepiéj ty mię zabij!

GOPLANA.

Zabić nie mogę, lecz mogę ukarać...

SKIERKA.

Pójdź, panie Chochło, o łódkę się starać.

Chochlik, przekrzywiając się jak krnąbrne dziecko, odchodzi za Skierką.

GOPLANA, sama.

Więc on ją widział... on ją widział nocą;
Przekleństwo! wczoraj widział ją w osinie.
Niechaj te gwiazdy nigdy się nie złocą,
Co im świeciły! Niech ten miesiąc ginie!
Niechaj anielskiéj drogi mleczne stopnie
W proch się rozsypią!.. On był tam? — okropnie!
Żeby ta dziewa jedno mi spojrzenie
Przedała dzisiaj za brylanty światów...
Jak go ukarać? ach! ja się zamienię
W błękitny powój i węzłami kwiatów
Na śmierć uścisnę... O nie... z tego wianka
Kochanek żywy wyjdzie, a kochanka
Rozpłomieniona miłością omdleje.
Jak go ukarać?... Niechaj wrośnie wszystek
W płaczącą wierzbę, korą się odzieje,
Niech się na drzewie skłoni każdy listek,
Jakoby smutny przewinieniem spadał
I płakał... Luby, gdy cię tak zobaczę,
Że będziesz płaczem na płacz odpowiadał,
To będę płakać, ach! że wierzba płacze.

Skierka wraca.

SKIERKA.

Zamknięty w muszli po strumykach skacze,
I na jezioro wyjeżdża w powozie
Nieboszczki żaby.

GOPLANA.

Wytnij rózgę w łozie.

Skierka podaje Goplanie pręcik.

Obudź się teraz! obudź się, kochany!
Powiedz dla czego?...

GRABIEC senny.

Śpię... bo jestem pjany.

GOPLANA.

Powiedz, dla czego jak miłosny słowik
Piosnką wieczora?...

GRABIEC, śniąc na pół.

Podaj mi borowik
I włóż pod głowę za poduszkę... a nie?
To idź do stawu, rybo, koczkodanie.

GOPLANA.

Więc poznaj władzę Goplany!
Wrośnij w ziemię i z téj ziemi
Wyrośnij korą odziany
I liściami płaczącymi.

Grabiec tonie w ziemię, wierzba na tém miejscu wyrasta.

Rośnij, wierzbo płacząca;
Skarż się, gdy ptaszek trąca,
Gdy cię strumyk podrywa;
Kiedy wietrzyk rozniesie
Twoje listki po lesie.
Skierko! przyślij słowika, niech téj wierzbie śpiewa
Słowa miłosne, i niech ją nauczy
Kochać i płakać;
Ale niech żaden dziób kruczy
Nie śmie nad nad nią smutnie krakać
Pieśni pogrzebu,
Bo ta wierzba nie umarła.

SKIERKA.

O! jakże pięknie listki rozpostarła!
Jak się kłania kwiatom, niebu.
Wierzba wyrosła z człowieka,
I piękniejsza niż był człowiek.

GOPLANA.

Niechaj teraz kochanek Balladyny czeka,
Niechaj sękowym okiem z pod korzanych powiek
Upatruje dziewicy...

SKIERKA.

Widzę dwie dziewczyny.
Niosą na głowach czarne dzbanki z gliny.
Szukają malin.

GOPLANA.

Skryjmy się w gęstwiny.

Goplana i Skierka kryją się. — Alina wchodzi z dzbankiem na głowie.

ALINA.

Ach! pełno malin — a jakie różowe!
A na nich perły rosy kryształowe.
Usta Kirkora takie koralowe
Jak te maliny... Fijołeczki świeże
Wzdychacie próżno, bo ja nie mam czasu
Zrywać fijołków — bo siostrzyczka zbierze
Dzban pełny malin i powróci z lasu
I weźmie męża; a ja z fijołkami
Zostanę panną... Choćbyście wy były,
Fijołki moje, złotymi różami,
Wolę maliny.

Śpiewa, szukając malin.

Mój miły! mój miły!
Złoty, wielki pan.
Mojemu miłemu
Niosę malin dzban.
Bo on woli, mój kochanek,
Taki pełny malin dzbanek,
Niż zbożowy łan. Och!
Niż zbożowy łan.

Odchodzi w las. — Wchodzi Balladyna z dzbankiem na głowie.

BALLADYNA.

Jak mało malin! a jakie czerwone,
By krew. — Jak mało — w którą pójdę stronę?
Nie wiem... a niebo jakie zapalone,
Jak krew... Czemu ty, słońce, wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną niż taki poranek...
Gdzie moja siostra?... musiała na prawo
Pójść i napełnić malinami dzbanek,
A ja śród jagód chodzę obłąkana
Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.

ALINA, z głębi lasu.

Siostrzyczko moja! siostrzyczko kochana!
A gdzie ty?...

BALLADYNA.

Jaki śmiech w Aliny głosie.
Musi mieć pełny dzbanek.

Alina wchodzi.

ALINA.

Cóż, siostrzyczko?

BALLADYNA.

Co?...

ALINA.

Czy masz pełny dzbanek?

BALLADYNA.

Nie!...

ALINA.

Bladyno,
Cóż ty robiłaś?

BALLADYNA.

Nic!...

ALINA.

To źle, różyczko,
Ja mam dzban pełny mniéj jedną maliną.

BALLADYNA.

Weź tę malinę z mego dzbanka.

ALINA.

Miła!
Siostrzyczko moja, powiedz, gdzieżeś była?
Wyszłyśmy razem, miałaś dosyć czasu;
Wszak ja ci, siostro, nie ukradłam lasu.
Dla czegoż teraz z taką białą twarzą?
I z przyciętymi ustami...

BALLADYNA.

Wyłażą
Z twojego dzbanka maliny jak węże,
Aby mię kąsać żądłami wymówek.
Idź i bądź panią! siostra się zaprzęże,
Jak wół do pługa, będzie tłoczyć olej
Z kolących siemion i z brzydkich makówek.

ALINA.

A wstydź się, siostro! proszę cię, nie bolej
Nad mojém szczęściem.

BALLADYNA.

Cha! cha! cha!

ALINA.

Co znaczy
Ten śmiech okropny? siostro, czy ty chora?
Jeżeli wielkiéj doznajesz rozpaczy,
To powiedz... Ale ty kochasz Kirkora?
Ty bardzo kochasz? Siostro! powiedz szczerze!
Bo widzisz, rybko, są inni rycerze,
Jak będę panią, to ci znajdę męża...

BALLADYNA.

Ty będziesz panią? ty! ty?

Dobywa noża.

ALINA.

Balladyna!
Co ten nóż znaczy?...

BALLADYNA.

Ten nóż?... to na węża
W malinach.

ALINA.

Siostro, jesteś blada, sina.
Kalinko moja! co tobie? co tobie?
Czemu ty blada? ach! jak to okropnie!
Przemów choć słówko! Usiądźmy tu obie,
I mówmy z sobą otwarcie, roztropnie,
Jak dwie siostrzyczki.

Siadając na murawie.

Ja kocham Kirkora,
Ach, nie dla tego, że Kirkor bogaty,
Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty;
A jednak miło mi, że chodzi w złocie,
Że miecz ma jasny, służebników krocie;
Bo to jak rycerz w bajce, co się rodzi
Z wielkiego króla i w lesie znachodzi
Jakąś zaklętą królewnę...

BALLADYNA, wstając z pomięszaniem.

Och!...

ALINA, wstając.

Miła!...
Co tobie?...

BALLADYNA ze wzrastającém pomięszaniem.

Gdybym cię, siostro, zabiła?...

ALINA.

Co też ty mówisz?...

BALLADYNA.

Daj mi te maliny!

ALINA.

A kto wie, siostro? gdybyś poprosiła,
Pocałowała usteczka Aliny,
Możebym dała?... spróbuj, Balladynko...

BALLADYNA.

Prosić?...

ALINA.

Inaczéj, żegnaj się z malinką.

BALLADYNA, przystępując.

Co?...

ALINA.

Bo też widzisz, siostro, że ten dzbanek,
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek,
I wszystko moje...

BALLADYNA, z wściekłością natrętną.

Oddaj mi ten dzbanek.

ALINA.

Siostro!...

BALLADYNA.

Oddaj mi, bo...

ALINA, z dziecinném najgrawaniem się.

Bo!... i cóż będzie?
Bo?... Nie masz malin, więc suche żołędzie
Uzbierasz w dzbanek — czy wierzbowe liście?
I tak... ja prędzéj biegam i przez miedzę
Ubiegnę ciebie...

BALLADYNA.

Ty?...

ALINA.

A oczywiście,
Że ciebie w locie, siostrzyczko, wyprzedzę.

BALLADYNA.

Ty?

ALINA.

O, nie zbliżaj się do mnie z takimi
Oczyma!... Nie wiem... ja się ciebie boję.

BALLADYNA zbliża się i bierze ją za rękę.

I ja się boję... połóż się na ziemi...
Połóż! ha!

Zabija.

ALINA.

Puszczaj!... och!... konam...

Pada.

BALLADYNA.

Co moje
Ręce zrobiły?.. O!...

GŁOS Z WIERZBY.

Jezus Marya!

BALLADYNA, przerażona.

Kto to?... zawołał ktoś?... czy to ja sama
Za siebie samę modliłam się?... Żmija,
Kobieta, siostra — nie siostra. Krwi plama
Tu, i tu, i tu!

Pokazując na czoło, plami je palcem.

I tu. — Któż zabija
Za malin dzbanek siostrę?... Jeśli z bora
Kto tak zapyta, powiem — ja. — Nie mogę
Skłamać i powiem: Ja! — Jakto ja?... Wczora
Mogłabym przysiądz, że nie... W las! w las!... w drogę!
Wczorajsze serce niechaj się za ciebie
Modli. — Ach! jam się wczoraj nie modliła.
To źle! źle! — dzisiaj już nie czas... Na niebie
Jest Bóg... zapomnę że jest, będę żyła,
Jakby nie było Boga.

Odbiega w las. — Goplana i Skierka wchodzą. — Alina leży zabita.

GOPLANA

Ach! okropność...
Ludzie tak siebie zarzynają nożem.
Nie wiem, jak ludzka poczyna roztropność
W takiém zdarzeniu? My duchy nie możem

Znać owych ziółek, które rany leczą;
A ona ciepła, może jeszcze żywa?
Pustelnik nieraz ziółka w lesie zrywa,
Więc może, gdyby miał koło niéj pieczą,
Do życia wróci... Ach Skierko, mój drogi,
Sprowadź tu pustelnika.

Skierka odbiega.

Wy ciernie i głogi,
Jeżeli zabójczyni padnie na kolana,
Bądźcie pod jéj kolanami.
Niech leci wiatrem ścigana,
Przerażona strumyka mruczącego łzami
Jak siostry płaczem...

Patrząc w las.

Widzę tego pasterza, co się zwie tułaczem
Wygnanym z kraju szczęścia i po całym świecie
Szukał próżno kochanki... dziś kocha się w kwiecie,
W słońcu, w gwiazdach, w jutrzence... niech ujrzy to ciało.

Odchodzi w las.

Wchodzi Filon, patrząc w niebo.

FILON z emfazą.

Po co mi świecisz, małżonko Tytana,
Twarzą, co przeszła z różowéj na białą?...
Po co mi świecisz, Febie? Tyś do rana
Miłością konał na Tetydy łonie;
A teraz puszczasz rozhukane konie
I z szat wilgotnych srebrną trzęsiesz rosę,
Szczęśliwy Febie!... Tam blada Dyanna,
Patrząc na twoje czoło złotowłose,
Przed Endymionem kryje się w błękicie,
Do głębi serca promieniami ranna...
Miłość — to światło, to niebo, to życie!
A jam nie kochał! o! biada mi! biada!

Spostrzega ciało Aliny.

Cóż to za bóstwo?.., Jak marmury blada!
Nieżywa?... Boże! a taka podobna
Do nieśmiertelnych bogiń — i nieżywa —
Jak nad nią płacze ta wierzba żałobna?
A moja dusza na marzenia tkliwa

Łez dla niéj nie ma?... Samotność popsuła
Źródło łez moich!... Jaka postać cudna!
Jak ona wczoraj musiała być czuła!
Jak do niéj wianek przypadał weselny!
Jak mogła kochać!... A dziś... śmierć obłudna
Życie wydarła, a wdzięk pośmiertelny
Na moją zgubę nieżywéj nadała...
O! mój aniele! ty śmierci kochanka!
O! jak miłośnie twoja ręka biała
Ujęła czarny dzbanek... z tego dzbanka
Płyną maliny, a z alabastrowéj
Piersi wytryska drugi taki strumień.
Piękniejszy barwą od krwi malinowéj.
Ach! twój zabójca od dwu będzie sumień
Ścigany za te dwa strumienie krwawe...
Nie!... to źwierz leśny musiał zabić ciebie,
Człowiek by nie mógł. — Boże! oto rdzawe
Leży żelazo — to człowiek!... Ach! w niebie
Szukać schronienia przed tłumem tych ludzi.
Śpij, moja luba! ciebie nie obudzi
Ten pocałunek... a mnie niech zabije...

Całuje usta umarłéj i podnosi nóż. — Pustelnik nadbiega.

PUSTELNIK.

Stój! stój, zabójco! — On żelazo kryje
Do swoich piersi...

FILON.

Ojcze! patrzaj na nią!
Znalazłem przecie kochankę... nieżywą.

PUSTELNIK.

Czyjeż to miecze takie kwiaty ranią?
Któż te pustynie krwią czerwieni żywą?
Czy tu Król Popiel zawitał i plami
Białe lilije naszych lasów?...

FILON.

Łzami
Krew tę obmyję...

PUSTELNIK.

Wstydź się łez!

FILON.

Ach ona
Umarła... patrzaj tu! tu! tu!.. niebieski

Kwiatek — znak śmierci śród białego łona...
Gwiazdeczka śmierci...

PUSTELNIK.

Ty młody i rzeski,
Podnieś umarłą i weź na ramiona;
Ja ci pomogę dźwigać lekkie ciało.
W celi mam ziółka...

FILON.

Ty duszę omdlałą
Krzepisz nadzieją; ty podajesz ramię
Duszy nieszczęsnéj, która się już kładła
W mogiłę żalu... pozwól, że ułamię
Gałązkę z wierzby, pod którą upadła
Kochanka moja okropnie zabita...
Tum ją zobaczył — tu pokochał — stracił,
Wprzód nim pokochał... Ach! w przeszłości świta
Szczęście stracone; jam się nie zbogacił,
A skarb znalazłem...

Urywa gałązkę z wierzby.

GŁOS Z WIERZBY.

Nie trącaj, bom pijany...

FILON.

Ta wierzba gada...

PUSTELNIK.

W lesie są szatany,
Ja znam się z nimi; nieraz mi do celi
W okna stukają...

FILON.

W lesie są anieli,
Ale umarli...

PUSTELNIK.

Chodź z twoim aniołem...

Filon bierze na ramiona ciało Aliny i odchodzi z pustelnikiem — Goplana i Skierka wychodzą z gęstwin.

GOPLANA, wskazując na wierzbę

Przeklęci ludzie! jakim oni czołem
Śmieli ułamać gałąź tego drzewa?
On musi cierpieć...

SKIERKA.

Ach! coś się wylewa
Gorżkiego z rany... to zapewne woda
Z ziarnek pszenicy ogniem wymęczona,
Którą ci ludzie piją...

GOPLANA.

Łza stracona...
Ach każdéj łezki brylantowéj szkoda,
Kiedy nie dla mnie płynie ze źrenicy.
Jutro ty będziesz wolny, mój kochanku;
Jutro wymawiać będziesz okrutnicy,
Że cię dręczyła z ranka do poranku...
Ukryj się, Skierko — patrzaj, Balladyna
Zbłąkana w lesie tu nadchodzi, sina,
Okropnie blada, z rozpuszczonym włosem.
Ja twarz zakryję i pod wierzbą siędę;
Będę mówiła do niéj siostry głosem
I obłąkaną gryść będę... gryść będę...

Skierka odchodzi.

BALLADYNA wbiega na scenę obłąkana.

Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczę: zabita — zabita — zabita.
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja?...
Chciałam krew obmyć... z błękitnego zdroja
Patrzała twarz jéj blada i milcząca...
O! gdzie ja przyszła? to wierzba płacząca...
Ta sama, gdzie ja — Siostra moja!... żywa!...

GOPLANA.

Siostro!...

BALLADYNA.

Okropném wołasz mię imieniem!
Trup... trup... trup na mnie białą dłonią kiwa...
Wszystkie mi włosy przesiąkły sumieniem
I ciągną nazad wstając z głowy. — Ale
Nogi przykute...

GOPLANA.

Czy ci smutne żale
Nie mówią, siostro, żeś ty źle zrobiła?
I gdyby siostra twoja żyła?...

BALLADYNA.

Żyła?

GOPLANA.

Mogłażbyś ty ją zabić po raz drugi?

BALLADYNA, szukając koło siebie.

Zgubiłam mój nóż.

GOPLANA.

Ach, nie dosyć długi
Nóż twój był, siostro.

BALLADYNA.

To nie moja wina.

GOPLANA.

Siostro! lecz jeśli przebaczy Alina?
Jeśli zapomni i powie: siostrzyczko,
Miałam sen taki: Do chaty wieczorem...
Nim wyszłaś w ciemne osiny ze świeczką,
Przyjechał rycerz; rycerz był upiorem,
Upior dwie siostry pokochał szalenie
I obie wysłał na maliny; śniłam,
Że gdyśmy zaszły w głuche lasu cienie,
Siostra mnie nożem... Wtem się obudziłam...
Chodźmy do wróżki, niech sen wytłómaczy.

BALLADYNA zamyślona.

To sen... ach! prawda... i mnie się wydaje,
Że to sen, siostro...

GOPLANA.

Ten sen nic nie znaczy...

BALLADYNA.

To sen...

GOPLANA.

I tylko matka nas połaje,
Żeśmy się długo zabawiły w borze.

BALLADYNA.

A rycerz...

GOPLANA.

Zniknął! to sen...

BALLADYNA.

Być nie może...
Co? ha, okropnie! rycerz jak sen zniknął!

GOPLANA.

Ale ja żyję...

BALLADYNA.

Bogdajbyś umarła!
To sen... to sen — ha?... rozum już przywyknął
Do twojéj śmierci. Skorobym otarła
Krew z mojéj ręki... byłabym szczęśliwa.

GOPLANA odkrywa twarz.

Bądź nią, szatanie! twa siostra nieżywa.

BALLADYNA.

O, wielki Boże! a ty co za widmo?

GOPLANA.

Bańka z kryształu, którą wichry wydmą
Z błękitu fali... i barwami kwiatu
Malują zorze. — Ale bądź spokojną,
Ja nie wyjawię tajemnicy światu.
Zostawię ciebie przeznaczeniem spojną
Z ręką rycerza i ze zbrodni ręką;
A ręka zbrodni daléj zaprowadzi.
Usychaj wiecznie tajemnicy męką.
Każda malina może ciebie zdradzi.
Ta wierzba ciebie widziała,
Korą wyśpiewa...
Lękaj się drzewa!
Lękaj się kwiatu!
Każda lilija albo róża biała,
I na ślubie i po ślubie,
Będzie plamami szkarłatu
Na wszystkich liściach czerwona.
Idź... weź ten dzbanek... ja ciebie nie zgubię.
Ale natura zbrodnią pogwałcona
Mścić się będzie — idź do chaty.

Balladyna bierze z rąk Goplany dzbanek Aliny i odchodzi milcząca.

Odeszła i splamione krwią obmyje szaty,
Ale na czole plama zostanie czerwona;
Nie ostrzegłam jéj, próżno byłoby ostrzegać,
Ta plama nie zejdzie z czoła. —
Ja zaś idę po fali kryształowéj biegać.

Rzucę ten ciemny obraz zbrodni w jasne koła
Zwierciadlanego Gopła... O blasku miesiąca
Wrócę słuchać, jak szumi ta wierzba płacząca.

Odchodzi.

SCENA II.

Ganek przed chatą Wdowy, ocieniony lipą.

WDOWA i KIRKOR siedzą na ławie.

KIRKOR.

Nie widać córek...

WDOWA.

Wrócą, panie! wrócą
Jedna za drugą jak dwie gąski białe,
Jedna za drugą. Ach! łzy mi się rzucą
Ze starych oczu, na Chrystusa chwałę,
Gdy je zobaczę...

KIRKOR.

Któraż pierwszą będzie?
Czy Balladyna?

WDOWA.

Pewnie Balladyna.
Wszak ona pierwsza w kościele i wszędzie
Pierwsza... z organem piosenkę zaczyna.
Alina także pierwsza.

KIRKOR.

Więc Alina
Może powróci?

WDOWA.

Ha! może Alina,
Bogu to wiedzieć.

KIRKOR.

Czy wiesz, moja stara,
Żem niespokojny o twoje dziewczęta.

WDOWA.

To i ja właśnie... jakaś niby mara
W głowę mi wlazła. Choć nikt nie pamięta,
Aby na wiosnę kiedy być nie było
Malin... a gdyby się też przytrafiło,
Że nie ma malin... tak marzyłam wczora,
Nim sen przyleciał, gdyby też śród bora

Nie było malin? — potem sama sobie
Mówiłam: głupiaś — wszakże koń przy żłobie,
Gdy niema owsa, to zajada siano,
Jeśli dziewczęta malin nie dostaną,
To nazbierają poziómek. — Wy króle,
Może wam w zamkach nie znać się co ziomka,
A co malina, co siano a słomka,
A co są dziuple, a co pszczelne ule.
Wam tylko złoto, złoto, zawsze złoto...

KIRKOR.

Ach! nie wierz temu — nieraz my zgryzotą
Trapieni w zamkach dnie pędzimy liche.
Po stokroć, matko, wolę twoje ciche
I wiejskie życie... Miło na tym ganku
Czekać wieśniaczéj małżonki, jak lubo
Kołysze sercem ten powiew poranku;
Ty taka dobra, choć masz szatę grubą.

WDOWA.

To mój świąteczny przecie ubior — proszę!
Cycowa suknia! tylko w święto noszę
Takie ornaty... Wraca Balladyna.

KIRKOR.

Gdzie?

WDOWA.

O! nie widać; lecz matce wiadomo.
Patrz, panie! oto jaskółeczka sina
Zamiast wylecieć, kryje się pod słomą
I cicho siedzi... Gdyby zaś Alina
Wracała z gaju, tobyś to, mój panie,
Usłyszał w belkach szum i świegotanie,
Jedna za drugą pyrr... pyrr... lecą z gniazdek
Do téj dziewczynki i nad nią się kręcą,
Niby chmureczka małych, czarnych gwiazdek,
Nad białą gwiazdką...

KIRKOR

Dla czegoż się nęcą
Ptaszki do młodszéj córki?

WDOWA.

Któż to zgadnie?
Idzie Balladyna, widzisz?

KIRKOR.

Jak jéj ładnie
Z tym czarnym dzbankiem na głowie.

Balladyna wchodzi ze spuszczoną głową.

Dziewico!
Oddaj mi dzbanek, ja ci zaś na wzajem
Daję pierścionek...

Bierze dzbanek. Balladyna odwraca głowę — Kirkor kładzie na jéj palec pierścionek.

WDOWA.

Brylanciki świécą.

KIRKOR.

Oby nam życie było słodkim rajem.
Idź do komnaty, starym obyczajem,
Niechaj ci warkocz zaplatają swatki,
Niechaj świeżymi przetykają kwiatki,
A za godzinę, drżącą, uwieńczoną,
Wezmę z rąk matki, i będziesz mi żoną.
Kareta czeka, po księdza pojadę.

Odchodzi Kirkor

BALLADYNA.

Och!

WDOWA.

Czegoż wzdychasz? i coś niby blade
Usteczka ściskasz?

BALLADYNA.

Matko moja droga,
Nie wiem, jak wyznać?

WDOWA.

Cóż, córeczko miła?
Czy ty już drżąca od łożnicy proga
Chciałabyś uciec jak sarneczka?

BALLADYNA.

Siła
Złego mam donieść...

WDOWA.

Co?

BALLADYNA.

Ach! nie dasz wiary?
Ale Alina. — Ach... ta siostra młoda
I tak kochana — Ach! jaka jéj szkoda!

WDOWA.

Co, córko?

BALLADYNA.

Bo też psułaś ją bez miary.
Twoja to wina, że dziś...

WDOWA.

Mów, bo skonam.

BALLADYNA.

Lękam się mówić, może nie przekonam
Ślepéj miłości, matki przywiązania.
Lecz któżby myślał, że ta młoda łania
Ucieknie...

WDOWA.

Córko... Alina?

BALLADYNA.

Uciekła ..

WDOWA.

Gdzie... jak? z kim? Boże! Matki się wyrzekła.

BALLADYNA.

Ach, przewidziałam dawno, że tak będzie,
Jakiś obdarty młokos chodził wszędzie
Za tą dziewczyną, szeptał jéj do ucha.
Napominałam. — Wiesz, jak ona słucha
Kazań od siostry? I dziś... z nim uciekła..

WDOWA.

Wyrodne dziecko! Więc idź aż do piekła!
Nie pomyślałaś na te stare oczy,
Że będą płakać — dobrze, bo nie będą
Płakać po tobie. — Bo matka ma smoczy
Płód zamiast serca, można serce krajać,
To się kawałki węża znowu sprzędą,
Jak płótna kawał... Chciałabym ją łajać...
Przeklinać... dręczyć... Ot wiesz, że te oczy
Jak noże ot tak... wlepiłabym w łono,
Jak noże... tylko bez téj łzy, bo mroczy.
Możebyś ty mnie widziała szaloną,
Ale co płakać... Nie! nie! nie!

Płacze łkając.

BALLADYNA.

Mój Boże!
I tak zasmucić!

WDOWA.

O! i tak zasmucić!

BALLADYNA.

Zasmucić matkę starą?

WDOWA.

O! mój Boże,
Tak starą... Ale ona może wrócić.
Kto wie!... Nieprawdaż? ona wrócić może?
Jak sama kiedy siądzie przy oświatce
Nocą — pomyśli: gdzie matka? a jużby
Serca nie miała, żeby też o matce
Nie pomyślała nigdy...

BALLADYNA.

Idą drużby...

Słychać weselną muzykę.

WDOWA.

Jak oni grają smutnie i wesoło.
Ty teraz skarbem moim — daj mi czoło,
Niech pocałuję... Cóż to! jakaś plama
Jak krew czerwona?

BALLADYNA, z przerażeniem

Krew?

WDOWA.

To od maliny
Może... daj... zetrę.

BALLADYNA ścierając.

Matko... zetrę sama.

WDOWA.

Jeszcze jest.

BALLADYNA trąc czoło.

Teraz?

WDOWA.

Jeszcze — jak rubiny
W twoim pierścionku pięknie sobie świeci.

BALLADYNA, na nowo usiłując zetrzeć.

A teraz?

WDOWA.

Jeszcze jest — by na osieci
Listek czerwony.

BALLADYNA.

O! o! to okropnie!

WDOWA.

Daj mi tu czoło, a zetrę roztropnie.
Może to ranka...

Wspina się na palcach.

BALLADYNA.

Matko, nie dotykaj
Téj plamy.

WDOWA.

Czy cię boli?

BALLADYNA.

Nie — nie boli.

WDOWA.

Przyniosę wody z pod owéj topoli,
Gdzie piją wróble.

Wdowa odchodzi.

BALLADYNA.

Plamo krwawa, znikaj!

Wchodzą swaty i drużki, ustrojeni, z muzyką, zbliżają się do Balladyny ta odwraca twarz.

SWATY śpiew.

Nie odwracaj czoła,
Wstydliwa dziewczyno;
Mąż na ciebie woła,
Młodziutka kalino.
Nie odwracaj czoła...

DZIEWICE śpiewają.

Chcą nam ciebie wydrzeć swaty;
Niech cię bronią białe kwiaty
Twego wianka...

SWATY śpiewają.

Kwiaty ciebie nie obronią
Ni białością, ani wonią,
Od kochanka.

Dziewice podają Balladynie kosze z kwiatami.

BALLADYNA.

Precz! precz. — Odkąd zaczęły kwitnąć białe róże
Z czerwonymi plamami?... Wynieście te kosze.

Balladyna ucieka do chaty.

JEDNA z DZIEWIC.

Pogardziła kwiatami, które ja przynoszę,
Ja, dawna przyjaciółka.

JEDEN z MŁODZIEŃCÓW.

Patrzcie, w pyłu chmurze
Błyska złota kareta, jedzie Kirkor z księdzem.

DRUGI z MŁODZIEŃCÓW.

Przy téj karecie słońce zdaje się mosiędzem.

*

Akt III.

SCENA I.

Dom wdowy dopalający się — przed pogorzeliskiem garstka wieśniaczego ludu.

PIERWSZA KOBIETA.

Oj widzicie, jak dyabły ludziom szczęście noszą,
Ta nędzarka, ta wdowa ze swoją kokoszą
W złotéj karecie błotem na nas biednych bryzga.

DRUGA KOBIETA.

Oj prawda, że to gorżko, nam się to wyślizga,
Co się drugim dostało.

STARZEC.

A ja wam powiadam,
Że staruszka poczciwa, sam nasz ojciec Adam
Mógłby ją wziąść za żonę, lepiej mu przypadła
Niż Ewa.

PIERWSZA KOBIETA.

Bo bez zębów, jabłek by nie jadła.

STARZEC.

Pamiętajcie, że ona ubogie leczyła,
Ty sama, co tu wrzeszczysz, moja pani miła,
Już by cię dawno szatan pojął do swéj chwały,
Gdyby nie ta staruszka.

DRUGA KOBIETA.

I mój Stasiek mały
Także jéj winien życie, więc jéj nie zazdroszczę.

Dalibóg nie zazdroszczę; wóz sianem wymoszczę
I pojadę w zamczysku odwiedzić staruszkę.

DZIEWCZYNA.

I Balladynie miło będzie widzieć drużkę.
Pojadę z tobą, matko.

DRUGA KOBIETA.

Jak chcesz, moje dziécię?
To narwij że róż polnych i bławatków w życie,
Na wianek dla téj pani.

STARZEC.

Oj! nie jedź, kobiéto!
Widzisz ten pożar?

DRUGA KOBIETA.

Cóż stąd, że słomą podbitą
Chatę spalili — cóż stąd?

STARZEC.

Widać, że się wstydzą
Chaty, słomy, bławatków i nas.

PIERWSZA KOBIETA.

Na to zgoda,
A mówiłam, że oni z biednych chłopków szydzą.

STARZEC.

Dajcie im święty pokój.

DZIEWCZYNA.

A ta panna młoda,
To zadzierała nosa! Widzieliście wczora.
Wstążkę czarną na czole miała zamiast wianka:
Wszystko, by się odróżnić... a w kosach równianka
Nie z białych róż, ze złotych. Twarz niby upiora
Blada. A uśmiech hardy; a kiedy się śmieje,
To ząbków ani widać.

DRUGA KOBIETA.

Nim słońce dogrzeje,
Jedźmy, dziewczyno, wozem do zamku Kirkora.

DRUGA DZIEWCZYNA.

Nie jedź! nie jedź.

DZIEWCZYNA.

Nie jadę.

DRUGA KOBIETA.

Stara wóz wymości
I pojedzie. Jak do nich mówić po godności?

STARZEC.

Grzecznie mówić.

DRUGA KOBIETA.

Pojadę.

DZIEWCZYNA.

Tego im i trzeba.
Każą ci na dziedziniec wynieść kawał chleba,
A ty się kłaniasz nisko jak wieko u skrzyni;
A pani z okna plunie. — Ha! mościa grabini,
Przyniosłam ci kosz jajek. — Wiecie wy, że ona
Była już na grabinię z dawna przeznaczona,
Bo miała wziąść za męża Grabka pijanicę,
Wiecie o tém? na Boga — to nie tajemnice;
Zwąchali się z Grabiczem; to dziw, gdzie on siedział?
Nie było go na ślubie.

PIERWSZA KOBIETA.

Może się dowiedział
I poszedł do jeziora z rozpaczy.

DZIEWCZYNA.

Nie łatwo
Wisusowi utonąć.

PIERWSZA KOBIETA.

Otóż Grabiec pędzi
Z lasu, jak zwykle wiejską otoczony dziatwą,
Niby kania od wróblów.

Grabiec wpada na scenę, za nim tłum dzieci.

DZIEWCZYNA.

Niech z wami gawędzi,
Jeśli dotąd nic nie wie, nie mówcie oniczém;
Narwę grochu na wianek.

Odchodzi.

DZIECI.

Z Grabiczem! z Grabiczem!
Tańcujmy! tańcuj, Grabku!

GRABIEC.

Precz, bachury!

STARZEC.

Gdzieżeś to bywał? czemu tak ponury?

GRABIEC.

Co? gdziem ja bywał?

DZIEWCZĘTA.

I coś robił?

GRABIEC.

Rosłem.

DZIEWCZĘTA.

Co ty powiadasz?

GRABIEC.

Rosłem.

DZIECI.

On był osłem!
Grabiec był osłem.

GRABIEC.

Milcz, przeklęty tłumie,
Bo mi się zdaje, że liściami szumię.
Gdybym przynajmniéj miał tyle gałązek,
Co miałem wczora, nie szczędził bym wiązek
Na wasze plecy.

DZIECI.

Co pan Grabek plecie?

GRABIEC do starca.

Powiedz mi, starcze? czy to można w lecie?
Czy można to być? — dotąd korą świerzbię! —
Być wierzbą?

STARZEC

Wierzbą można zostać wierzbie,
Ale Grabinie to nie.

GRABIEC.

A ja byłem
Wierzbą.

STARZEC.

Co mówisz?

GRABIEC.

Mówię, co mówiłem.
Bogdaj was dyabeł pozamieniał w łozy,
Córki téj wierzby, i piekielne kozy
Wypuścił na was. Ale ja w rozpaczy;
Ja byłem wierzbą.

STARZEC.

Jednak to coś znaczy.
A byłeś w karczmie?

GRABIEC.

W przód nim wierzbą byłem,
To byłem w karczmie.

STARZEC.

I piłeś?

GRABIEC.

A piłem.

STARZEC, śmiejąc się.

Więc to sen, panie Grabku, wierzba owa!

GRABIEC, pokazując na pogorzelisko.

A gdzie ta chata?

DZIEWCZYNA.

Jaka?

GRABIEC.

Ta, gdzie wdowa
Żyła z córkami?

DZIEWCZYNA.

A toż chata stoi.

GRABIEC.

Gdzie?

DZIEWCZYNA.

Ty pijany!

GRABIEC

Gdzie?

DZIEWCZYNA.

Tu!

GRABIEC.

Niech was poi
Rosą dyablica, jak mnie napoiła,
Jeśli tu chata.

DZIEWCZYNA.

Chata się zmieniła
W twój nos czerwony, kiedyś ty się zmienił
W płaczącą wierzbę.

GRABIEC.

Bogdaj cię ożenił

Sztokfisz w habicie z dyabłem — a gdzie ona?

DZIEWCZYNA.

Kto?

GRABIEC

Balladyna?

DRUGA DYIEWCZYNA wchodzi z grochowym wiankiem.

Także przemieniona
W ten grochowy wianuszek, w grochowy wianuszek.

Rzuca na głowę Grabkowi wianek.

DZIECI.

Cha! cha! cha! groch na wierzbie rośnie zamiast gruszek,
Cha! cha! cha! panie Grabku! Grabku, gdzieś ty bywał?
A tu słowik kochance mężulka wyśpiewał.

DZIEWCZYNY.

A pan Grabek był wierzbą!

DZIECI.

Grabek rosnął w lesie!

DZIEWCZYNY.

A żoneczka w złocistéj smyknęła kolesie.
Cha! cha! cha!

DZIECI.

Żeń się, Grabku, z miotłą czarownicy!
Cha! cha! cha!

STARZEC bierze Grabka za rękę.

Chodź do karczmy, przy miodu szklanicy
Ja ci wszystko opowiem.

Wyprowadza Grabka.

DZIECI, lecąc za Grabkiem.

Gil, wróbel i dzierzba
Śpiewały na grabinie — a on rzekł: jam wierzba.
Nuż z niego kręcić dudy. Smyknęła dziewczyna!
Cha! cha! cha! wierzba, wierzbie, wierzbiątka, wierzbina.

Dzieci i cały tłum wychodzą za Grabkiem.

SCENA II.

Sala pyszna w zamku KIRKORA.

BALLADYNA wchodzi zamyślona w bogatéj szacie — z wstążką czarną na czole.

BALLADYNA sama.

Więc mam już wszystko... Wszystko... teraz trzeba
Używać... pańskich uczyć się uśmiechów

I być jak ludzie, którym spadło z nieba
Ogromne szczęście... Wszakże tylu ludzi
Większych się nad mój dopuścili grzechów
I żyją. Rankiem głos sumienia nudzi.
Nad wieczorami dręczy i przeraża;
A nocą ze snu okropnego budzi...
O! gdyby nie to!... Cicho — mur powtarza:
O! gdyby nie to...

Wchodzi Kirkor zbrojny z rycerstwem.

KIRKOR.

Moja młoda żono!
Jakże ci w moim zamczysku?...

BALLADYNA.

Spokojnie.

Wchodzi Fon Kostryn.

KOSTRYN.

Rycerze zbrojni czekają przed broną.

BALLADYNA.

Grabia! dla czego tak rano i zbrojnie?

KIRKOR.

Kochanie moje, odjeżdżam...

BALLADYNA.

Gdzie?

KIRKOR.

Droga!
Przysiągłem święcie taić cel wyprawy.

BALLADYNA.

Odjeżdżasz! ach, ja nieszczęsna!...

KIRKOR.

Na Boga!
Nie płacz, najmilsza... bo ci będzie łzawy
Głos odpowiadał nierycerskiém echem...
Ani mię trzymaj przymileń uśmiechem,
Bo moje oczy, olśnione po słońcu,
Drogi nie znajdą... Niech pierś uniesiona
Ciężkiém westchnieniem z kręgłego robrońcu
Czarów nie rzuca, niech twoje ramiona
Wiszą ku ziemi jak uwiędłe bluszcze.

BALLADYNA, rzucając się na szyję.

Gdzie jedziesz? Mężu?... ja ciebie nie puszczę!
Dla czego jedziesz? czyś poprzysiągł komu?

KIRKOR.

Sobie przysiągłem.

BALLADYNA.

Bogdaj ogień gromu
Bóg rzucał tobie przed konia podkową;
Może piorunem twój koń przerażony
Piorunem w bramę powróci zamkową.
Więc ty na długo chcesz zaniechać żony?

KIRKOR.

Za trzy dni wrócę...

BALLADYNA.

Czyś ty kiedy liczył,
Ile w dniu godzin? ile chwil w godzinach?

KIRKOR.

Niechaj wie człowiek, że mu Bóg pożyczył
Życia na krótko, niechaj odda w czynach,
Co wienien Bogu.

BALLADYNA.

Lecz ty winien żonie
Pozostać z żoną...

KIRKOR.

Nic mię nie zatrzyma,
Muszę odjechać — daj mi białe skronie.

Całuje w czoło.

Przed ludzi okiem, ty wiesz, że prawdziwe
Pocałowania dają się oczyma,
A biedne usta tak jako pierzchliwe
Jaskółki muszą w lot z białego kwiatka
Chwytać miodową pocałunku muszkę:
Bądź zdrowa, żono... Gdzie jest nasza matka?
Może śpi jeszcze, pożegnaj staruszkę:
Nie mogę czekać.

Odprowadzając na stronę.

W skarbcu masz pieniążki,
Szafuj i baw się... daj mi czoło białe
Jeszcze raz... żono! nie lubię téj wstążki,
Czoło należy do mnie, czoło całe,
Rozwiąż tę wstążkę...

BALLADYNA.

Mężu, uczyniłam
Ślub.

KIRKOR.

Ślub po siostrze... tak... lecz gdy powrócę,
To wiedz się z Bogiem, ale mi się wyłam
Z takiego ślubu.

BALLADYNA.

Tak...

KIRKOR.

Bo się pokłócę
Z tobą, kochanko... i to nie na żarty.
Bądź zdrowa... Chamy, na koń! niechaj warty
Czuwają w zamku.

Do Balladyny.

Wspominaj mnie.

Odchodzi Kirkor i wszyscy, prócz Balladyny.

BALLADYNA sama.

Mężu!
Odjechał... po co? Gdzie? Sumienia wężu,
Ty mi powiadasz: oto mąż odjechał
Szukać Aliny... ona w grobie... w grobie?
Lecz jeśli znajdzie grób? Tak się uśmiechał,
Jakby chciał mówić: przywiozę ją tobie,
A zdejmiesz wstążkę, jak przywiozę.

Fon Kostryn wchodzi.

KOSTRYN.

Pani!
Hrabia zaklina, abyś mu przez okno
Posłała uśmiech..

Balladyna staje w oknie i uśmiecha się.

Mężowie żegnani
Żon uśmiechami, sami we łzach mokną.

BALLADYNA, odchodząc od okna.

Pojechał.

Do Kostryna.

Ktoś ty, rycerzu?

KOSTRYN.

Dowódzca
Warty zamkowéj.

BALLADYNA.

Nagrodzę ci hojnie
Czujność i wierność.

KOSTRYN.

Nie potrzeba bodźca
Temu, kto służy rycersko i zbrojnie
Tobie grafini... Otośmy dostali
Zamkowi temu obronę tajemną;
Ach! my oboje będziemy czuwali,
Ja nad aniołem — ty anioł nademną.

BALLADYNA.

Jak się nazywasz?

KOSTRYN.

Fon Kostryn.

BALLADYNA.

Nie z Lachów?

KOSTRYN.

Z niemieckich książąt rodzę się.

BALLADYNA.

Wygnany?

KOSTRYN.

Jak biedny ptaszek z pod płonących dachów
W lot się puściłem... dziś obcy, nieznany
Własnéj ojczyźnie, sługa w obcym kraju;
Niech to nie będzie mojém potępieniem,
Ty także obca...

BALLADYNA.

Co?

KOSTRYN.

Ty jesteś z raju.

Odchodzi.

BALLADYNA sama.

Jak się ja prędko poznałam spojrzeniem
Z tym cudzoziemcem — Ja mu nic nie winna —
Szukałam okiem przerażoném w tłumie
Kogoś. — Wierzyłam, że tu być powinna
Bratnia mi dusza... dusza moja... z moją...
Zacząć — jak? spojrzeć — jeżeli zrozumie,
Przemówić. — Dziwnie, że się ludzie boją
Ludzi jak Boga i więcéj niż Boga. —
Będę odważną z ludźmi...

Wchodzi Wdowa ubrana jak w drugim akcie w świątecznym ubiorze.

WDOWA.

Córko droga!
Co to się stało? królewic odjechał?

BALLADYNA.

Cóż stąd?

WDOWA.

Nazajutrz po ślubie zaniechał
Żoneczki młodéj... czyś go zagniewała?
To by źle było! Jakże ty dziś spała,
Gołąbko moja? wszak mówią, że trzeba
Pamiętać zawsze sen na nowém łożu.
Otóż ja śniłam, że do mnie aż z nieba
Przyszła Alina, ot tak, niby w morzu
Płynąc w obłoczkach... i rzekła...

BALLADYNA.

Różaniec
Mów lepiéj, matko.

WDOWA.

Czy ty chcesz kaganiec
Włożyć na usta matce?

BALLADYNA.

Matko stara,
Zamek nie chata, tu zatrudnień chmara,
Tu nie snów słuchać...

Wchodzi sługa.

SŁUGA.

Jakaś tam hołota
Stoi przed bramą i wykrzyka hardo,
Aby ją puścić przez zamkowe wrota.
A straż złożoną na krzyż halabardą
Zamknęła bramy... Ta chłopianka stara
Z drabiniastego woza bez ustanku
Krzyczy żołnierzom: powiedz, mój kochanku,
Matce Kirkora żony, że Barbara,
Jéj przyjaciółka zjeżdża w odwiedziny.

WDOWA.

To moja kuma... jakie tam nowiny?

BALLADYNA.

Odprawić ten wóz.

WDOWA.

Balladyno?

BALLADYNA.

Matko!
Czy ci się sprzykrzył zamek?... dobra droga.
Możesz odjechać z tą starą.

WDOWA.

Co? klatką?
Tym drabiniastym wozem? — A! na Boga!
Córko! co mówisz?

BALLADYNA.

O! to żarty... żarty...
Każ, matko, wóz ten wyprawić.

WDOWA z westchnieniem.

Wyprawcie. —
Powiedzcie, że śpię.

BALLADYNA do sługi.

A jeśli uparty
Wóz nie odjedzie, rozumiecie — warty
Czuwają w zamku...

WDOWA do sługi.

Tylko nie nabawcie
Biedy, to stara.

Sługa odchodzi.

Prawda, córko moja,
Gdyby przyjmować, toby tu jak z roja
Sypało chłopstwo. Niechaj nas kochają
Zdaleka — prawda? Córki rozum mają,
Ty nie głupiutka; kiedy zaczniesz prawić,
To księdza nawet nie zrozumie głowa.
Moja córuniu! każ ty przecie sprawić
Sukienkę matce, bo już ta cycowa
Ma blade kwiatki, a jak tu kobiécie
W szarak się ubrać? Córko! moje życie!

BALLADYNA.

To jutro, matko, przypomnij. — A tobie
Staréj kobiecie, lepiéj nie wychodzić
Z ciepłéj komnaty...

WDOWA.

Ach! nudno jak w grobie
Tak saméj siedzieć... Czy ty chcesz zagrodzić
Zamek matuli?

BALLADYNA

Nie, nie!

WDOWA.

Balladyna
Kocha mię? prawda, córko? A malina
Na twojém czole? ta plama... o! pokaż...
Czy boli ciebie? Ty nigdy nie kwokasz,
Kurko, choć boli... a to może boli?...

BALLADYNA.

Dosyć już, matko.

WDOWA.

Woda z pod topoli
Obmyć nie mogła... o! córko kochana...
To jakaś dziwna i okropna rana,
Bladniesz, by o niéj wspomnieć...

BALLADYNA.

Więc dla czego
Wspominasz, matko?...

WDOWA.

To z serca dobrego...
Z dobrego serca.

BALLADYNA.

Wierzę, wierzę, wierzę!
Matko! idź teraz do siebie na wieżę.

WDOWA.

Do mojéj ciupy?...

BALLADYNA.

Tam ci jeść przyniosą...
I pić przyniosą.

WDOWA.

I pić jak ptaszkowi?...

BALLADYNA.

Idź, matko.

WDOWA.

To już z moją siwą kosą

Będę się bawić... Tylko służalcowi
Każ mi jeść przynieść... nie zapomnij...

Odchodzi.

BALLADYNA sama

Piekło!
Mieszam się, bladnę... Ja się kiedyś zdradzę
Trzed matką, mężem... Wszystko się urzekło
Na moją zgubę. Ludzie jako szpaki
Uczone mowy przez okropną władzę
Sprawiedliwości, nie myśląc o mowie,
Tak mówią, jakoby tajnymi szlaki
Dążyli ciągle w głąb serca. Surowie
Kładą sędziego pytanie: czyś winna?
Krętymi słowy... Matka, mąż, oboje,
I mąż i matka — ta kobieta gminna,
Trzeba ją kochać, to matka.

Kostryn wchodzi na scenę.

KOSTRYN.

Pokoje
Kazałem suto osnuć w złotogłowy.
Dziś dzień poślubny... dziś na dwór zamkowy
Zjadą się liczne pany i rycerze
Wasale twoi...

BALLADYNA.

Trzeba zamknąć wieżę,
Gdzie mieszka moja... mamka... ona chora,
Snu potrzebuje.

KOSTRYN.

Jakto? ta potwora
Mlekiem poiła twoje usta śliczne?
Ach! nie... Ta chyba bogini niebieska,
Co na błękity lała drogi mleczne,
Tak, że się każda białych piersi łezka
W gwiazdkę mieniła, i dziś ludziom płonie;
Ta sama chyba na śnieżystém łonie
Ukołysała ciebie.

BALLADYNA.

Mój rycerzu,
Złote masz usta.

KOSTRYN.

Ty dyamentowe
Serce — kazałem na Gopła pobrzeżu
Zapalić smolne beczki i ogniowe
Słupy; do ognia weselnego lecą
Weseli goście. Czy pochwalasz, pani?

BALLADYNA.

Czyń, jak przystoi.

KOSTRYN.

Wieże się oświecą
Jasnym kagańcem, i tylko wybrani
Goście do zamku mają być przyjęci.
Właśnie dziś jakiś prostak bez pamięci
Wdzierał się tutaj, kazałem go psami
Poszczwać za wrota. Śmiałek nad śmiałkami,
Psóm odszczekiwał ciągle, że znał ciebie,
A w takich ustach to bluźnierstwo srogie.

BALLADYNA.

Któż by to mógł być?

KOSTRYN.

Ktoś z tych, co po chlebie
Pańskim się włóczą, i szaty ubogie
Łatają nitką wyskubaną z płaszcza
Panów, gdy nadto blisko przypuszczają
Taką hołotę... wyszczekana paszcza.
O! ty go nie znasz... twe usta nie mają
Zgłosek na takie imię — jakiś gbura
Grabiec.

BALLADYNA.

Co? Grabiec? tego chłopstwa chmura,
To jak szarańcza.

KOSTRYN.

Przebacz im, Grabini.
Królowa kwiatów na próżno obwini
Chłopianki ulów, że koło niéj brzęczą.
Albo się obwiń niewidzialną tęczą
Przed ludzi okiem; albo znoś cierpliwie
Nasze wejrzenia.

BALLADYNA.

O! ty syn książęcy

Mięszasz się próżno z tymi, co na niwie
Wiejskiéj wyrośli... z tysiąca tysięcy
Możesz być pierwszym, byleś tajemnicy
Umiał dochować.

Kostryn przyklęka i całuje kraj szaty.

Chodźmy do skarbnicy
Zaczerpnąć nieco złota, aby godnie
Gości przyjmować.

KOSTRYN.

Poniosę pochodnie.

Kostryn poprzedza z pochodniami Balladynę — wychodzą.

SCENA III.

Las przed chatą Pustelnika.

KIRKOR zbrojny — PUSTELNIK z koroną w ręku.

PUSTELNIK.

Kirkorze, oto złocista korona.
Więc może kiedyś za twoją pomocą
Wróci na Gniezno, i nie zakrwawiona
Błyśnie ludowi.

KIRKOR.

Widzisz, jak ją złocą
Promienie słońca; dobra wróżba.

PUSTELNIK.

Boże!
Świeć naszéj sprawie... Dam ci jednę radę.
Młodziutką żonę pojąłeś, Kirkorze?

KIRKOR.

Pełna prostoty, spokojny odjadę.

PUSTELNIK.

Wtenczas w kobiecie całą ufność kładę,
Jeżeli wolna od wad matki Ewy.
Doświadcz ją. Poślij zapieczętowaną
Skrzynię małżonce, i srogiemi gniewy
Zagroź, jeżeli znajdziesz rozłamaną
Pieczęć małżeńską.

Wynosi żelazną skrzynkę.

KIRKOR.

Dobrze, niech tak będzie.

To moja pieczęć, dwie złote żołędzie
W paszczy dzikowéj. Pójdź sam, wierny sługo.

Wchodzi sługa.

Zanieś to żonie, a jakkolwiek długo
Będę się bawił, niechaj nie otwiera,
Bo ja tak każę.

Sługa odchodzi.

Ona taka szczera!
Ach! ty mi szczęścia pokazałaś drogę,
Czynami tylko zawdzięczyć ci mogę.
Żegnaj mi, starcze... Królem cię powitam.

PUSTELNIK.

Na twojém czole już zwycięstwo czytam.

KIRKOR.

Na koń, rycerze!

Odchodzi Kirkor, słychać tentent oddalających się koni.

PUSTELNIK.

Czemu się ten rycerz
Dwudziestą laty pierwéj nie urodził.
Byłem na tronie, to kraj cały płodził
Same poczwary; jak niezdatny snycerz,
Który w kamieniach szuka ludzkiéj twarzy
I czyni ludziom podobne kamienie,
Ale bez duszy... Czyli przyrodzenie,
Nim stworzy, długo o stworzeniu marzy,
Długo probuje, najprzód tworząc karcze,
A potem ludzi jak Kirkor.

Wchodzi Filon — fantastycznie ubrany.

FILON.

O! starcze!
Gdzie jest kochanka moja?

PUSTELNIK.

Nie ożyła.

FILON.

Ach! to mi pokaż, gdzie leży mogiła
Serca mojego? Niechaj widzę, jakie
Kwiaty wyrosły z posianéj nadziei.
Blade być muszą.

PUSTELNIK.

O! wieczna płacznico!
Czemu bezczynny błądzisz w leśnéj kniei?
Biegnij z Kirkorem, twoje złote włosy
Odziéj żelazną rycerza przyłbicą
I na tę szalę, która ludzkie losy
Waży na ziemi, rzuć ziarnko maskowe
Twojego życia, może los przeważy.

FILON.

Gdzie jéj mogiła? gdzie?

PUSTELNIK.

Gliny surowe
Pierś już wyjadły, a po białéj twarzy
Robactwo łazi.

FILON.

O nie! ona w ziemi
Jako rzek Nimfa na glinianym dzbanku
Dłonią oparta, dzban malinowymi
Leje gwiazdami, i w różowym wianku
Trzyma zaklętą na malin ruczajek
Białą jéj postać... zbudzić się nie może;
Oczka aż listkiem niezapominajek
Z grobu wyrosną, w rubinowe zorze
Mogiły patrzą gwiazdami błękitu.
W grobie się błyszczy.

PUSTELNIK.

W grobie tyle świtu,
Co nad kołyską marzeń.

FILON.

A cień blady
Nieraz tam błądzi, gdzie zwieszone smutnie
Nad grobowcami brzozy jako lutnie,
Od słowikowéj trącane gromady,
Płaczą i szumią listkowymi struny.
Nieraz ją srebrne uplączą piołuny,
Nieraz rozkwitły zatrzyma bławatek,
Nieraz jak dziecko staje... i westchnieniem
Zdmucha cykoryi opuszony kwiatek.
Ciało jéj leży pod zimnym kamieniem;
Duch na promykach księżycowych pływa,
I nieraz płocho te kwiatki obrywa,

Co każdym listkiem liczą szczęścia chwile.
Ach, powiedz, starcze... więc ludzie w mogile
Marzą o szczęściu?...

PUSTELNIK.

Umrzej, to się dowiesz.
A jeśli wrócisz z grobu, to opowiesz
O tych marzeniach sumieniom zbrodniarzy;
A może będą spali cicho w łożu...

FILON.

Pójdę... i stanę na leśném rozdrożu.
Jeżeli jaka jaszczurka zielona
Pobiegnie w prawo, to w grobie się marzy...
Jeśli na lewo... to człowiek — nic — kona
I nie śni....

odchodzi Filon.

PUSTELNIK.

Ileż rodzajów nędzarzy
Na biédnym świecie — ziemia, to szalona
Matka szalonych — któż to znowu?

Balladyna wbiega prędko.

Kto ty?

BALLADYNA.

Pani z bliskiego zamku.

PUSTELNIK.

Czego żądasz?

BALLADYNA.

Wiém, że znasz ziółek lekarskie przymioty,
Że leczysz rany.

PUSTELNIK.

Zdrowo mi wyglądasz.
Pokaż zranione miejsce.

BALLADYNA.

Starcze!

PUSTELNIK.

Lekarz
Powinien widzieć...

BALLADYNA.

Czy ty mi przyrzekasz
Wyleczyć?

PUSTELNIK.

Pokaż tę ranę?

BALLADYNA.

Na czole.
Patrz! ha... co?

PUSTELNIK.

Niby miesiąc w mglistém kole
Krwi... twoja rana.., czerwona i sina.
Powiedz mi jaka, jaka straszna wina
Przyczyną?

BALLADYNA.

Żadna.

PUSTELNIK.

Lekarz musi wiedzieć,
Wprzód nim wyleczy.

BALLADYNA.

Czerwona malina
Splamiła czoło.

PUSTELNIK.

Musisz mi powiedzieć,
Kiedy to było?

BALLADYNA.

Wczora.

PUSTELNIK.

Wczora rano?

BALLADYNA.

Tak.

PUSTELNIK.

Daj mi ręką posłuchać uderzeń
Twojego serca. — Czy pod zapłakaną
Wierzbą nie rosły maliny? Mów śmiało;
Żądam od ciebie spowiedniczych zwierzeń.
Czy ta malina była kiedyś białą?
A tyś ją może sama zczerwieniła?
Przyłóż do serca tę, co cię zraniła,

Malinę...

odpycha ją gwałtownie.

Biada tobie! serce twoje
Wydało...

BALLADYNA.

Starcze!

PUSTELNIK.

Tyś siostrę zabiła!

BALLADYNA.

Nie — nie — masz złoto — jeszcze tyle troje
Przyniosę...

PUSTELNIK.

Słuchaj, za co płacisz?

BALLADYNA.

Nie wiem...

PUSTELNIK.

Ta rana ciebie piekielnym zarzewiem
Pali... ha?...

BALLADYNA.

Pali...

PUSTELNIK.

I spałaś dziś?

BALLADYNA.

Spałam.

PUSTELNIK.

Z tą raną?...

BALLADYNA.

Starcze, ja nic nie wyznałam.

PUSTELNIK.

Nic! o przeklęta! a za coś płaciła?

BALLADYNA.

Za twoje leki.

PUSTELNIK.

Bogdaj rana gniła,
Aż cienie śmierci na całą twarz padną;
A moje ziółka piekłu nie ukradną
Żadnego bolu...

BALLADYNA.

Starcze, biada tobie!

PUSTELNIK z ironią.

Co? ty mi grozisz, kiedy ja chorobie
Obmyślam leki? czary piekieł trudzę,
Aby tę ranę zmazać z twego czoła.
Chcesz? siostrę twoję umarłą obudzę.

BALLADYNA.

Obudzisz?

PUSTELNIK.

Siostra niech siostry zawoła,
Umarła wstanie i tę ranę zmaże.
Chcesz?

BALLADYNA.

Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdéj twarzy trzy straszniejsze plamy,
Wolę ja nosić aż do Boga sądu,
Niż...

PUSTELNIK.

Milcz, zbrodniarko! teraz my się znamy
Do głębi serca... Niechaj z tego trądu
Lęgną się w mózgu gryzące robaki,
W sumieniu węże; niech kąsają wiecznie,
Aż umrzesz wewnątrz, a zgniłymi znaki
Okryta, chodzić będziesz jako żywe
Trupy! precz! p r e c z! precz! ty musisz koniecznie
Czekać, co Boga sądy sprawiedliwe
Uczynią z tobą... A coś okropnego
Bóg już przeznaczył, może jutro spełni.
Może odmówi chleba powszedniego,
Może ci włosy kołtunami zwełni,
Potem zabije niewyspowiadaną
Ogniem niebieskim... Biada! jutro rano
Na murach zamku ujrzysz Boga palec.
Ty jesteś jako zjadliwy padalec,
A jeszcze gorszą plamę masz wyrytą
Na twojém sercu, niż na twojém czole.
Co... Czyś ty martwa... Obudź się, kobiéto...
Obudź się.,. słuchaj.

BALLADYNA, jak ze snu.

Co to? ha! wyrzekłeś,
Że siostra moja zbudzi się?... ja wolę
Umrzeć — Dla czego ty się, starcze, wściekłeś?
Biada ci! Biada!

ucieka.

PUSTELNIK sam.

W smutnéj lasów ciszy,
Zbrodnia jak dzięcioł w drzewa bije suche;
A cięcie noża daje takie głuche
Echo, jak topor kata, kiedy rąbie
Głowy na pniaku. Bóg to wszystko słyszy,
Wszystko zamyka w téj okropnéj trąbie,
Co kiedyś będzie na sąd wołać ludzi.

Słychać śmiech w lesie.

Wszelki duch! W lesie śmieją się szatani!
Wiedźma Goplańska z dyablików orszakiem
Śmieszy ponure dęby, a z płaczących
Brzóz się najgrawa.

Słychać odgłos łowów i psów łajanie.

To łowiec umarły
Mglistymi psami mgliste pędzi tury,
Błyskawicowym wichrem oślepione.
Pójdę... i łowy przeżegnam, niech giną
Na wieki wieków... Lecz to nierozsądek
Sąsiedztwo dyabłów mienić w nieprzyjacioł.

Słychać dzwony podziemne.

Cóż to?... zalane przed wiekami miasta
Wołają z Gopła do Boga o litość
Płaczem wieżowym... Może jaki krzyżyk
Wieży sodomskiéj między lilijami
Widać na fali?... pójdę — nie wytrzymam —
Pójdę przeżegnać miasto potępione;
Może spokojne pod modlitwą starca
Snem cichym zaśnie w pogrobowéj fali,
Jak potępiony człowiek, za którego
Dziecię się modli.

SCENA IV.

Las jak poprzednio. SKIERKA i CHOCHLIK.

CHOCHLIK.

Poleciał... głupi jak wrona.

SKIERKA bierze porzuconą na kamieniu koronę.

Patrz, oto starca korona.
Niechaj na włosach Goplany
Od księżycowych promyków
Błyska jak wianek ogników,
Związany włosem i wlany
W gniazdeczko złotych warkoczy.

CHOCHLIK.

Patrz, nasza pani tu kroczy.

Grabiec i Goplana wchodzą na scenę.

GRABIEC.

Moja najmilsza wiedźmo, deszczowa panienko,
Tobie jezioro łożem, a chmura sukienką;
Gdy po lesie przechodzisz, każdy kwiat i drzewo
Wołać by cię powinien, chodź, panno ulewo!
Oraczowi by ciebie mieć nad suchą niwą.
A gdybym ja był kwiatkiem, gorczycą, pokrzywą,
Albo rumiankiem, wtenczas wieczną tobie miłość
Przysiągłbym i w małżeńską wstąpiłbym zażyłość.
Ale ja, na nieszczęście, nie kwiat, ani ziele;
Człowiek mięsny, panienko; a moje piszczele
Skórę wychudłą podrą jak ostre nożyce,
Jeśli je mgłą napoję, gwiazdami nasycę.
Więc kłaniam uniżenie.

GOPLANA.

O! biada mi, biada!
Dziś moja róża na pieńku opada,
Dziś jakiś rybak otruł złotą stynkę,
Pieszczotę moję; dziś miłą ptaszynkę,
Co mi śpiewała nocą nad jeziorem,
Na srebrnéj brzozie chłop zabił toporem
I drzewo zrąbał...

GRABIEC.

Dzisiaj mnie sowito
Wierzbami pod zamczyskiem Kirkora obito,
To prawdziwe nieszczęście, plecy świerzbią. — Ale,
Skoro w tym zamku biją a karmią wspaniale,
Gdy z odkręconych dzióbków u rynien w rynsztoki
Płynie jasna gorzałka; więc każą wyroki,
Abym przystał na służbę do kuchni Kirkora.

GOPLANA.

Co? zawsze do niéj! do niéj! Jeszcze wczora
Widziałeś serce téj kobiety. Miły,
Czego zażądasz? władzy, bogactw, siły,
Zmienionéj twarzy; chociażby kamyka,
Co sprawia cudem, że przed ludźmi znika
Człowiek jak widmo rozpłynione we śnie;
Wszystko mieć będziesz. Jakże mi boleśnie
Czarami twoje zakupować serce! —
Chcesz li mieć owe skrzydlate kobierce,
Co noszą ludzi, gdzie myślą zażądać?
O! miły, powiedz?... Czy pragniesz wyglądać
Jako ów rycerz zjawiony na chmurze
Szykom Lechitów? w złocie i lazurze
Od stóp do głowy?

GRABIEC.

Więc od stóp do głowy
Miłoby mi wyglądąć jako król dzwonkowy,
W koronie, z jabłkiem w lewéj, z berłem na prawicy,

na stronie.

Jak się teraz wywikła wiedźma z obietnicy?

głośno.

Niech mam berło, koronę, płaszcz, złote trzewiki,
Od stopy aż do głowy jak pan król...

GOPLANA.

Dyabliki!

Lećcie u zorzy
Prosić purpury,
Pereł u róży,
Szafiru u chmury,
U nieba błękitu.

A złota u świtu;
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić,
To tęczę wziąść na wrzeciona,
I wić i wić i wić.

Odbiegają Skierka i Chochlik.

Do Grabka.

O jakiéj zamarzysz postaci,
Zakreślony w czarów kole,
Taką moc Goplany da ci
Postać, szaty, rysy, dolę...

GRABIEC.

W mojéj myśli dzwonkowe szastają się króle.

GOPLANA, zakreśla koło.

Stój cicho, niewychodź z koła.
Słyszysz jak szumi puszcza wesoła,
Jak po gałązkach sosen, leszczyny,
Zlatują na dół śpiewne ptaszyny,
Złociste wilgi, gile, słowiki.
Z nimi ciekawe słońca promyki
Spływają do nas przez listki drżące.
Ale się w krótce niebo zachmurzy,
We mgle przelecą złote miesiące,
I gwiazdy blade jak tuman burzy
Z błyskawicami.

Skierka i Chochlik niosą szaty i koronę.

SKIERKA

Wszyst ko gotowe.

GRABIEC poziewa.

A! a! spać chcę...

GOPLANA.

Pochyl głowę.
Zaśnij — obudzisz się skoro.
We śnie cię duchy ubiorą
Na marę twego marzenia.

GRABIEC, kładąc się.

Cudy... Dobranoc, panie Grabku... do widzenia
Na tronie... dobréj nocy, synu organisty,

Polecam się pamięci i afekt strzelisty
Łączę...

poziewa.

A! a! a! cudy..,

zasypia.

GOPLANA.

Czuwajcie nad sennym,
Ja czary piekieł zamówię.

Ściemnia się — czerwone chmury przechodzą i widma otaczają Goplanę odwróconą.

SKIERKA.

Okryć go płaszczem promiennym,
Wdziać mu złociste obuwie.

Ściemnia się zupełnie. — Na głowie Goplany pokazuje się półksiężyc.

Perła rosy z płaszcza kapie;
Zbierz te perełki po trawie
I znów przyszyj na rękawie.

CHOCHLIK.

Król dobrodziej w dobre chrapie,
Na drugi bok się przewraca.

SKIERKA.

Goplano, niech światło wraca,
Już się twój miły przetwarzył.

Goplana daje znak — księżyc z jéj czoła znika — i światło wraca.

GOPLANA, patrząc na śpiącego.

Jaką on sobie dziwną postawę wymarzył?

Grabek wstaje z ziemi jak król dzwonkowy.

GRABIEC, poziewając.

A—a—a—a dobry dzień... a — piękna pogoda
Co to? włosy na brodzie. — Dyabła! — siwa broda.
Co to znaczy? w co znowu przewierzgnęły biesy?
Jaki płaszcz! jakie dziwne na piersiach floresy.
Śniło mi się... Dalibóg nie wiem, co się śniło,
Karczma podobno, piwo z beczek się toczyło,
I był potop, w potopie pływałem jak ryba.
Sztuczka dyabla zrobiła ze mnie wieloryba,
Lewiatana w złocistym płaszczu, z brodą siwą.
Ha! chodź tu, moja wiedźmo, moje szklane dziwo,
Powiedz, kto mnie tak złotem i brodą ozdobił?
Powiedz, co się zrobiło ze mnie?

GOPLANA.

Król się zrobił.

GRABIEC, sięga do głowy, znajduje koronę.

Więc niech się nie odrabia to, co już zrobione.
Sięgnęła ręka głowy, znalazła koronę.
Cudy...

GOPLANA.

Nosisz prawdziwą koronę Popielów...

GRABIEC.

Widzę, że służy ludziom do tych samych celów,
Co czapka, kryje uszy. A to?

Pokazuje berło drewniane.

GOPLANA.

Berło twoje.

GRABIEC.

Jak chcesz, miły węgorzu, ja sobie uroję,
Że to berło; niech oko rozumowi sprzyja
I powie, że to berło. Skąd wy tego kija
Wzięli, dyabliki moje?

CHOCHLIK.

Gdy cię Grabkiem zwano...

GRABIEC ze wzgardą.

Nie mów mi o tym Grabku.

CHOCHLIK.

Gdyś był wczora rano
Obywatelem lasu, wierzbą, z królo-drzewa
Filon ułamał gałąź.

GRABIEC.

I ta ręka lewa
Nosi tę samą korę, którąm ja porastał,
I ta kora jest berłem... Ha! to będę szastał
Tym berłem po grzbiecinach. — Ach! wielka mi szkoda,
Że się do nieba dostał ojciec golibroda,
Wrazby oszastał długie kędziory na brodzie.
Moja wiedźmo, co chodzisz jak święta po wodzie,
Nie możesz ty mię z łaski swojéj brody zbawić?
Nie?... basta... jaki balwierz potrafi się wsławić
Na téj królewskiéj brodzie. Ha! a jeszcze warto
Dać mi jabłko do ręki, a z dzwonkową kartą
Będę chodził po świecie jako ze źwierciadłem.

SKIERKA.

Na jabłko królewskie skradłem
Chłopakom z bliskiego sioła
Bańkę z mydła; a dokoła
Tak piekło słońce, że z głową
I z nogami w kryształową
Siadłem kulkę. — Lecę, lecę...
Wtem banieczka moja złota
Na błękitnéj siadła rzece;
I konik polny — niecnota!
Kiedy pod tęczowém szkiełkiem
Usnąłem spokojnie w łódce,
Zbił ją gazowém skrzydełkiem
I uciekł... a ja rozespan
Na niebieskiéj niezabudce
Ocknąłem się.

GRABIEC.

Dyabliku, to znaczy, że jespan
Głupi jak but; bo jabłko, choć jabłko królewskie,
To jabłko, nie zaś żadne migdały niebieskie.

Chochlik daje mu jabłko.

Dzięki składam waszeci — dobre... a czy winne?

Kosztuje.

Więc mam wszystko, co król ma. Ach! ach! A gdzie gminne
Szołdry? poddani moi, którym ja panuję?

GOPLANA.

Wszystko, co na téj ziemi moję władzę czuje,
Ptaszyny, drzewa, rosy, tęcze, każdy kwiatek
Jest twojém.

GRABIEC

Trzeba zaraz nałożyć podatek.
Słuchajcie mnie... a kodex niech będzie wykuty
W spróchniałéj jakiéj wierzbie. Odtąd brać w rekruty
I żubry i zające, i dziki i łosie.
Kwiaty, jeżeli zechcą kąpać listki w rosie,
Niech płacą, rosę puszczam w odkupy żydowi;
Niech mi wódką zapłaci. Każdemu szpakowi
Kazać nie myśleć wtenczas, kiedy będzie gadał.
Zabronić, aby sejmik jaskółczy usiadał
Na trzcinach i o sprawie politycznéj sądził.

Wróblów sejmy rozpędzić; ja sam będę rządził
I wieszał i nagradzał. Jaskółkom na drogę
Dawać paszporta, w takich opisywać nogę,
Dziób, ogonek i skrzydła i rodzinne znaki.
Odtąd nie będą dzieci swych posyłać ptaki
Do niemieckich zakładów, gdzie uczą papugi;
Wyjęte sroki, które oddają usługi
Ważne mowie ojczystéj. Z cudzych stron osoby,
Jak to: kanarki... śledzić. Na obce wyroby
Nakładam cło... od łokcia tęczy wyrobionéj
W kraju słońca, księżyca, białéj lub czerwonéj,
Albo fioletowéj, byleby jedwabnéj,
Płacić po trzy złotniki... a od sztuki szwabnéj
Płotna z białych pajęczyn...

GOPLANA.

O czém gadasz, drogi?

GRABIEC.

Co? króluję... króluję — skarb łatam ubogi.
Róża płaci od pączka, od kalin kalina,
Od każdego orzecha zapłaci leszczyna,
Czy to pusty, czy pełny; mak od ziarnek maku,
Nie od makówek. Głowa na mnie nie dla znaku...

GOPLANA.

Zostawiam ci Chochlika, Skierkę, niechaj służą,
Niechaj zrywają kwiaty, a strzęsioną różą
Osypią, kiedy zaśniesz. Bądź zdrów, do wieczora.
Będę ciebie czekała nad brzegiem jeziora,
I płacząc, piosnką płaczu wabiła słowika.

odchodzi Goplana.

GRABIEC.

Aż mi lżéj, że ta rybia galareta znika. —
Hej poddani!

do Chochlika.

Ty jesteś królewskim ministrem,
Boś głupi.

do Skierki.

A ty, drugi dyable z oczkiem bystrém,
Błaznem, śmiesz mię, łajdaku, aż z radości pęknę.
Ministrze, gdzie mój powóz?

CHOCHLIK.

Cztery konie piękne,
Czarne, księżycowymi wierzgają podkowy;
I wóz na ciebie czeka Mefistofelowy,
Ale nie mów Goplanie.

GRABIEC.

Dla czego?

CHOCHLIK.

Bo ona
Nie chce pożyczać z piekła.

GRABIEC.

Szalona! szalona!
Jeśli dyabeł pożycza, bierz, bo takie wozy
Oszczędzają ci butów...

Do Skierki.

Ty będziesz wiózł z kozy.
Minister za forysia... teraz jechać pora.

SKIERKA.

Gdzie król jedzie?

GRABIEC.

Na ucztę ślubną do Kirkora.

Odchodzą wszyscy.

SCENA V.

Sala w zamku KIRKORA. — KOSTRYN sam.

KOSTRYN.

Za pustelnika celą drzewami ukryty,
Słyszałem tajemniczą spowiedź téj kobiéty.
O! szczęście! — teraz panem złotéj tajemnicy;
Mógłbym ją z pałacowéj rozkrzyczeć wieżycy,
Albo mojemu panu wiernie opowiedzieć,
Albo okropną powieść wyrazami cedzić
Jako piasek klepsydry w pani trwożne ucho,
Aż zobaczę skarbnicę tego zamku suchą
Jak czoło Araratu... Wraca Balladyna.
Mogę mieć ją i skarby... Szczęśliwa godzina.

Staje na stronie.

BALLADYNA.

O wszystkiém wie ten człowiek stary... powie drzewom,
Drzewa będą rozmawiać o tém w głuche noce,
Aż straszna wieść urośnie. O! biedneż wy myśli,
Jak dzieci nierozumne cieniów się lękacie.
Ten starzec słowa moje łączy, składa, zbiera,
I mówi: być nie może... ta kobieta młoda
Nie zabiła. A jeśli nie, jeżeli pewny;
A któż w taką rzecz może uwierzyć jak w pacierz...
Ale jeśli uwierzył — jeśli przechodniowi
Zbłąkanemu opowie straszną zbrodnię pani,
Nim wymówi nazwisko, zlęknie się jak prostak
Zemsty możnego pana. A może, jeżeli
Dobre ma serce starzec, na końcu języka
Znajdzie litosną radę: na co ludziom szkodzić?
A może już zapomniał, a ja nierozsądna
Myślę, o czém ten starzec myśleć już poprzestał.
Bo i czémże ja jestem, aby mną się ludzie
Zajmowali, śledzili, chcieli gubić? Piekło!
Tysiącem słów nie mogę zabić tego słowa:
On wie. Na cożem poszła do tego człowieka?
Straciłam się; szatańska ręka mnie zawiodła.
I pomyśleć? że gdyby nie te odwiedziny,
Starzec byłby jak owe ludzi miliony,
Których nigdy na świecie nie spotkałam. Myśleć!
Że ta sama godzina, trwożnych myśli pełna,
Byłaby jak wczorajsze godziny, i może
Spokojniejsza; bo wszakże wieleby się strachu
Przez jeden dzień zatarło tajemniczą ciszą.
Teraz wszystko na nowo odradza się z twarzą
Okropniejszą. Zazdroszczę téj, co dzisiaj rano
Mną była.

Kostryn zbliża się.

KOSTRYN.

Pani! od Grafa przysłany
Z darami goniec — na rozkazy czeka.

BALLADYNA.

Dary od męża? zawołaj człowieka.
Niech je tu złoży. Stój... czy tobie znany
Ów żebrak, który mieszka w lesie, stary?

KOSTRYN.

Pustelnik?

BALLADYNA.

Nie wiem, czemu się nawinął
Na myśl... gdzie goniec z przysłanymi dary?
Zapewne drogie?

KOSTRYN.

Pan Graf zawsze słynął
Szczodrobliwością... i był nakształt słońca,
Co wszędy żywne rozsypuje blaski.

BALLADYNA.

Ciekawa jestem nowéj męża łaski.
Zawołaj zaraz — zawołaj tu gońca.

Kostryn odchodzi.

Gdyby te dary, gdy nie przerażona
Myśl — Na co było pytać się Kostryna
O tego starca?

Wchodzi Kastryn i Gralon.

GRALON.

Przezemnie Gralona
Kirkor pozdrawia.

BALLADYNA.

Zdrów.

GRALON.

Zdrów jak malina.

BAALLADYNA.

Czy mąż ci kazał taką osłodzoną
Przynieść odpowiedź?

GRALON.

Graf dał polecenie,
Abym tę skrzynię z pieczęcią czerwoną
Przyniósł do zamku i nakazał żonie,
Tobie, Grafini, abyś nie ruszała
Pieczęci jego, ni kłódek u wieka,
Aż sam powróci.

BALLADYNA.

Bogdajbym skonała,
Jeśli rozumiem głos tego człowieka!
Powtórz.

GRALON.

Graf Kirkor...

BALLADYNA.

Wiem, ale dla czego
Skrzynię okutą i przysłaną w darze
Kazał mi chować aż do dnia sądnego
Zamkniętą.

GRALON.

Mówił pan: bo ja tak każę...
Nic więcéj.

BALLADYNA.

Głupcze! Twoję głowę ciasną
Nosisz na karku w skorupie blaszanéj,
Aby w niéj wróble jak w dziurawym garnku
Gniazda winęły. Skrzyni okowanéj
Nie ruszać? Ha! ha! w Kirkora podarku
Widzę nieufność, nie zaś wierną miłość.
Ty, podły chłopie,

do Gralona

choć długa zażyłość
Łączy cię z panem, nie miałbyś odwagi
Ruszyć téj skrzyni? bo ty chłosty, plagi
Czujesz na grzbiecie... Ale ja! małżonka,
Jeżeli zechcę... Gdyby mi szepnęła
Mucha... ha, gdyby cichego skowronka
Głosek podszepnął: otwórz, a od dzieła
Szatan odpędzał ognistymi skrzydły,
To wiesz, ty podły służalcze obrzydły,
Że wola moja...?

KOSTRYN.

Grafini...

BALLADYNA.

Ty może
Chcesz przypominać, że mój mąż ma prawo?
Więc niech doświadcza! co mi tam... Mój Boże,
Gdybym ja była, jak inne, ciekawą,
To... Ale wy mnie nie znacie, przysięgam!
Ja tak trwożliwa, że nawet w ogrodzie
Po jabłko z drzewa upadłe nie sięgam.
Jeśli mąż zechce, o chlebie i wodzie
Żyć będę, zawsze wesoła jak wrona
Na cudzym płocie. Anim teraz w złości.
Masz stary

Do Gralona.

Oto złotówka czerwona,
Weź ją i przepij, albo przegraj w kości
I goń za panem; powiedz, że go czekam
Z niecierpliwością, że łzy po nim ronię;
Że jedwabiami złotymi wywlekam
Szarfę dla niego. Gdzieżeś ty, Gralonie,
Odjechał pana?

GRALON.

W nadgoplańskim borze.

BALLADYNA

Nie zatrzymywał się nigdzie po drodze?

GRALON.

U pustelnika stanął w celi.

BALLADYNA.

Boże!
U pustelnika... Mów... Ja ci nagrodzę
Za każde słowo garścią złota; ale
Chcę wiedzieć wszystko... rozumiesz? wspaniale
Nagrodzę ciebie, ale mów otwarcie.
Choćby co było okropnego — powiedz.

GRALON.

W borze, przez głucho zarosły manowiec,
Pan jechał przodem na koniu lamparcie
A my gęsiora jechali za panem.
Wtem nagle pański koń dał w górę słupa,
Jakby się spotkał z ognistym szatanem.
A pan Graf z konia; rzekł: czuć w lesie trupa.

BALLADYNA z przerażeniem.

I z konia zsiadł... i...

GRALON.

Krzyknął: za mną służba,
I pieszo z mieczem pod wierzbę poskoczył.
Na mchu trup leżał, a piersi mu toczył
Wianek żelaznych gadzin.

BALLADYNA.

O!!!

GRALON.

To wróżba

Naszéj wyprawy, rzekł Graf... Oto leży
Przed nami ścierwo zabitego tura.

BALLADYNA, oddychając.

Ach!

GRALON.

Dobra wróżba dla mężnych rycerzy,
Mówił Graf Kirkor; my krzyknęli: urra!
I znowu na koń...

KOSTRYN.

Mówiłeś, Gralonie,
Że trup pod wierzbą? a na białém łonie
Trupa żelazne leżały gadziny?

GRALON.

Na ścierwie tura.

KOSTRYN.

Nieszczęśliwa łania!

GRALON.

To był tur samiec.

KOSTRYN.

Gdzie wierzba się kłania?
Po nad strumieniem? gdzie rosną maliny?
Wszak tak?...

GRALON.

Tak, panie.

KOSTRYN.

Blisko starca chaty?

GRALON.

Tak...

KOSTRYN.

I ty mówisz, że tur rosochaty
Leżał pod wierzbą?

GRALON.

Tak.

KOSTRYN.

Przysiąż!

GRALON.

Dla czego?

KOSTRYN.

Bo ja przysięgnę na szatana złego,
Że nie tur... ale — broń kłamstwa żelazem!

Do Balladyny, dobywając miecza.

Tego człowieka trzeba zabić.

BALLADYNA, z pomięszaniem.

Trzeba.

KOSTRYN, napadając

Broń się —

GRALON, broniąc się.

Co znaczy?

Biją się — Balladyna zdejmuje miecz ze ściany i, zachodząc z tyłu, zabija Gralona.

BALLADYNA.

Masz!

GRALON.

O jasne nieba!...

Zbrodnia!!!

Kona.

KOSTRYN.

Grafini, napadliśmy razem
Na tego starca: czy wiesz, co to znaczy?

BALLADYNA.

Wiem! o mój Boże!

KOSTRYN.

Ja biorę połowę
Twojego strachu, tajemnic, rozpaczy.

BALLADYNA.

Co teraz robić, Kostrynie?

KOSTRYN.

Mieć głowę.

*

Akt IV.

SCENA I.

Sala w zamku Kirkora. — Uczta. — Przez okna widać błyskawice. — Grabiec ubrany jak król siedzi na pierwszém miejscu. — Balladyna, Kostryn, Szlachta, Służba zamkowa, Chochlik i Skierka stoją za krzesłem Grabka.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Zdrowie jasnego króla!

GRABIEC do Chochlika.

Podziękuj, ministrze.

CHOCHLIK, ze śmiesznym giestem.

Król dziękuje.

GRABIEC.

Mój błaźnie, każ niech pieczomistrze
Przynoszą nowe danie...

SKIERKA.

Już kuchta zamkowy
Nie ma nic na półmisek prócz cielęcéj głowy,
Lecz ta niedopieczona, na królewskim karku.

GRABIEC.

Widziałem dwa chodzące pawie na folwarku,
Upiec je i dać na stół, ja poczekam na nie.

KOSTRYN.

Służba! przed jasnym królem na ostatnie danie
Postawcie złotnikami napełnioną tacę.

GRABIEC, biorąc z tacy złotniki, rozdaje Chochlikowi, Skierce, a potem sam napełnia kieszenie.

Ministrze, za rok usług z góry ci zapłacę,
A nie drzyj tak poddanych; tobie, miły błaźnie,
Za tysiąc żartów, złotnik; spraw nam śmiechu łaźnię.
Sobie także za ciężkie płacę panowanie.
A to — to mi schowajcie jutro na śniadanie.

BALLADYNA.

Honor to dla mnie, że gość tak dostojny
Raczył nawiedzić mój zamek i stoły.
Pijcie panowie!

Do Kostryna, który ją za rękę ściska, mówi cicho.

Chłopcze! siedź spokojny!
Na Boga! patrzą, odgadną, zginiemy.

Do innych.

Pijcie panowie! Panie Chrząszcz z Jemioły,
Pij waść! — Dla czego pan Gryf siedzi niemy?
Proszę wynaleźć wesołą rozmowę.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Mówmy o herbach.

GRABIEC.

Ja mam w herbie króla,
Złote trzewiki, koronę i głowę.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Ja mam dwie trzaski.

DRUGI ZE SZLACHTY.

A ja mam pół ula.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

A ty grafini?

BALLADYNA.

Ja?

KOSTRYN.

Pani! wszak byłaś
Księżniczką możnéj Trebizonty.

GRABIEC.

Proszę!...
Najświętsza Panno! co ty narobiłaś
Książąt na ziemi! Miałaś aśćka grosze?

BALLADYNA.

Ja?... o! wspomnienie! Wuj nielitościwy
Wygnał mię z państwa, zagrabił dzielnicę;
Przez niego bracia moi królewice
Zamordowani.

GRABIEC.

Proszę! co za dziwy!
Ktoby uwierzył?

BALLADYNA.

I mnież odmówicie
Wiary? — nie proszę o pożałowanie.
Ach! ja szczęśliwsza, ja uniosłam życie;

Lecz matka moja!... Matkę moję, panie,
Zamurowano w pałacu framudze.

GRABIEC.

Biedna starzyzna!

BALLADYNA.

Ale ja was nudzę
Opowiadaniem tego, co mię boli.
Proszę pić! proszę! Gdzie krajczy? podstoli?
Niech daje wina!... Wy czar dolewajcie,
Bądźcie weseli...

GŁOS SŁUGI ZA KULISĄ.

Stój, matko!

GŁOS WDOWY ZA KULISĄ.

Puszczajcie!

BALLADYNA.

Gdzie ja się skryję?

WDOWA wpada, przebijając się przez służbę, i staje śród sali — dygając pomięszana

Kłaniam pięknie, moi
Rycerze. — Córko! ha, to się nie godzi
Zapomnieć o mnie.

BALLADYNA.

Co się babie roi?
Co to za stara kobieta?

WDOWA.

Wy młodzi
Hulacie? dobrze. — Ale też o matce
Warto pomyśleć... A to mnie jak w klatce
Zamknięto... stara czeka, czeka, czeka...
Ani przysłała kawałeczka chleba.
A to głód, córko! A przynajmniéj mleka
Kropelkę dajcie, wszak tu manna z nieba
Padać nie będzie dla biednéj staruszki.

BALLADYNA.

Co to się znaczy? to jakaś szalona.

WDOWA.

A daj mi, córko, te złote dzbanuszki,
Matce się pić chce.

BALLADYNA.

Czemu tu wpuszczona
Ta stara?

KOSTRYN.

Wziąść ją! idź z Bogiem! — Mój królu,
To obłąkana.

WDOWA do Balladyny.

A powiedz: matulu
Do twojéj matki, nie nazywaj: stara,
Stara, ta stara...

BALLADYNA.

Wziąść ją! wyprowadzić!

GRABIEC.

Cha! cha! cha! jaka to chłopska maszkara!
Dajcie jéj pokój! trzeba ją posadzić
Z nami do stołu.

WDOWA.

To mi to pan dobry!
Widzicie! dajcie ławkę, niech usiędę.
Tak, tak, tak trzeba, mój rycerzu chrobry,
Czcić starą matkę... Czy to ja uprzędę
Piękniejszą sobie suknię z pajęczyny?
To wina mojéj kwoczki, Balladyny,
Że ja w łachmanach, rada, czy nie rada.
Niech się nie dziwi żaden z was acanów,
Że ot

pokazując na suknie.

nie złoto, lecz kilka łachmanów
Ze starych kości na proszek opada;
Proszę wybaczyć córce mojéj...

BALLADYNA.

Piekło!
Jak tu wpuszczono tę żebraczkę wściekłą?
Powiedz, jak weszłaś do złotych pokoi?
Ja ciebie nie znam...

WDOWA.

O! święci anieli!
Nie znasz?... ty matki nie znasz? matki twojéj?

GRABIEC.

Cha! cha! cha! uszy królewskie weseli
Taki rozhowor.

WDOWA.

Powtórz, córko, śmieléj,
Ty matki nie znasz? twojéj własnéj matki?

BALLADYNA.

Czy wy ją znacie, panowie? powiedzcie,
Co to za wiedźma?

WDOWA.

Świećcie mi! ach świećcie,
Niebieskie gwiazdy! — Wy mi bądźcie świadki,
Jeśli z was który ojcem?... O! ty jędzo!
Ach! okropnico, córko! to ja ciebie
Nie znam.

BALLADYNA do Kostryna.

Każ, niech ją za wrota przepędzą,
Szczeka za głośno.

WDOWA.

Urodziłam z siebie
Trumnę dla siebie — o Boże mój! Boże!...

Służalce, na znak dany przez Kostryna, chwytają za ręce wdowę.

Puszczajcie! córko!... niech pomyśli... córko!...
O córko! pomyśl... ale tam na dworze
Ciemno, deszcz pada, a piorun pod chmurką
Czeka na siwy mój włos, by uderzył.
Patrzaj przez okno... grom nie będzie wierzył,
Jak mię zobaczy samą w taką burzę,
Że ja nie jestem jaką zabójczynią,
Co się po nocy błąka...

Ciągną ją na znak gniewliwy Balladyny.

Powiem chmurze,
Niech bije w zamek gromem! nie targajcie,
Ja pójdę sama... Świat teraz pustynią
Dla staréj matki.

BALLADYNA.

Chleba kawał dajcie.

WDOWA.

Bodaj cię chleb ten zadławił! zadławił!

O! nie targajcie, bo i tak podarta
Sukienka moja... wiatr się będzie bawił
Z łachmanem staréj matki. O! to czarta
Córka, nie moja! nie moja! nie moja!

Wychodzi, wyprowadzona przez służbę.

BALLADYNA, po długiém milczeniu.

Czemuście smutni? Wszak pod uczty koniec
Ludzie szczebiocą, co język przyniesie.
A wy milczycie, jak w zamczysku zbója?

Słychać tentent.

Co to za tentent?

SŁUGA.

Przybył Grafa goniec.

BALLADYNA.

Niech wejdzie.

Goniec wchodzi.

Jakie od męża nowiny?

GONIEC.

Pan Graf pozdrawia...

BALLADYNA.

A kiedy z powrotem?

GONIEC.

Burza go w bliskim zaskoczyła lesie.
Konie, ognistym przerażone grzmotem,
Grzęzły po bagnach; sosny się jak trzciny
Gięły z okropnym hukiem i łoskotem.
Nie można było dotrzeć do zamczyska,
I pan Graf czeka w pustelnika celi,
Aż się ta burza wygrzmi i wybłyska.

BALLADYNA.

Cóżeście z panem nowego widzieli?

GONIEC.

Pan Graf pomyślnéj dokonał wyprawy.
Zaledwieśmy wjechali w gnieźnieńskie ulice,
Koło czerwonéj bramy spotkaliśmy orszak
Rycerzy uzbrojonych; na ich czele Popiel
Jechał konno. Koń jego dumny piął się nieraz,
I zawieszał w powietrzu żelazne kopyta
Nad głowami pokornie klęczącego ludu.

Wtem Kirkor, któżby myślał? Kirkor samotrzeci
Chwyta dłonią koniowi królewskiemu cugle,
Krzycząc: srogi tyranie! trzema zabójstwami
Doszedłeś aż do tronu; idź w piekło! To mówiąc,
Mieczem rozciął przyłbicę ukoronowaną.
I za szaty chwyciwszy podniósł, wstrząsnął trupa,
I ludowi pokazał. Lud zrazu oniemiał;
Potem w niebo ogromnym uderzył okrzykiem,
Nie można było wiedzieć, pochwalał czy ganił.
Nagle się cały ku nam rzucił szumną falą,
Chwila — a już nas jako trzy maleńkie mrówki
Zalał, strzaskał, zdruzgotał. Kirkor jedną ręką
Trzymał trupa; a drugą swój miecz zakrwawiony.
My zaś, jego rycerze, pełniąc rozkazanie,
Mieczów nie dobywali. Wtem tłok ludu, jako
Bałwan rzucony wiatrem, zniżył się kolanem
Przed olbrzymią postawą Kirkora i wołał:
Niech żyje ludu mściciel! Kirkor król niech żyje.

BALLADYNA.

Co mówisz, Kirkor królem?

GONIEC.

Racz końca wysłuchać.
Gdy lud głosił go panem, Kirkor miecz błękitny
W trupiéj ocierał szacie; widać, że głęboko
Dumał, jakimi słowy myśl wyrazić zdoła.
Nakoniec rzekł: O! Lachy, ja nieznany rycerz,
Nie mogę przesławnemu władać narodowi;
Com uczynił, czyniłem nie dla wyniesienia
Głowy mojéj, czyniłem to dla szczęścia ludu.
Jam stworzony do ciszy wiejskiéj i prostoty,
Dla mnie za ciężką nawet była godność Grafa
I zniżyłem ją szczeblem, pojąwszy w małżeństwo,
Zamiast jakiéj królewnéj, ubogą chłopiankę;
Ona, zamiast herbowych znaków, połączyła
Z herby moimi dzbanek pełny malin; ona
Nie podobna królowéj; ani państwa pany
Zechcą chłopianki dzieciom na przyszłość podlegać.

BALLADYNA.

Niegodne kłamstwo! kłamstwo! to kłamstwo

GONIEC.

I daléj
Kirkor tak rzecz prowadził: Ogłoście po kraju
Bezkrólewie; a kto się na zamku pokaże
Uwieńczony prawdziwą koroną Popielów,
Koroną, w któréj znany brylant *żmije-oko*
Między dwoma rubiny na trzech perłach leży,
Tego królem obierzcie. Lud zgodnym okrzykiem
Przyzwolił na tę mowę i osierocony
Czeka, aż się ukaże król, dziedzic korony.

GRABIEC, na którego wszyscy patrzą.

Czemu ci ludzie patrzą na mnie jak gawrony?

SZLACHTA.

Klękajmy wszyscy przed tym ukoronowanym,
On królem.

GRABIEC.

Co, ja królem? gdybym nie był pjanym,
Upiłbym się z radości. Los głupi jak rura!
Wyskoczyłbym ze skóry, gdyby moja skóra
Nie była teraz skórą królewską.

SZLACHTA.

Żyj długo.

GRABIEC.

Sto lat! Sto lat żyć będę; wziąłem skórę drugą
Jak wąż — jak wąż, panowie, mam oko z brylanta.
Puściłbym się po sali z grafinią kuranta,
Gdyby nie godność, prawda? która siedzieć każe.
Tak się w mój tron złocisty królowaniem wrażę,
Że nie oderwą ludzie od tronu człowieka.
Proszę! co za dziw!

BALLADYNA do Kostryna.

Słyszysz, jak burza się wścieka,
Dzwonią deszczowe rynny. W téj okropnéj burzy
Słyszę głosy płaczące...

KOSTRYN.

To krzyk nocnych stróży.

BALLADYNA.

Nie, to są jakieś głosy inne, jęk ze świata
Umarłych. Lej mi wina. Wszystko się tak splata,
Że chyba się powiesić.

GRABIEC.

Teraz po obiedzie
Trzeba wymyślić wesołą zabawę.
Każcie tu wpuścić kuchenne niedźwiedzie,
Co kręcą rożnem, niech tańczą.

PIERWSZY ZE SŁUG.

Kulawe,
Pan Graf podstrzelił je.

GRABIEC do Chochlika.

Więc ty, ministrze,
Weź moje berło wierzbowe i na nim
Graj jak na dudzie — a zatykaj bystrze
Dziurki palcami, jeśli pomysł nowy,
Dążący prosto ku uszczęśliwieniu
Przyszłych poddanych, wymknie ci się z głowy
Przez głupie wrota. Słuchajcie w milczeniu.
Graj!

CHOCHLIK.

Co grać, panie?

GRABIEC.

Kładź palce na dziury,
To berło z mojéj wykręcone skóry,
Wie, co ja lubię.

SKIERKA.

Graj! ja do wtoru
Zawołam echa ciemnego boru,
Co rzecz widziały.

Chochlik gra na flecie smutną pieśń wiejską, a zamięszane głosy w powietrzu poczynają śpiewać.

ŚPIEW.

Obie kocha pan,
Obie wzięły dzban;
Która więcéj malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.
Cha! cha!...

Pieśń niknie jak echo.

BALLADYNA.

Co to się znaczy? kto śpiewał i taką
Pieśń skończył śmiechem?

KOSTRYN.

Cyt... to przywidzenie!

BALLADYNA.

Ktoś śpiewał...

Do Chochlika.

Proszę, graj.

Do Kostryna.

A ty, Kostrynie,
Patrz w twarze ludzi, a jeśli dostrzeżesz,
Z których ust wyjdzie pieśń, powiedz — obmyślę,
Co z tym człowiekiem stanie się.

Do Chochlika.

Dudarzu,
Zagraj mi jeszcze wieśniaczą balladę
I obudź echa wiszące nademną
W kopule sali. Objaśnić pochodnie.

Chochlik gra.

ŚPIEW DUCHÓW.

Tobie szatan stróż
Włożył w rękę nóż;
Siostra twoja rwie maliny.
A ty? a ty? Nóż twój siny
Poczerwieniał krwią. O!...

Pieśń kończy się echowymi jękami.

KOSTRYN.

Przestań, grafini mdleje.

BALLADYNA.

Nie, ja żywa.
Śpiewajcie... jeszcze. Objaśnić pochodnie...

Chochlik gra.

ŚPIEW DUCHÓW.

Na twej czarnéj brwi
Niby krople krwi.
Kto wie, z jakiéj to przyczyny?
Od maliny? lub kaliny?
Może... cha!...

Pieśń kończy się echem.

BALLADYNA daje ręką znak.

Daléj...

JEDEN Z PANÓW.

Co znaczy takie obłąkanie
W oczach grafini? Czy prosta piosenka,

Którą wieśniacy przy grabioném sianie
Nucą na fletniach, tak ją biedną nęka.

BALLADYNA.

Daléj!

JEDEN Z PANÓW.

Obudźcie tę kobietę blada.
Ona zasnęła i śpi z otwartymi
Oczyma...

KOSTRYN do Balladyny.

Pani!...

JEDEN Z PANÓW.

Rozkaż, niech ją kładą
W gorące łoże, skościała jak drewno.

Grom bije głośny... Balladyna budzi się.

BALLADYNA.

Co ze mną było? Jak ja okropnymi
Sny przerażona.

Do Kostryna.

Słuchaj ty, ja pewno
Gadałam we śnie. Czy we śnie gadałam?

KOSTRYN.

Nie...

BALLADYNA.

Bogu dzięki. Ale gdy ja spałam,
Wyście musieli rozpowiadać głośno
O czém okropném?

Do gości.

Proszę, pijcie! widzę,
Że lepiej zrobię, usiadłszy za krosno
Niż przy puharach.

GRABIEC, budząc się.

Przepraszam, panowie.

BIESIADNICY.

Za co?

GRABIEC.

Przepraszam i bardzo się wstydzę,
Ze byłem zasnął.

Pije.

Zamku pana zdrowie!

BIESIADNICY.

Zdrowie Kirkora!

GRABIEC.

Poczciwy! poczciwy!
Zamiast panować, woli jeść maliny.
Każcie, niech jaki leśnik lub myśliwy
Pójdzie do boru i malin przyniesie.

BALLADYNA.

Straszne zachcenie.

GRABIEC.

W podzamkowym lesie
Muszą być słodkie maliny i duże
I smakowite, skoro Kirkor woli
Dzban takich malin, niż meszty papuże
I płaszcz królewski. Każ, niech nam podstoli
Malin dzban poda na pokosztowanie.

BALLADYNA

Odwagi! nic się gorszego nie stanie.
Słyszałam echa grobowych rozwalin,
Ujrzę, czy więcéj prócz słów co wyrzucą
Wzruszone groby. Malin! dajcie malin!

Pokazuje się cień biały Aliny z dzbankiem malin na głowie.

Czułam cię dawno w powietrzu, a teraz
Widzę, jak błyszczą oczy twoje? Biała!
Ja się nie lękam — widzisz; ale ty się
Nie zbliżaj do mnie.

JEDEN ZE SZLACHTY.

O czém ona gada?

BALLADYNA.

Mów ze mną przez stół. Niech mi jaki człowiek
Da rękę — ja się boję.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Czy słyszycie,
Jak ząb jéj dzwoni o ząb z przerażenia?

BALLADYNA.

Idź, potępiona — odnieś, skąd przyniosłaś
Ten dzbanek pełny czegoś, co się rusza,
Jak to co w grobie. Czy powieszonego
Na zamku wieży przed latami trupa
Cień padł do sali i stoi na nogach,
Nie oddychając. O! precz... widmo białe
Zarzniętéj.

Cień znika.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Jaka woń malin! czujecie?

DRUGI ZE SZLACHTY.

Powietrze pełne malin.

BALLADYNA, padając.

O! umieram!

KOSTRYN.

Wody! hej, wody! Ja szaty rozdzieram,
Lejcie tu na pierś — niech służebne wnijdą.

Wchodzą kobiety.

Wynieście panię.

Wynoszą Balladynę.

Raczcie wstać od stołu,
Pochodnie gasną. Napełnia ohydą
Ten stół splamiony, resztki chleba, wołu.
Czy chcecie rzucać ogryzione kości
Wzajem na siebie, jak czynią Duńczycy?
Proszę do komnat. Wy stoły wynoście;
Wy z pochodniami poprzedzajcie króla,
Gdzie dlań usłano w przybocznéj wieżycy
Łoże puchowe. Jutro się rozhula
Zamek i będzie wesoły jak wczora.
Lecz na dziś dosyć. Panowie, spać pora.
Proszę porzucać puhary i ławy.
Jak ciężko Lachy odpędzić od strawy
I od napoju; wiszą by pijawki
Na uszach dzbanka, przy muzyce czkawki.

Podczas téj mowy wynoszą stoły. Grabiec wyprowadzony przez służbę z pochodniami, za nim wszyscy biesiadnicy i Kostryn wychodzi ostatni.

SCENA II.

Las przed celą pustelnika. Burza trwa.

PUSTELNIK i KIRKOR.

KIRKOR.

Chroń się, starcze, do celi, burza tobie z głowy
Okradnie siwe włosy. Ludzie i zdarzenia
Kradną... złodziej płaszcz zedrze, a nędza koszulę.
Trzeba wszystkiemu zbrojną ręką się opierać.
Lecz smucisz się zawcześnie, bo ja ci przysięgam,

Że zginę, lub skradzioną koronę odzyskam.
Oto, choć bliski domu, mógłbym za godzinę
Z ust żony pocałunków tysiąc wziąść na drogę,
I napić się jak ptaszek w różanym kielichu,
Dziobiąc rosy perełki; wolę téj rozkoszy
Zaniechać, a do Gniezna zaleciawszy nocą,
Lud zebrać i obwieścić wszystkiemu gminowi,
Jakoś ty dziedzic prawy bezecną kradzieżą
Dobra twego postradał. Potem zaś trębaczom
Każę głosić po kraju i mieście, że kto się,
O tron Lachów zgłaszając, pojawi na zamek,
Uwieńczony prawdziwą koroną Popielów,
Temu ja fałsz zarzucam; takiemu na czole
Mieczem wypiszę słowo zasłużone: *złodziej*.
Módl się więc za mnie, starcze, aby mi Bóg żywy
Dał zwyciężyć na szrankach, i czekaj z powrotem.

PUSTELNIK.

Niech cię Bóg błogosławi.

KIRKOR klaszcze, wchodzi żołnierz.

Wsiadać na koń! lotem
Trzeba śpieszyć do Gniezna.

Rycerz wychodzi.

PUSTELNIK.

Słuchaj, ja ci radzę,
Wróć do zamku, odpocznij, po dalszéj rozwadze
Obaczysz, co przedsięwziąść.

KIRKOR.

Ja, starcze leniwy,
Dzisiaj odrobić chcę całą pańszczyznę;
A odrobiwszy całą, żyć szczęśliwy
Z drogą małżonką. Całą ci ojczyznę
Włożę na barki; a gdy będziesz dźwigał
Rzeczy i ludzi, to ja się zakopię
W zamku spokojny. Niechby mi dościgał
Sad owocowy, niechbym małe chłopię,
Dzieciątko moje, na rękach kołysał,
O to się modlę. Ty mi zaś co roku
Z tronu do chaty listy będziesz pisał.
Niechaj raz na rok spadnie mi z obłoku

Biały gołąbek i pod skrzydełkami
Przyniesie powieść pełną tych wielkości,
Co budzą uśmiech i sen pod lipami
Dają smaczniejszy... Król mi pozazdrości
Żony i dziecka i lipy i chłodu
I snów pod lipą i złotego miodu.
Żegnaj mi! żegnaj! Nim słońce zaświeci,
Będę w stolicy. Hop! hop! na koń, dzieci!

Kirkor wychodzi. — Słychać tentent oddalających się.

PUSTELNIK, sam.

O! Boże! Boże! Wolę, niech do Gniezna wraca,
Niżby miał do tych piersi szlachetnych przycisnąć
Krwawą swoję małżonkę. Bogdajbyś ty nigdy
Nie znał, Kirkorze, z jakiéj matki się urodzą
Dzieci twoje. Bogdajby za pierwszą nagrodę
Bóg uczynił cię wdowcem, nim ojcem uczyni.

Słychać głos Wdowy.

WDOWA za sceną.

Biedna ja! biedna!

PUSTELNIK.

Co to za wołanie
Tak pełne płaczu?

WDOWA za sceną.

O, biedna ja, biedna!

Wdowa wchodzi jak ślepa, szukając drogi ręką.

PUSTELNIK.

Jakaś kobieta jak łachman w łachmanie,
W noc tak okropną, ślepa, sama jedna!

do Wdowy.

Skąd, moja matko?

WDOWA.

Matko? O! na Boga!
Tak nie nazywaj, córko niegodziwa!
Matka? psia matka!

PUSTELNIK.

Skąd idziesz, uboga?

WDOWA.

Ja nie uboga... Siwa, siwa, siwa

Jak gołąbeczek. — Nie wiesz, co się stało?!
Grafini, moja córka, wielka pani,
A ja na wietrze z głową taką białą
Mówię piorunom: bijcie! bijcie we mnie!
I nie chcą słuchać... A w zamku zebrani
Pijaki sobie winszują wzajemnie,
Że córka moja pije, wielka pani...
Czy ty rozumiesz?... Ma zamek i wieże....
Grafini...

PUSTELNIK.

Jak się córka twoja zowie?

WDOWA.

Zowie się córką. Ale ja nie wierzę,
Ażeby ona miała oczy w głowie,
Oczy, co płaczą. — W taką zawieruchę!
W takie pioruny na deszcz wygnać matkę!
Co ją karmiła, co piersi ma suche,
Starością suche, a włos taki biały,
Jak co świętego.

PUSTELNIK.

Chodź pod moją chatkę,
Ty drżysz od zimna, chodź!

WDOWA.

I zamek cały
Do niéj należy, wielki jak pół świata...
Widzisz!... Grafini!

PUSTELNIK.

Chodź!

WDOWA.

Tu będę czekać,
Czy córka moja wie, gdzie twoja chata?
A kto wie? może, jak pies zacznie szczekać
Na jaki łachman, to wspomni o matce
I każe szukać po świecie... Być może!
Wszak Bóg ma litość?

PUSTELNIK.

Chodź, przepłaczesz w chatce
Tę noc burzliwą, a gdy błysną zorze

Ja cię powiodę do wielkiego króla;
Do nóg się rzucisz, błagając o litość
I...

WDOWA.

Powiem jemu... ja, biedna matula:
Do nóg się rzucam...

klęka.

królu! złoty panie!
Każ córce, która ma złota obfitość,
Niechaj mnie kocha.

wstaje.

A król z tronu wstanie
I zaprowadzi mnie do serca córki.
O! o! o!

płacze.

Wiesz ty, za szkaplerza sznurki
Wieszałam się na sośnie skrzypiącéj za gardło,
Drzewo się ułamało...
Głupia, ślepa, wybrałaś gałązkę umarłą,
Gałązkę, córkę drzewa. Żelazna gadzino,
Nie zlitowałaś się ty matki wdowy?
A jabym żyła chleba okruszyną
W twoich pałacach! Niechby twoja ręka,
Sypiąc gołąbkom w trawę żer perłowy,
Nie odganiała od pszenic ziarenka
Zgłodniałéj matki. — Wygnać w las! na burze!
Wypędzić matkę!... Upadłam w kałużę
I grom czerwony wyjadł z powiek oczy,
Wyjadł do szczętu...

PUSTELNIK.

Oślepłaś?...

WDOWA.

Mózg toczy
Okropna ciemność. Miałam przed wieczorem
Tyle światłości, że mogłam za borem
Rozróżnić białe słońce od księżyca
A teraz...

Błyska.

PUSTELNIK.

Jakto i ta błyskawica
Nie świeci tobie?

WDOWA.

Wzrok ludzi nie strzeże
Od Boga ręki — co mi dziś po wzroku?
A wiesz ty? wiesz ty, że ja teraz wierzę,
A nie wierzyłam dawniéj, że co roku
Ptaszki jaskółki, nim pójdą za morze,
Stare, zgrzybiałe, biedne matki duszą.
Tak, tak, tak... ludzie prawdę mowić muszą.
Żebrząc po świecie piosenkę ułożę,
Groszową piosnkę o jaskółkach czarnych,
Co duszą matki... proszę! w ptaszkach marnych
Taka nielitość! Wygnać matkę starą,
Głodną, na cztery wichry targające
Za siwe włosy.

PUSTELNIK.

Poczciwych tysiące
Padają na tym świecie złych ofiarą.
Gdybym ja ciebie wziął za nieszczęść świadka?

WDOWA.

To i ty matka? i ty także matka?
Nie pójdę z tobą, bo się będziem kłócić
O piękność imion naszych córek... moja...
Ach! gdybyś ty mię z grobu chciał ocucić,
Wołaj Bladina. Pójdę szukać zdroja
I pić jak wróble, zadzierając główkę,
Do pana Boga... dzięki mu! dał wody.

Śpiewa, mrucząc.

Stara miała jednę krówkę,
I chacinę i ogrody
I dwie córki...

Odchodzi w las.

PUSTELNIK.

Po kraju całym szukać każę
Téj matki, i okropny sąd wydam na dziecko.

Odchodzi do celi.

SCENA III.

Noc. — Błyska. — Sala bez światła w zamku Kirkora.
SKIERKA i CHOCHLIK wychodzą z drzwi, którymi wyprowadzono po uczcie Grabka.

SKIERKA.

Nasz pan usnął tam na wieży
I śpi głęboko; ja lecę,

Nim się ta burza uśmierzy,
Kąpać się w błyskawicach.

CHOCHLIK.

Ja wyprawiam hecę
W stajni, gdzie nad wrotami nie przybito sroki.
Czy wiesz, że na téj wieży puhacz jednooki
Zaprosił mnie na ucztę; będzie patrzał krzywo,
Jeśli pogardzę udem zadzióbanéj myszy.

SKIERKA.

Ja matkę bociana siwą
Lecę nakarmić; nie słyszy
Na prawe ucho i ślepa;
Wczoraj od chłopskiego cepa
Uratowałem niebogę...
Polecę, czekać nie mogę.
W taką burzę biedna stara
Może z przestrachu umarła.

CHOCHLIK.

Co to za stuk?

SKIERKA.

To burza drzwi zawarła.

CHOCHLIK.

Cyt... ktoś idzie...

SKIERKA.

Jakaś mara
W bieli... przez okno wylecę...

Wylatuje przez okno.

CHOCHLIK.

Za nim! na koniach w zamku wyprawować hecę.

Wylatuje.

SCENA IV.

Sala taż sama.

BALLADYNA sama, wchodzi w nocnym ubiorze z nożem w ręku.

Nie mogłam spać, nóż leżał przy mnie, wzięłam.
W koszuli — wstyd! gdyby cię kto zobaczył
W koszuli, z nożem w ręku?... Jak tu ciemno!...

Idzie ku wieży.

Cyt!... jakiś szmer? — wiatr mi zagasił świecę...
To przywidzenie... nic nie słychać, zamek cały
Głęboko śpi... Lecz jeśli śpi ten człowiek
Z otwartą tak powieką, to co? to co?
Jeżeli dziś nie zrobię rzeczy, jutro
Żałować będę, wiem, żałować będę.
Wiatr zamknął za mną drzwi, a ja myślałam,
Że jaki ciemny duch zamykał za mną;
I dotąd nie spojrzałam w tamtę stronę,
Jakbym się bała spotkać z czém okropném.

Ogląda się.

A widzisz, nie ma nic, nic nie ma. Ciemne
Powietrze, mgła; żadnych nie widać mar.

Błyska.

Wszelki duch Boga chwali! Jaka to była
Błyskawica czerwona! jak wszystkie ściany
Widziałam białe... Cyt... Nie słychać nic...
Śpiesz się!... Lecz jeśli żar błyskawic lunie
Na moję twarz, gdy będę z nożem stała
Nad nim, to co? — Ogień pokaże tobie
Miejsce, gdzie masz uderzyć. — O! błyskawice.
Stwórzcie czerwony dzień na łonie nocy,
Bądźcie mojego czynu słońcem. — Idę!

Wychodzi na wieżę.

SCENA V.

Sala taż sama.

KOSTRYN wchodzi zbrojno z dobytym mieczem.

Drzwi otworzone. Teraz mię, fortuno,
Prowadź i pomóż ze złotego cielca
Jak Jazonowi złote obciąć runo,
A ja przysięgam, że choć syn wisielca,
Będę na tronie jako syn książęcy;
Dziś sługa gorszych, jutro pan tysięcy
Lepszych odemnie... Cyt! To puhacz huczy
Na wieży zamku. Idźmy na drabinę...
Wszystko gotowe. Mam pęk cały kluczy
Od bram zamkowych; płachtami obwinę
Konia podkowy, i z ową koroną

W pochmurnéj nocy, jak duch czarny zginę;
A co nad wszystko, z cudzołożną żoną
Rozbrat na wieki. O! szatanie, prowadź!

Chce iść na wieżę i we drzwiach spotyka się z powracającą Balladyną.

Kto to?

Cofa się z przestrachem.

BALLADYNA.

Ja.

KOSTRYN.

Sama... w ciemnościach... co znaczy?
Słyszałem jakiś jęk, szedłem ratować.

BALLADYNA.

Przynieś mi światła; niech światło zobaczy,
Jak ja okropnie muszę być czerwona.
Skończyłam... Kogo ty ratować chciałeś?
Już zdaje mi się, że ta burza kona,
Ustało błyskać. — To i ty słyszałeś
Ten jęk okropny?... aż tu było słychać?
To dziwnie! Kiedy przestawał oddychać,
Raz westchnął... Idź ty po światło, Kostrynie,
Idź na dół.

Kostryn wychodzi.

Dziwnie krew pachnie odemnie..
Stało się, stało; teraz nadaremnie
Żałować rzeczy. Stało się, przeminie.
Z nas wszystkich kiedyś będą takie trupy...
Świecy!... mój cały zamek za błysk świecy!

Kostryn wchodzi bez światła.

KOSTRYN.

Wszystko śpi w naszéj ceglanéj fortecy,
Nawet zagasły latarniowe słupy
Przy bramie zamku. Czy służbę rozbudzić?

BALLADYNA.

Nie budź nikogo; musiałam zabrudzić
Ręce po łokieć. Dziwną pachną wonią.

KOSTRYN.

Wzięłaś koronę?

BALLADYNA.

Nie... stój! pójdę po nią,

Ja się nie lękam... Wiem, gdzie stoi łoże.

Wychodzi Balladyna na wieżę.

KOSTRYN.

Straszna odwaga. Omal tobie, Boże,
Nie podziękuję, że mi ona kradnie
Czyn ten okropny... Chciałbym na jéj czole
Zobaczyć, jaką barwą lwica bladnie.

Balladyna wraca bez korony.

BALLADYNA.

Próżno w ciemnościach macałam po stole,
Ten stół miał jakieś rysy zimnéj twarzy.
Może to nie był stół...

KOSTRYN.

Ty stój na straży,
Ja pójdę szukać...

BALLADYNA.

Stój! nie idź... wszak ja się
Nie lękam siebie... Nawet nie żałuję...

Kostryn wychodzi na wieżę.

Ja wiem, że zwykle Lachom żal po czasie
Zawraca głowy i sen cichy truje.
Może się teraz trup czerwony snuje
Przed ludzi śpiących oczyma, a oni
Przez sen żegnają krzyżem cichą marę.
Schodzi po wschodach... jak te szczeble stare
Trzeszczą...

Do Kostryna, który wchodzi z koroną.

Znalazłeś?... ty coś trzymasz w dłoni?

KOSTRYN ponuro.

Tak.

BALLADYNA.

Daj!... Nie, nie, nie! nie zbliżaj się do mnie,
Bo będę wołać ratunku od ludzi...
Stój tam!...

KOSTRYN.

Co znaczy? mówisz nieprzytomnie.

BALLADYNA.

Stój tam, bo krzyknę, zamek się obudzi...
Stój tam, zdaleka, aż w tobie przeminie
Ta myśl. W powietrzu ją czuć... o! Kostrynie!

Chciałeś mię zabić, serce twoje biło
Głośno, jak moje bije, gdy zarzynam.

KOSTRYN.

Jeślim to myślał, na wieki przeklinam
Ów zakąt mózgu, gdzie się urodziło
Szalone dziecko.

BALLADYNA.

Chodź tam do komnaty,
A namówimy się po cichu razem,
Co jutro czynić.

Rozwidnia się trochę.

KOSTRYN.

Doniosły mi czaty,
Że Kirkor wrócił do Gniezna, żelazem
Grożąc takiemu, co by się z koroną
O tron upomniał.

BALLADYNA.

To nic, będę miała
Ludzi i miecze; a za moją stroną
Będzie ta tłuszcza ludzi omal cała
Karmiona w zamku. Kirkor nie poskromi
Złotego deszczu. — Cyt.

KOSTRYN.

Nic, to na dworze
Wróble świegocą.

BALLADYNA.

Jakto! już dzień? Boże!
Jak biała światłość... mdło mi! mdło mi! mdło mi!

KOSTRYN.

Idź, prześpij szarą godzinę poranku,
Ja sam obudzę, gdy słońce zaświeci.
Staniesz w rycerzy uzbrojonych wianku.
Jakoś to będzie — wojsko nam się skleci.
Daj klucz od skarbu, będę mierzył garcem
Przekupne złoto.

BALLADYNA.

Skończ także ze starcem,
Co mieszka w celi, a nas tylko dwoje
Będzie wiedziało.

KOSTRYN.

Ty ciężarna, troje.

BALLADYNA.

Jakto i dziecko noszone w żywocie
Będzie wiedziało. Idź! — w biednéj istocie
Nieurodzonéj taka tajemnica.
Ty się najgrawasz? jeśliby tak było,
Jak ty powiadasz; czy ja szalenica
Porodzić żywe? Lecz nie, będzie żyło,
Dziecko nic nie wie.

KOSTRYN.

Niechaj moja lwica
Spać się położy i zbudzi się świeża
Do nowych czynów, w przyłbicy rycerza.

Wychodzą.

*

Akt V.

SCENA I.

Poranek na leśnéj łące.

SKIERKA i CHOCHLIK.

SKIERKA.

Jak po burzy ranek świeży!
Byłem u matki bociana
I nakarmiłem.

CHOCHLIK.

Ja na zamku wieży
Ucztowałem u sowy. Gdzie pani Goplana?

SKIERKA.

Znów polecę po rozłogach,
Polecę łąką i borem;
Kwiatki postawię na nogach,
Rozczeszę żyto na grzędzie
Zatrzymam się nad jeziorem,
Zawołam labu! labusie!
I dwa Goplany łabędzie
Po wód błękitnym obrusie,
Przypłyną do mnie z ajeru;
Garsteczką złotego żeru
Śnieżne ptaszęta przysypię:

I znów lecę pod leszczynę,
Gdzie łania Goplany szczypie
Błyszczącą deszczem krzewinę;
I tęcze nad nią zawieszę,
I różę nad nią rozwinę;
I znowu daléj pośpieszę
Na skrzydłach babki konika.

Przypływa tuman mgły rannéj, oświecony tęczą; z pod bramy kolorów wychodzi Goplana

GOPLANA.

Chodźcie mnie uścisnąć, aniołki,
Bo Goplana na wieki wam znika.
O! zapłakane fijołki!
Róże moje, bądźcie zdrowe.

SKIERKA.

Co ty śpiewasz?

GOPLANA.

Niestety! niestety!
Piosenkę pożegnania.

SKIERKA.

Jeszcze oczerety
Nie gną się od jaskółek, jeszcze dnie wiosnowe.

GOPLANA.

Polecę w okropną krainę,
Gdzie sosny i śniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar;
Gdzie księżyc jak twarz tych mar,
Co z grobu wychodzą na cmentarz.
Anioł kar za mną popłynie,
Krzycząc mi w duszy: *pamiętasz*
O róż i malin krainie.
Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!
Poplątałam ludzkie czyny,
Tak, że Bogu mścicielowi
Trzeba wziąść grom i upuścić
Na ludzkie dzieła i winy.

SKIERKA.

My cię nie chcemy opuścić,
Goplano! Goplano! Goplano!

GOPLANA.

Puszczajcie biedną, wygnaną,
Kiedyś wam o mnie zaśpiewa
Piosenkę obca ptaszyna,
Usiadłszy na gałązce płaczącego drzewa.
Bądźcie zdrowi! moja wina,
Że wygnana w północ lecę.

CHOCHLIK.

Jeszcze ci w drodze poświecę,
Jak hajduk biegnąc z ognikiem.

GOPLANA.

Dziś długim związane szykiem
Na północ lecą żórawie,
Uczepię się tego wianka,
I w powietrzu się przepławię,
Jak biedna dziewic równianka
W błękitne rzucona fale.

SKIERKA.

O biada! o biada! o biada!

GOPLANA.

Próżne żale! próżne żale!

Pokazuje w głąb lasu.

Tam szarfa żórawi spada
Na łąki błyszczące rosą;
Gdy się żórawie podniosą,
Uchwycę się szarfy końca
I w błękit polecę blada,
Blada jak miesiąc od słońca,
Lekka jak liść, co opada.
Lecz nad mury gnieznieńskimi
Lecąc, zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi.

Wychodzi. Skierka i Chochlik lecą za nią.

SCENA II.

Pod murami Gniezna wał.

KIRKOR z dobytem mieczem, ze skrzydłami orlimi na barkach, wchodzi na czele wojska — chorągwie rozwinięte — trąby grają.

KIRKOR do Rycerzy.

Człowiek, co się o berło Lachów upomina,
Nie chciał wystąpić w szranki, jak podła gadzina

Kryje się, a zebrawszy, co mówię! ten podły
Obietnicami, złotem, zakupiwszy sobie
Mnogich stronników... rycerz z nieznanymi godły,
Walką chce tron owładać, i na moim grobie
Stanąć jako na pierwszym szczeblu królowania.
Mnodzy rycerze nasi, (niech nas Bóg ochrania
Od takiego szaleństwa i takiéj ślepoty)
Mnodzy nasi rycerze przeszli pod namioty
Jasnego oszukańca, lecz Bóg patrzy z nieba
W serca ludzkie; nam zdrajców przekupnych nie trzeba.
Skoro przybędzie Popiel, po którego w lasy
Posłałem trzech rycerzy, z orlimi hałasy
Rzucimy się na złoty obóz samozwańca.

Do rycerzy stojących na murach.

Wy, zamykajcie bramy... Niech z każdego szańca
Na pole walki patrzą mnogie samostrzały.
Gdybym ja przegrał, zginął, to jeszcze te wały
Długo bronić się mogą... Niech wam siwe głowy
Przypomną w chwile strachu, że mur południowy
Najsłabszy, że tam trzeba postawić mur ludzi.
Ale, da Bóg, że miasto jutro się obudzi
Wolne od zgrai łotrów.

RYCERZE.

Zwyciężysz, Kirkorze!

KIRKOR.

Jeśli Bóg da... ach! kiedyż ja przyłbicę złożę!
Kiedyż wrócę do żony? kiedyż ujrzę koniec
Krwawym sprawom królestwa i rozbojom.

Jeden z RYCERZY.

Goniec.

Wchodzi goniec kurzawą okryty.

KIRKOR.

We trzech wysłani w bory, nie przyprowadzacie
Pustelnika Popiela?

GONIEC.

Okropność.

KIRKOR,

Czy w chacie
Nie znaleźliście starca? mów... walka nas czeka.

GONIEC.

W celi nie było starego człowieka;
Lecz na skrzypiącéj gałęzi przed chatą
Trup jego wisiał, na grubym powrozie.
Z białymi włosy i z podartą szatą
Wicher się bawił i trupa kołysał
Jak stara mamka.

KIRKOR.

Trąbić po obozie
Hasło do walki. Los jemu dopisał,
Do śmierci gonił nieszczęściem i zabił
Nieznaną ręką. Serceś mi osłabił
Twoją powieścią, spraw się dobrze w boju...
Mówisz, że wisiał?

GONIEC.

W pustelniczym stroju
Wisiał przed chatą. Na nieszczęsném drzewie
Wrona krakała...

KIRKOR.

Idźmy! niech w powiewie
Tańczą chorągwie... idźmy! ścisnąć szyki!
Nadzieja w męstwie. Niech zaczną łuczniki!

Wychodzi z wojskiem.

SCENA III.

Namiot BALLADYNY.

KOSTRYN i BALLADYNA w zbrojach, z hełmami zapuszczonymi wchodzą na scenę.

KOSTRYN.

Zostań w namiocie, nie wychodź na pole,
Bo, jak przeczuwam, wkrótce Kirkorczycy
Walkę rozpoczną. Obóz jego w dole,
A nasz na górze jak gniazdo orlicy.

BALLADYNA.

Wiele dusz stanie za chwilę przed Bogiem.

KOSTRYN

Gdzie młócą żyto, tam plewy z omłotku
Lecą pod niebo. Stój za gumna progiem
I nie rozplątuj znów na kołowrotku

Szczero-sumiennym zaplątanych pasem
Dziwnéj przeszłości.

Wchodzi żołnierz.

ŻOŁNIERZ.

Z okropnym hałasem
Idą do boju szyki Kirkorowe.

KOSTRYN.

Królewiczątko moje, bądź mi zdrowe!

BALLADYNA.

Czy zwyciężymy?

KOSTRYN.

Siedź pani w namiocie.
Niechaj cię próżność nie prowadzi w złocie
Na oczy słońca i na łuków żądła.
Bogdajbyś cicho śpiewała i prządła
Szatę królewską, lub śmierci koszulę:
To, albo drugie, pewnie ci się przyda...
Ha! ha! z proc lecą ołowiane kule,
Patrz jak kolczate... hej, giermku, gdzie dzida
I tarcza moja?

Bierze tarczę i dzidę z rąk giermka i wychodzi.

BALLADYNA sama.

Jeżeli zwycięży,
Jak mu nagrodzę? w ziemi całéj łonie
Nie znajdę kruszcu na zalanie gardła
Temu Niemcowi. Lecz jeżeli przegra?
Jeżeli przegra, to się wszystko skończy
Chwilą okropną, wszystko się rozwiąże
Jak straszna bajka jakiéj czarownicy:
Przegrała, w piersi przebiła się nożem,
A nóż zatruty był jadem gadziny.
Gdzie ta kobieta? Obaczyłam w lesie
Babę podobną do roztrzaskanego
Piorunem dębu... kazałam potworze
Z krukami śmierci gonić za obozem
I przynieść jadu czerpanego z węży.

Stara kobieta w łachmanach wchodzi, podnosząc zasłonę namiotu.

Jesteś?

STARA.

Przyniosłam rożek ludomoru.

BALLADYNA.

Daj... i uciekaj do ciemnego boru,
Uciekaj, mówię, stara czarownico;
A spróbowawszy na kim tego jadu,
Zapłacę tobie... precz, bo cię pochwycą
Rycerze moi i na rzece spławią.

Ucieka stara kobieta,

Okropna jędza... Włos by gniazdo gadu
Wisi w postronkach a oczy się krwawią
Jak zęby wilcze, obroczone w ścierwie.
Nóż ten zatruty piersi mi rozerwie,
Jeżeli w ręce męża wpadnę żywa,
I serce moje bijące ukąsi
Jak żądło osy. Już po jednéj stronie
Jadem zmazany, okropnie poczerniał
I zarumienił się rdzą, pozieleniał;
A druga strona jeszcze niedotknięta
Śliną wężową, czysta jak tasaki
Świeżo na krętym brusie pociągnione.
Co słychać?

Wchodzi żołnierz.

ŻOŁNIERZ.

Panie! wszystko zawichrzone
Na polu walki jak w burzliwéj chmurze.

BALLADYNA.

Czy przegrywamy?

ŻOŁNIERZ.

Na szańcowéj górze,
Gdzie rosną brzozy nad źródłem, widziałem
Grafa Kirkora; otoczony wałem
Zabitych ludzi, trzyma się i siecze
Jasną siekierą.

BALLADYNA.

Z czémżeś ty, człowiecze,
Do mnie przysłany?

ŻOŁNIERZ.

Donoszę ci, książę,
Że dwiestu ludzi przekupionych wczora

Przeszło na polu z szeregów Kirkora
Na stronę naszę. Jeśli się rozwiąże
Na lewém skrzydle łuczników gromada,
Kupiona złotem, pole będzie nasze.

BALLADYNA.

Jeszcze nie przeszli! opieszała zdrada
Gorsza niż wierność... Idź w bojową kaszę
Z łyżką żelazną, jeżeli w nią wpadnie
Głowa jakiego wodza, będziesz panem...
Rozumiesz? można po za góry snadnie
Podejść — zaskoczyć na plecy — czekanem
Ciąć w łeb stalowy... Idź bić... i zabijać.

Wchodzi drugi goniec.

GONIEC.

Lewe się skrzydło zaczęło rozwijać
I pierzchać w Gniezno... Wkrótce walki koniec.
Przy nas zwycięstwo...

BALLADYNA.

Dobréj wieści goniec
Niech ma zapłatę...

Daje pieniądze.

Czy wódz wrogów wzięty?

GONIEC.

Widziałem sztandar Kirkora zatknięty
Na małym wzgórku, gdzie rosną trzy brzozy;
A trupów szaniec urósł tak wysoko
Około niego, że my, pełni zgrozy,
Ani wziąść wodza mogliśmy na oko,
Ani przestąpić umarłego wału.

BALLADYNA.

Jeżeliś pełny męstwa i zapału,
Jeśli chcesz kiesy po wierzch pełnéj srebra,
Idź na ten wzgórek; niech ci trupie żebra
Będą drabiną, postronkami włosy.
Idź i zabijaj...

Słychać okrzyki.

Co to są za głosy?

Kostryn wchodzi zbrojny i krwią pomazany.

A Kirkor?

KOSTRYN.

Zginął!

BALLADYNA, chowając nóż, zatruty po jednéj stronie

Miałam nóż gotowy...
Winnam ci życie. Naczelników głowy
Niech kat pościna! idź, wydaj rozkazy...

Kostryn wychodzi.

GŁOSY ZA NAMIOTEM.

Niech żyje wódz nasz, Fon Kostryn!

BALLADYNA.

Niech żyje
Wódz wasz Fon Kostryn!... powtarzam wyrazy
Jak głupia sroka... rzucę się na szyję
Niemca i węzłem pocałunków zduszę.

Kostryn wprowadza poselstwo ze stolicy. — Jeden z obywateli niesie na tacy złotéj chléb i sól.

KOSTRYN.

Oto poselstwo z poddanéj stolicy.

BALLADYNA.

Kazałeś wieszać?

KOSTRYN.

Pierwsi buntownicy
Już zgromadzeni pod maćkową gruszę;
A ta się cieszy, że dosiego roku
Dwa razy będzie nosiła owoce.

BALLADYNA do poselstwa miejskiego.

Czego wy chcecie?

Posłowie klękają.

POSEŁ MIEJSKI.

Aniele z obłoku!
Do ciebie serca narodu sieroce
Wznoszą się wszystkie, ty bądź kraju panem.
Stolica całém zniżona kolanem
Czeka na ciebie z otwartymi bramy.
Witaj więc! witaj, miły hospodynie!
Serca i skarby i wszystko, co mamy,
Pod nogi twoje strumieniem popłynie,
Boś już zasłużył na wdzięczność narodu
Skaraniem hersztów, którzy nas uwiedli.
Ci nas mękami, karą miecza, głodu,

W mieście trzymali; a nasze zaś serca
Ciebie szukały. Obyśmy dowiedli,
Że między nami żaden przeniewierca
Na gniew twój, wielki panie, nie zasłużył,
Obyś żył długo, obyś skarbów użył,
Obyś nieszczęsnych, przyciśnionych dolą
I tu przed sobą klęczących na prochu
Przyjął łaskawie. Chlebem cię i solą
Witamy, panie.

BALLADYNA do Kostryna.

Czy z tego motłochu
Żaden przeciwko mnie nie nosił broni?

Kostryn, wskazując.

Pan burmistrz „Kuryer“ i „Pismo“.

BALLADYNA.

Powieście
Obu rycerzy burmistrzów na dzwonie
Wieży zamkowéj.

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Panie! w twojém łonie
Kamienne serce.

BALLADYNA.

To wreszcie, to wreszcie
Na wasze prośby ułaskawiam obu.
Wybić im zęby i wyłamać szczęki,
Niechaj nie walczą.

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Więc nie ma sposobu
Ubłagać ciebie przez łzy ani jęki,
Żelazny panie nasz.

BALLADYNA.

Jestem kobietą.

Widząc, że się cofają z przerażeniem.

Cóż to? cofnęli się jak od zarazy,
I znów jak wiatrem kołysane żyto
Biją głowami?

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Na twoje rozkazy
Czekamy, pani, panuj z ludu wolą.

BALLADYNA.

Bez ludu woli... Dajcie mi chleb z solą.
Posłowie, ufam drożdżom tego ciasta.
Chodź tu, Kostrynie. Winnam ci tak wiele,
Że ci połowa zdobytego miasta,
Połowa kraju i chleba połowa
Słusznie należy...

Wyjmuje nóż zatruty po jednéj stronie i rozcina na dwoje chleb.

Wszystkiém się podzielę...
A serce weźmiesz całe.

KOSTRYN, klękając.

O! królowa!

BALLADYNA, kosztując chleb, widzi, że Kostryn je podaną sobie połowę.

Czyń, co ja czynię. Nie lękam się jadu
W chlebie poddanych. Choćby zamiast żyta
Użyli łusek żelaznego gadu,
Smaczną ci będzie żelazem zdobyta
Bułka... Jedz, proszę... trzeba ludziom wierzyć.
A teraz każcie z tryumfem uderzyć
W trąby zwycięskie. Idźmy, wojownicy,
Do otworzonéj żelazem stolicy.

Wychodzi oparta na Kostrynie, za nią posłowie i lud.

SCENA IV.

Sala królewska w Gnieznie. — Tron w głębi. — Kanclerz u stóp tronu. — Panowie państwa. — Wawel, dziejopis. — Paź. — Dwór.

KANCLERZ.

Wszystko gotowe na przyjęcie pana.
Zasiądźcie teraz ławy po urzędzie,
Przy samym tronie wodzowie i sędzie,
Szafarze zboża, dolewacze dzbana.
Niech wszystkich razem nowy król powita.

Wchodzi goniec.

GONIEC.

Świetny urzędzie, wieść przynoszę ważną,
Nasz król, pan nowy: kobiéta.

KANCLERZ.

Kobiéta?

WSZYSCY.

Królem kobiéta!

KANCLERZ.

Niech będzie odważną
Jak była Wanda, niech tak dobrą będzie,
Ale szczęśliwszą.

Goniec drugi wchodzi.

GONIEC.

Prześwietny urzędzie!
Królowa weszła już do bram stolicy.

KANCLERZ.

Każcie, niech wszystkie serca na dzwonicy
Biją dzień cały, tak jak serca ludu.

PIERWSZY Z PANÓW.

Wieszczbiarz nie może wytłómaczyć cudu,
Co się ukazał dzisiaj narodowi.
Lud niespokojny.

KANCLERZ.

Co za cud?

PIERWSZY Z PANÓW.

Nad opis.
Jeżeli chcecie, to go wam opowie
I w księgi wpisze szlachetny dziejopis
Królów na Gnieźnie.

KANCLERZ.

Przemądry Wawelu,
Czy sam widziałeś?

WAWEL.

Co widziało wielu,
Mogę poświadczyć, jak świadek naoczny.
Dnia tego, ranek był po stronach mroczny,
Lecz się wyjaśnił ku wschodowi słońca.
Więc jak widziałem prawie sam... od końca
Niebios, skąd błyszczy gwiazda Oriona,
Wyleciał, lecąc, sznur żórawi biały,
A na nim, wisząc za śnieżne ramiona,
Mglista niewiasta.

KANCLERZ.

I wszystko widziały
Twe własne oczy, przemądry Wawelu?

WAWEL.

Nie ja widziałem, lecz widziało wielu;
Mogę przyświadczyć na rzecz z mego czasu.

PAŹ.

Ja sam widziałem z goplańskiego lasu
Za żórawiami lecącą dziewczynę.
Ta na ostatnią orszaku ptaszynę
Padając, białe zawiązała rączki
Za szyję ptaka; a głową do ziemi
Sypała włosów rozwite obrączki,
Jasne jak słońce, i tak na warkoczu,
Gdy promieniami rozwiał się złotymi,
Leżała, płynąc.

KANCLERZ.

Trzeba dziecka oczu,
Aby na szmatach niebieskiego płótna
Obraz widziały.

Ściemnia się jak przed burzą.

PIERWSZY Z PANÓW.

Co to? ciemność smutna
Na tron upadła i nam na oblicza,
Jak zaćmionego słońca tajemnicza
Zieloność; bladzi staniemy przed panią.

KILKU.

Okropna ciemność.

Wchodzi strażnik z wieży.

STRAŻNIK.

Nad blaszaną banią
Królewskich zamków, skąd w niebo wytryska
Igła złocona, okropne chmurzyska
W koło się czarnym owinęły wiankiem,
I coraz grubsze już wiszą nad gankiem,
Gdzie ustawiona muzyka królewska.
A cała nieba równina niebieska,
Jakby się z jednéj urągała chmury.

KANCLERZ.

Bijcie we dzwony.

STRAŻNIK.

Łono ma z purpury
Ognistéj...

KANCLERZ.

Deszczu potrzeba, niech pada.

STRAŻNIK.

Na czarnym wozie jakaś jędza blada

Stu żórawiami wywieziona z piekła,
Wężami stado wędrujące siekła
I kierowała nad zamek do chmury.
Siedzi w mgle teraz, ale jęk ponury
Piekielnych ptaków z mgły się wydobywa.
Słyszycie?

Słychać jęk z wieży.

KANCLERZ.

Prawda, jakiś jęk nieznany!

PANOWIE zrywając się z ław.

Okropność!

KANCLERZ.

Niech się żaden z ław nie zrywa.
A ty, strażniku, musiałeś być pjany
I sam stworzyłeś wieść o czarownicy.

STRAŻNIK.

Ja sam widziałem i lud z okolicy
I lud gnieznieński.

OKRZYKI za sceną.

Niech żyje królowa!

Balladyna wchodzi w królewskim ubiorze, w koronie. Kostryn w zbroi. Lud.

KANCLERZ.

Pani, niech będzie poświęconą głowa,
Co nam przynosi koronę Popielów.
Witaj i panuj tak mądrze i szczodrze,
Ażebyś z Bogiem do najświętszych celów
Lud prowadziła. Przewiąż się na biodrze
Szatą czystości, czoło wznieś do nieba.
Daj łaskę winnym, daj łaknącym chleba
A wszystkim niechaj rządzi sprawiedliwość.

BALLADYNA z tronu

Cóż mam uczynić?

KANCLERZ.

Praw naszych gorliwość
O dobro ludu stanowi oddawna.
Że król, nim siądzie do pierwszego stołu,
Nim da spoczynek strudzonemu czołu,
Które uciska w dzień korona sławna,
Wprzódy na ławie sądowniczéj siada
I rozwiązuje kryminalne sprawy.

BALLADYNA.

Niech się tak stanie, jak wasze ustawy
Każą...

Kostryn chwieje się i pada.

PIERWSZY Z PANÓW.

Co to jest! wódz blednie i pada?

BALLADYNA przystępując do leżącego Kostryna.

Co to się znaczy... słabo ci?

KOSTRYN.

Umieram.

BALLADYNA.

Panie mój! drogi!

KOSTRYN.

Precz! jędzo trująca!
Zrzućcie ją z tronu, ja pierwszy otwieram
Grobowiec ciemny dla ludzi tysiąca,
Co będą żyli pod nią.

BALLADYNA.

On w malignie.
Wynieść go! wynieść! ciało jego stygnie...
Niech lekarz jaki uzdrowi go, za to
Połową kraju zapłacę.

LEKARZ.

Już skonał.

Wynoszą ciało Kostryna, lekarz idzie za nim.

KANCLERZ.

Pani, okropną zasmucona stratą,
Znoś ją cierpliwie. Bóg ciebie przekonał
Na samym wstępie u złotego tronu,
Że przy tych szczeblach stoi widmo zgonu
I czeka na nas.

BALLADYNA do siebie.

Już przeszłość zamknięta
W grobach. Ja sama panią tajemnicy.

Głośno.

Każcie wojennym brańcom rozkuć pęta,
Zastawić stoły na rynkach stolicy
I dawać co dnia dla żebraków strawę.

KANCLERZ.

Wdzięczność i sława tobie.

BALLADYNA.

Ja o sławę
Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu,
Będę, czém dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą. Życie pełne trudu
Na dwie połowy przecięła korona.
Przeszłość odpadła jak od płytkiéj stali,
Którą po stronie jednéj ośliniła
Żmija — połowa jabłka leci zgniła
I czarna jadem. Wyście mnie nie znali
Taką jak byłam, niech więc lud nie śledzi
Przeszłości mojéj. Wiecie, com wyznała,
A resztę wyznam księdzu na spowiedzi.
Ha! jeszcze jedno — poszukajcie ciała
Grafa Kirkora między gęste trupy.
I na ten wzgórek, gdzie już tylko słupy
Brzóz obrąbanych mieczami się bielą,
Zanieście mary z jedwabną pościelą;
Na téj pościeli przyniesiecie śpiące
Zwłoki Kirkora... Niech ludu tysiące
Płacze przy marach tego, co z orężem
Poległ mym wrogiem... a był moim mężem;
Zaprawdę mówię, ja po Grafie wdowa.
Lecz niech nie roi bajek tłum gawiedzi,
Co miała wyznać, wyznała królowa,
A resztę powie księdzu na spowiedzi.
Teraz, kanclerzu, wywołaj przedemnie
Zbrodniów — na pierwszém siedzę trybunale.
Jeśli fałsz wydam, niechaj będzie ze mnie
Gniazdo robaków! niech się ogniem spalę!
Ani mię ujmie dobroć ani trwoga,
Ani odwiodą ludzie, ani czarty.
Przysięgam sobie saméj, w oczach Boga,
Być sprawiedliwą.

KANCLERZ.

Woźni!

WOŹNI.

Sąd otwarty.

KANCLERZ.

Oto jest księga praw, oto Zbawiciel

Na suchém drewnie krzyża rozpostarty.
Ucałuj księgę i krzyż.

WOŹNY.

Oskarżyciel.

Staje lekarz zamkowy.

KANCLERZ.

Ktoś jest?

LEKARZ.

Królewski lekarz.

KANCLERZ.

O co sprawa?

LEKARZ.

O jado-trucie.

KANCLERZ.

Na kim?

LEKARZ.

Na Kostrynie.
Twój wódz, o pani można i łaskawa,
Otruty skonał; wielki rycerz ginie
Od jadu, co się zowie ludomorem.
Na jego ciele żelaznym kolorem
Wyszło tysiące plam; skonał otruty.

KANCLERZ.

Kogoż posądzasz?

LEKARZ.

Niech sąd szuka winnych.

BALLADYNA.

Zbrodniarz nieznany? odłożyć do innych
Sądów tę sprawę. Niech ma czas pokuty.

KANCLERZ.

Zwyczajem kraju jest, mościa królowo,
Wydawać wyrok, choćby nad nieznanym,
I zawieszony miecz trzymać nad głową
Tajnego zbrodnia, aż będzie schwytanym
I da nam gardło.

BALLADYNA.

Są jednak zbrodniarze
Wyżsi nad wyrok, święci jak ołtarze,
Niedosiągnieni...

KANCLERZ.

Takich Bóg ukarze.
Do ciebie ziemski wyrok dać należy,
Szczero sumienny.

BALLADYNA.

Cóż wyrzekły prawa?

KANCLERZ.

Jeżeli który z szlachty i z rycerzy
Trucizną gorżką na życie nastawa
Równego sobie i dopełni czynu,
To kara miecza. Jeśli zaś kto z gminu
Otrucie spełni...

BALLADYNA.

Dosyć!...

KANCLERZ.

Sądź, Królowo.
Niechaj u ciebie mniéj waży praw słowo,
Niż głos sumienia.

BALLADYNA.

Skończmy! Otrawiciel
Winien jest śmierci.

KANCLERZ.

Na zamkowym progu
Otrąbić wyrok. A jeżeli mściciel
Kat nie wypełni, zostawiamy Bogu!

Słychać trąby.

Niech teraz stanie drugi oskarżyciel.

Wchodzi Filon z nożem i z dzbankiem malin, ubrany w kwiaty.

Kto jesteś?

FILON.

Cień tego, czém byłem. O! smutki!
Wyście mi pamięć odjęły na wieki,
Dręcząc pamięcią. Jako niezabudki,
Trącane ciągle od płynącéj rzeki,
Znajdują radość w ciągłém kołysaniu
Błękitnéj fali, tak ja, bity falą
Płynących smutków, we łzach i w niespaniu
Ulgę znajduję.

KANCLERZ.

Prawodawczą szalą

Nie można ważyć tego człeka mowy.
Tłómacz się jaśniéj.

FILON.

Oto malinowy
Dzbanek, a oto nóż... A te maliny
Były pod głową zabitéj dziewczyny,
Nóż był w jéj piersiach. Niechaj z tego dzbanka
Wypłynie nowy Eurotas płaczu,
Niech zaprowadzi smutnego kochanka
Falą przejrzystą do kochanki grobu,
A ja mu powiem: strumyku tułaczu,
Dzięki ci wieczne, w grobie dla nas obu
Będzie spoczynek i cichości morze.
Przebacz, Apollo! promienisty Boże!
Że łzy przyszedłem przed ludźmi wylewać
I smutek z nimi łamać jako chleby.
Przychodzę ludziom smutną pieśń wyśpiewać,
Przyszedłem, jako Orfeusz w Ereby,
Prosić Plutona, by mi wrócił żonę.
Słuchajcie! ona żoną moją była,
Żoną méj duszy; dziś jedna mogiła
Zamyka białe ciało, zakrwawione
Tym nożem... patrzcie! Oto na tym dzbanku
Znalazłem martwą, o wiosny poranku,
Zabitą nożem.

KANCLERZ.

W téj zawiłéj skardze
Czuć zbrodni zapach.

BALLADYNA.

Kanclerzu, ja gardzę
Szalonych ludzi zaskarżeniem.

KANCLERZ.

Pani!
Sąd winien śledzić do ostatka, ani
Pogardzać smutnym psa na kogo wyciem.
Więc-że, pasterzu, rozstała się z życiem
Twoja małżonka? i znalazłeś ciało
Nożem przebite? Kiedy się to stało?

FILON.

Trzy razy księżyc i gwiazdy pobladły
Przed Apollinem.

KANCLERZ.

Mów, na kogo padły
Twe podejrzenia o zabójstwo krwawe?

FILON.

Ach! Parki! Parki! Parki niełaskawe
Przecięły srebrną nitkę jéj żywota;
Może też z nieba jaka gwiazda złota
Pozazdrościła méj kochance blasku
W oczach, i oczom zawrzeć się kazała.

KANCLERZ.

Gdzież ją znalazłeś?

FILON.

W dumającym lasku,
Pod cieniem wierzby rozpłakanéj, spała
Snem nieprzespanym.

KANCLERZ.

Zawikłana sprawa.
Wydaj, królowo, wyrok na nieznanych,
Radź się sumienia.

BALLADYNA.

A jak sądzą prawa?

KANCLERZ.

Za śmierć chcą śmierci.

BALLADYNA.

Z tych pozabijanych
Nie będziem mieli prochu ani ćwierci.

KANCLERZ.

Wydaj sumienny sąd.

BALLADYNA.

Winna jest śmierci.

KANCLERZ.

Winna... Więc sądzisz, że zbrodniarz niewiasta?

BALLADYNA.

Sądzę, jak sądzę...

KANCLERZ.

Niech ludowi miasta
Otrąbią wyrok na zamkowym progu.
Katowi zemsta należy lub... Bogu.

Trąby.

Niech teraz stanie oskarżyciel trzeci.

Wchodzi ślepa Wdowa, matka Balladyny.

Ktoś ty jest?

WDOWA.

Wdowa.

KANCLERZ.

Na kogo?

WDOWA.

Na dzieci
Skargę zanoszę... Mówią, że królowa
Piękna jak anioł, niechaj ona sądzi...
Miałam dwie córki stara, biedna wdowa,
Żywiłam obie. Jak to często błądzi
Człowiek na ziemi, czekając pociechy...
Młodsza uciekła z pod matczynéj strzechy,
Niedobre dziecko. Lecz druga... o Boże!
Królowo moja, ty jak anioł biała,
Sądźże ty sama!... Druga poszła w łoże
Wielkiego Grafa: bogdajbym skonała,
Jeśli ja kłamię; Graf ją wziął za żonę.
Królowo moja, bogdaj ci koronę
Bóg wiecznie trzymał na téj mądréj główce,
Osądź!... W téj drugiéj córce jak w makówce
Było rozumu, Graf ją kochał bardzo,
Ale ja matka kochałam jak matka!
Aż tu w jéj zamku już służalce gardzą
Biedną staruszką; cierpię do ostatka
Wzgardę służalców, grób był dla mnie blisko;
Aż tu mnie jednéj nocy to córczysko
W obliczu ludzi zaparło się głośno...
A! córko, mówię, bądź że ty litośną
Dla staréj matki, co już bliska trumny.
Była noc straszna i deszcz i pioruny,
Pioruny i deszcz i ciemno i burza.
Córka kazała wypędzić z podwórza
Mnie, starą matkę, na wichry i deszcze,
W noc i w pioruny i w burzę i jeszcze
Głodną kazała... Niech jéj pan Bóg stwórca
Przebaczy!,.. głodną wypędzić z podwórca,
Do lasu... Wiatr mię poniósł za łachmany,

Piorun wypalił oczy. O! różany
Mój królu! złoty mój panie! litości!

KANCLERZ.

Pani, ty milczysz? Takiéj nieprawości
Mszczą się okropnie nasze mądre prawa.

BALLADYNA.

Przecięż nie śmiercią.

KANCLERZ.

Lechitów ustawa
Śmierć przepisuje na niewdzięczne dzieci.
Niechaj cię księga naszych praw oświeci,
Czytaj... i czytaj we własném sumieniu.
A ty, staruszko, nazwij po imieniu
Wyrodną córkę a kat ją ukarze,
Chociażby z pierwszym Grafem państwa w parze
Los ją powiązał... Powiedz Grafa miano
I córki imię, a prawa dostaną
Przez mury zamku jéj serca i głowy.

WDOWA.

Co? śmierć na córkę?... Panie, bądź mi zdrowy.
Żegnaj, królowo, ja wracam do boru,
Będę żyć rosą...

KANCLERZ.

Podług ustaw toru,
Kto zaniósł skargę, odstąpić nie może.
Wyznaj...

WDOWA.

Nie! nie! nie!

KANCLERZ.

Wziąść na tortur łoże,
I wszystkie stawy jéj w żelazne kleszcze.
Cóż? wyznaj, stara...

WDOWA.

Nie, panie.

KANCLERZ.

Raz jeszcze
Pytam się ciebie o imię złéj córy.

WDOWA.

Ona niewinna.

KANCLERZ.

Wziąść ją na tortury.

WDOWA, wydzierając się straży.

Królowo moja, zlituj się! ja stara!
Jabym być mogła matką twoją... Boże!
Ty nic nie mówisz? Nic?... To jakaś mara
Straszna na tronie. Więc ja się położę
Na tych żelazach i skonam, a w niebie
Bóg wam odpuści.

KANCLERZ.

Wygadasz w boleści.

WDOWA.

Panie! jasny panie! i u ciebie
Żelazne serce...

Odchodzi ze strażą.

KANCLERZ.

Praw się trzymam treści.
A za to niech mię wielki Bóg obwini,
Lub uniewinni... A ty, monarchini,
Wiedz, że mam serce pełne łez, goryczy
I przerażenia.

Słychać jęk.

Co to jest?

ŻOŁNIERZ.

To krzyczy
Stara kobieta.

KANCLERZ.

I nic nie wydała?

ŻOŁNIERZ.

Nic...

KANCLERZ.

Poczekajmy.

BALLADYNA.

Z mego teraz ciała
Kat zrobił sercu torturę... rozciąga...
Wody!...

Podają pić.

ŻOŁNIERZ.

Już zdjęta z żelaznego drąga.

BALLADYNA.

Już!... powiedziała co w bolach?

ŻOŁNIERZ.

Umarła.

BALLADYNA.

Umarła, mówisz?

ŻOŁNIERZ.

Jak ją kat położył
Na tortur kleszczach, to oczy zawarła;
A patrząc na nią, ktoby się pobożył,
Że to kościany Chrystus był bez ducha.
Każda kosteczka wywiędła i sucha
Przez rozciągniętą skórę wyglądała,
Prosząc o litość...

KANCLERZ.

I nic nie wydała?

ŻOŁNIERZ.

Umarła cicho... A na suchéj twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana,
I w obu dołkach stoją łzy.

BALLADYNA.

Od rana
Siedzę na sądach, a żaden z nędzarzy
Tak nie pracuje długo i tak znojnie.
Już noc, panowie.

KANCLERZ.

Nie, to czarna chmura
Wisi nad zamkiem. Poradź się spokojnie
Twego sumienia, czego warta córa,
Dla któréj matka taką śmiercią kona?

BALLADYNA.

Wy ją osądźcie.

KANCLERZ.

Niech twoja korona
Przybierze blasku sądem sprawiedliwym.
Ona zaprawdę winna ogniem żywym
Być obrócona na węgiel piekielny.
Osądź ją...

WSZYSCY.

Osądź!

KANCLERZ.

Jak Bóg nieśmiertelny,
Winna jest sądu.

WSZYSCY.

Pociąć ją na ćwierci.

KANCLERZ.

Radź się sumienia i sądź.

BALLADYNA po długiém milczeniu.

Winna śmierci!

Piorun spada i zabija królową. — Wszyscy przerażeni.

KANCLERZ.

Król-kobieta piorunem boskim zastrzelony,
Zamiast w koronacyjne, bić w pogrzebu dzwony.

*

EPILOG.

*

PUBLICZNOŚĆ, wywołując.

Dziejopis, Wawel! Wawel, narodu dziejopis.

Wawel wychodzi, kłaniając się.

WAWEL.

Prześwietna publiczności, oto mój skoropis
Zaczął rzecz wydarzoną wpisywać do kronik.
Przerwaliście mi pracę.

PUBLICZNOŚĆ.

Czyjże jesteś stronnik?

WAWEL.

Jestem sędzia bezstronny i naoczny świadek.

PUBLICZNOŚĆ.

Jakżeś ty piorunowy opisał przypadek?
Powiedz! myśmy widzieli rzecz całą do końca.

WAWEL.

Z ziarnka piasku dojść można do obrotu słońca,
Zaciekając się w rzeczy wydarzonéj jądrze.
Królowa jak Salomon panowała mądrze,
Więc musiała być mądrą, przy mądrości cnota.

PUBLICZNOŚĆ.

Panie Wawel, za prędka twych sądów szczodrota.
Było za kulisami stać od pierwszéj sceny.

WAWEL

Komponowałem wtenczas nad Popielem treny.

PUBLICZNOŚĆ.

Cóż o rodzie królowéj?

WAWEL.

Z historycznych szczytów
Patrząc, ród jéj prowadzę z kraju Obotrytów,
Którzy mięsa nie jedzą. Choć jeden uczonek
Mieni, że pochodziła z kraju amazonek;
Ale ja mu zarzucam fałsz w kroniki nocie
I dowodzę dowodem i topię go w błocie.
Obaczycie go piórem zabitego w trunie.

PUBLICZNOŚĆ.

Cóż powiadasz na piorun?

WAWEL.

Sądzę o piorunie,
Że kiedy burza bije, trzeba bić we dzwony,
Że gałązka laurowa lepsza od korony,
Bo w laur piorun nie bije, ani głowie szkodzi.

PUBLICZNOŚĆ.

Czy jesteś tego pewny?

WAWEL.

Ten, co w laurach chodzi,
Autor niniejszéj sztuki, słusznie wam opowie,
Że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie,
Piorun weń nie uderzył.

PUBLICZNOŚĆ.

Pochlebiasz, mój łysy,
I królom i poetom.. Idź precz za kulisy!

1834.

*

LILLA WENEDA

TRAGEDYA

W PIĘCIU AKTACH.

Osoby.

LECH.
GWINONA, żona Lecha.
LECHON, KRAK, ARFON } Synowie Lecha.
DERWID, król Wenedów.
LILLA WENEDA, RÓŻA WENEDA } Córki Derwida.
POLELUM, LELUM } Synowie Derwida.
SYGOŃ, GRYF } LECHICI.
ŚWIĘTY GWALBERT.
ŚLAZ, jego sługa.
DWUNASTUHARFIARZY, DWUNASTUWODZÓW } Wenedzi.
Orszak dziewic Gwinony. — Rycerze Lechici.

Z czasów bajecznych. — Blisko Gopła.

DO AUTORA

IRYDYONA.

LIST II.

Kochany Endymionie poezyi, drzemiący w cieniu gajów laurowych, z lekkością i ciszą letniéj błyskawicy przedzieram się przez czarne liście drzew nieśmiertelnych i trzema błyskami budzę ciebie ze snów nieśpokojnych. Wstań! wstań, mój Endymionie, tajemniczéj Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazyi, zielony sosnami teatr; bo oto dla ciebie jedynie, mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchów aktorów i rozłożyłem na leśnéj murawie biegającego po świecie kolportera małe bogactwo. Odeślij mnie z nowym zarobkiem przyjaźni, ze łzą, jeżeli można, z pochwałą, jeżeli można, a będę spokojny na wieczność.

Obudź się! obudź, rzymski, w złotéj zbroi, z ognistym pancerzem, rycerzu! Nowe mary stoją przed tobą: oto jest wzgórze okryte zieloną murawą, na wzgórzu stoi dwanaście druidycznych kamieni i trzynasty tron z omszonego granitu; oto wzgórze ukoronowane wieńcem dwunastu biało-włosych harfiarzy, zewsząd jakby morzem czerwonego połysku oblane... to straszne wzgórza zwierciadło — to krew narodu. Śpiew dwunastu harf rozlega się nad ludem umarłych i wbiega w puste, szumiące lasy sosnowe, wołać nowych na zemstę rycerzy. Czy ci nie smutno?

Oto jest rycerz z dwojgiem serc, z mieczem jedynym, z Tella, z Kastora i z Polluxa złożony; rycerz, którego je-

dna połowa jest tarczą, a druga śmierci żelazem — wódz mający dwie dusze i dwa ciała; nieszczęście narodu; przeznaczenie dowodzące potępionemu przez Boga ludowi... Wódz z dwojakiém i nie śmieszném już więcéj nazwiskiem: oto stoi na stosie ostatecznym jako posąg przyszłości. Czy go widzisz?

Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jednym strasznym i mściwym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich, kruszy je pod swymi nogami. Eumenida eschylowska krzycząca: zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo. Czy się nie wzdrygasz?

Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych i zamieszkał w czaszce olbrzyma, a przyjazne jemu ślimaki przylazły i śliną kryształową zalepiły czaszki już pustéj źrenice, powoje owinęły ją dokoła. Oto we wnętrzu groty kościanéj i ludzkiéj, krzyż stoi, lampa się pali i błyszczy obraz rafaelowski Boga Rodzicy. Widzisz, jak dno złote obrazu pięknie jaśnieje w ciemnościach pustego czerepu? słyszysz, jak szemrze modlitwa? Lecz — o! biada, o! losy... słowo świętego starca, miecz Rolandowy wyprzedził i jeszcze lud jeden kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę. Cóż, mój Galilejczyku?

Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnéj ręki i molierowskiéj w domostwie słabości; kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowéj walki siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. — Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje... bez jutra.

Oto nareszcie jest twarda dziewka skandynawska; oto mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa w osobie Ślaza. Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki, za które autor sam gada; a czasem szczebioce Alfierego językiem. Na cóż to wszystko?

Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszły same; przyprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda; a ja ujrzawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytych, usłyszawszy głosy zmięszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jednę z harf we-

nedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posągowym nieszczęściom należy.

Ile razy więc, zwyczajem teraźniejszych poetów, chciałem zacząć kwilącą serca dyssekcyą, lub melancholizowaniem sztucznem obrazów prostą legendę okrasić, tyle razy mary zjawione krzyczały z krajów przeszłości: „serca nasze były zdrowe i ciała, w mowie naszéj nie było niespodziewanych *concetti*. Choć córki królewskie, nie wzdychałyśmy do księżyca, choć synowie królewscy, pędziliśmy woły na paszę. Ossyan usłyszał naszego zgonu historyą, lecz nie znalazł w niéj dosyć chmur księżycowych, duchów, sarn, błyskawic i wiatru wzdychającego po mogiłach, ani więc ruszył harfy na omszonym dębie wiszącéj, ale odpędził nas w mgłę niepamięci rozpaczne. Lecz ty, mówiły daléj mary, któregośmy widziały w ciemnym Agamemnona grobowcu, ty, jadący niegdyś brzegami laurowego potoku, gdzie Elektra królewna płótno bieliła matczyne, mów o nas prosto i z krzykiem.“

Tak namówiony, wziąłem pół posągową formę Eurypidesa tragedyi i rzuciłem w nią wypadki wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli Bóg mi pozwoli, to na téj nieco marmurowéj podstawie, oprę szersze, bardziéj tęczowe, lecz mniéj fantastyczne niż Balladyna tragedye; tylko ty, Irydyonie, nie opuszczaj mnie śród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu; sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jednę taką postać jak nimfa uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów. dotknięte słońca promykiem; jednę taką postać jak nimfa uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma. Teraz widzę, że innych widm, innych kołorów, innych potrzeba obrazów. Nie schodzę jednak z mojéj drogi; a że

jest pustą i szeroką, to przypomina mi złote pustynie Suez, na których tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował. Jest to wreszcie dla mnie droga konieczna; ile razy bowiem zetknę się z rzeczywistymi rzeczami, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć; albo gniewny, jak w owém wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni śpiewany przez poetę. Na Odyna! niech wrzeszczą samochwalce, a ja z drgającymi ustami wracam pod skrzydła twoje ochłonąć.

A teraz, słyszę, że mnie pytasz, skąd się w mojéj myśli biała postać Lilli Wenedy zjawiła... posłuchaj. Przed pięciu laty mieszkałem nad jeziorem Szwajcaryi, blisko miasteczka Villeneuve, dawnego Avencium. Miasteczko to, położone na zielonéj równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy, czarowało mię swoją wiejską i spokojną pięknością; na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane, uśmiecha się wiosenną zielenią z pod czarnych gór, które, podobne rzymskiemu legionowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozprószyć... Co? kilka małych domków, biało odbitych w jeziorze, mały kościołek z piramidalną wieżyczką i rzęd ciemnych drzew kasztanowych, które jesienią owieszone mnóstwem chłopiąt, tłukących z koron owoce, rumienią się hożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych mnóstwem owoców spłonione. Takiém jest dzisiaj to miasteczko; lecz niegdyś, przed wiekami, na tém samém miejscu odbywała się okropna jakaś ofiara: musiało być poświęcenie się, rozpacz, szczęk broni, miecz katowski ucinający głowę starca i słowo: S. P. Q. R. błyszczące na rzymskich chorągwiach. Czas wszystko uciszył. Z całéj owéj historyi został tylko jeden grobowiec z następującym napisem:

JULIA ALPINULA
TU LEŻĘ.
NIESZCZĘŚLIWEGO OJCA NIESZCZĘŚLIWA CÓRKA,
BOGÓW AVENTYŃSKICH KAPŁANKA.
WYPROSIĆ OJCA OD ŚMIERCI NIE MOGŁAM.
NIESZCZĘŚLIWIE UMRZEĆ W LOSACH JEGO BYŁO.
ŻYŁAM LAT XXIII.

Mój Irydyonie, ta młoda dziewica, ta czysta kapłanka, co żyła tylko lat 23, skarżąca się tak cicho a tak przeraźliwie z przeszłości, ona to zamieniła się w Lillę Wenedę; chciałem kwiat łączny przenieść do Polski: niosłem go ze świętém uczuciem, aby nie strącić zeń rosy, listka nie ułamać. Ta mara srebrnéj białości, która na dziwnéj zieleni łąk szwajcarskich, na odłamie skały stawała przedemną, teraz zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia się historyą; cicha, czysta, biała i spokojna ale głęboko w serce nawet przez ojca własnego raniona.

Dawniéj jeszcze, jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilij wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu; między chłopami a nenufarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba; łodygi te bowiem rdzeń mają słodką, gąbczastą, która za pokarm służyć może. Co z tego pińskiego wspomnienia do tragedyi wniknęło, zobaczysz.

A teraz, kiedym ci się wyspowiadał, usiądź na ułamku jakiéj dawnéj ruiny, albo pod cieniem Wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy; usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamyślona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest, oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać cię losu listków o los człowieka; a zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojéj większym blaskiem odzianą i piękniejszą sto razy, i niech ta postać do nas obojgu należy, niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie. A tych dwóch wodzów! czy ty myślisz, Irydonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś, i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie.

Paryż, dnia 2 kwietnia 1840 r.

PROLOG.

*

Obszerna grota wróżki wykopana w ziemi; w ścianach okrągłe dziury, przez które widać rozległe pola i daleki krajobraz — światło zachodzącego słońca
RÓŻA WENEDA i LILLA WENEDA.

LILLA WENEDA.

O! siostro moja, jak ty zadumana!
Idź, spójrz na walkę, zaczaruj zwycięstwo.

RÓŻA WENEDA.

Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki...
Widzę umarłą...
I ty umarła... ja ci zamknę powieki,
Zimnego piasku w usta nasypię a w gardło
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj... na tamten świat... o! nieszczęśliwa!

LILLA WENEDA.

Mówisz i wicher się zrywa
I płacze nademną biedną.
Więc ja mam umrzeć? o! Boże!

RÓŻA WENEDA.

Cicho! czy Bóg ciebie jedną
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?
Tam krew nasza i krew wroga
Zrobiła strumień i łoże
I Gopło zaczerwieniła.

Będziesz ty jak płaczka wyła
Nad sobą, gdy rycerze konają?

Słychać dźwięk harfy.

O! cyt, harfy nasze grają.
Słyszysz ich głosy ponure,
Płaczące i rozstrojone?
Harfiarze wchodzą na górę...
Wszystko stracone!

LILLA WENEDA.

Za harfiarzami tu wejdą rycerze
I nas zabiją i wytną harfiarzy.

RÓŻA WENEDA.

Co? a z chmurami przymierze?
A piorun posępny, złoty,
Co stoi jakby na straży
U wejścia groty?
Co? a szatański mój głos,
Podobny zimnym sztyletom?
A zmartwychwstanie dane przezemnie szkieletom!
A mój smutek! a mój los!
I ty nie ufasz w tę straż?
I ty się lękasz, o krasna.

LILLA WENEDA.

Ty mówisz, lecz twoja twarz
Jak księżyc smutna choć jasna,
Jak księżyc, umarłych słońce.
Gdzie nasi bracia obrońce,
Czy wiesz, co z nimi się stało?

RÓŻA WENEDA.

Wnętrze groty zajęczało,
Słyszałaś odpowiedź skał. —
Wyjdź i wprowadź harfiarzy, ja ogień rozpalę.

Wchodzi dwunastu starców ze złotymi harfami.

Proszę was, przy ciemnéj skale
Postawcie te harfy rzędem,
I powiedzcie, co stało się z Wenedów ludem.

LILLA WENEDA.

Czy mój ojciec i bracia moi jakim cudem
Wyrwali się od śmierci?

HARFIARZ.

Starce, z takim pędem
Szliśmy na górę, że nam w piersiach głos zamiera.

LILLA WENEDA.

O! wy nie chcecie mówić.

HARFIARZ

Niestety! Niestety!

LILLA WENEDA.

O! bracia moi! O! mój drogi ojcze, gdzie ty?
Ci ludzie milczą... mój ojciec umiera!
O! wy nie macie litości.

HARFIARZ.

Jak żądasz,
Abyśmy z trwogi już przyszli do siebie?

LILLA WENEDA.

Starcze! ty na mnie, starcze, tak spoglądasz
Jak na sierotę.

HARFIARZ.

Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty... O! biada nam, biada!
Twój ojciec wzięty; rycerzy gromada
Otoczyła go z harfą jego złotą.
Widzieliśmy to i, bladzi zgryzotą,
Rwaliśmy włosy... Bracia twoi wzięci.

LILLA WENEDA.

Więc nie umarli?... o! mówcie mi jeszcze!...
Więc nie umarli?...

RÓŻA WENEDA.

Nie, ale przeklęci!

LILLA WENEDA.

O! nie mów tego! o! nie mów, przez litość!
Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O! błogosław ty mi, siostro moja,
Ty smutna, byłaś mi wesołéj matką.
I wy mi, starzy ludzie, błogosławcie,
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach.

O! bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie;
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały jak ja, swą mnie siostrą mniema;
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżéj lata;
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą...
A wtenczas płaczcie wy biednéj dziewczyny.

Wychodzi.

RÓŻA WENEDA.

Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...
Cóż wy myślicie, harfiarze?

HARFIARZE.

Wszystko stracone!

RÓŻA WENEDA.

Na jad węża, co w téj czarze
Karmi płomienie czerwone,
Zaklinam się wam, o! starzy,
Że kości z pobojowiska
Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy.

HARFIARZE.

Wstaną i zginą raz drugi...

RÓŻA WENEDA.

I trzeci raz jeszcze zginą,
I przejdą po nich zapomnienia pługi,
I stokrocie się rozwiną
Na krwawym umarłych stepie;
I cóż!... czy płakać?

HARFIARZE.

Słuchaj, tam wrony zaczynają krakać
I wilcy gryzą śpiące na oszczepie
Ciała rycerzy.

RÓŻA WENEDA.

Za trzy dni sto piorunów uderzy,
Tysiące się podniesie prawic;
Będzie okropna walka przy świetle błyskawic.
Żywi się pomięszają z umarłymi,

I nikt ich nie rozbroni.
Wy umarłych poznacie po zapachu ziemi,
Po ognistym śladzie koni;
Lecz ci, co oko w oko spojrzą, nie poznają.

HARFIARZE.

O! cud!... Harfy nasze grają
Rycerski śpiew.

RÓŻA WENEDA.

Te harfy uczuły krew
I drżą...

HARFIARZE.

O! chodźmy tą pieśnią jak skrą
Ożywić ludy po siołach.

RÓŻA WENEDA.

Dębowe wieńce na czołach
A w ręku harfy złociste;
W piersiach serca bursztynowe,
Jak słońca złote i czyste;
A w ustach pieśni grobowe,
Co budzą narodów lwy;
To są harfiarze! to wy!

HARFIARZE.

Wlałaś nam ogień do łez...

RÓŻA WENEDA.

Ogień, nim we łzach ostygnie,
Dwanaście ludów podźwignie;
Za trzy dni wszystkiemu kres,
Walka i zgon!

HARFIARZE.

Nasze harfy tobie w ton
Odgrały smutnie.

RÓŻA WENEDA.

Uciszcie wy rękami rozpłakane lutnie,
Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła,
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła,
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu;
Jeśli nie obronicie tego — potępieni!

HARFIARZE.

Więc za trzy dni noc płomieni?...

RÓŻA WENEDA.

I noc okropności mściwa
I wiek haraczu...
Pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza.
Wódz dwie głowy mieć będzie, jedna człowiecza,
Drugą głowę trupią wódz mieć będzie.
Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią:
I zakocham się w rycerzy popiołach
I popioły mnie zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach,
A łożem ślubném będzie stos rycerzy.
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny;
Ja go zemszczę lepiéj od ognia i wojny,
Lepiéj niż sto tysięcy wroga,
Lepiéj od Boga...

HARFIARZE.

Idźmy! wróżkę szał porywa.

Wychodzą.

RÓŻA WENEDA.

O wróżka! wróżka ludu nieszczęśliwa!
Ona ma serce... Lecz noc już... już ciemno!
Chodźmy umarłych palić... Duchy, ze mną!

Odchodzi.

*

Akt I.

SCENA I.

Pole nad Gopłem.

LECH, GWINONA, SYGOŃ, GRYF, wchodzą zbrojni.

LECH.

Zapalić ognie na pobojowisku
I tu mi wzięte przyprowadzić jeńce.

Wchodzą DERWID z harfą złotą w ręku, LELUM i POLELUM w łańcuchach.

SYGOŃ.

Z ręki mu złotéj harfy nie wydarto,
Jest to Wenedów król z dwoma synami.

LECH do Derwida.

Cóż myślisz, starcze, o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem téj krainy,
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj tymi ludy.
Szaty na sobie teraz porozdzieraj,
Okup się, starcze, łzy brylantowymi,
Bo ci czekanem łeb roztrzaskam siwy.

Do Lelum i Polelum.

Cóż to szczekacie jak psy łańcuchami?
Cóż to, niedźwiedzie, uczcie się pokory!
Gdzie mój kat? Ten mi człowiek plunął w oczy.
Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie.
Gwinono, patrzaj, jaki to lud rosły.
Ja komar, i krew z niego wycedziłem
I wycisnąłem w ręku jak cytrynę.

Jak się Czech dowie, to nie będzie wierzył.
Poślę mu tego starca w podarunku,
I tych dwu młodych poślę królewiców,
Niechaj porobi z nich obudwu psiarzy.

GWINONA.

Ja chcę usłyszeć ich głos. Każ, niech mówią.

LECH.

Psy, łatwiéj zmusić ich, aby jęczeli.

GWINONA.

Ta harfa musi być zaczarowana.

LECH.

Na Boga! prawdę mówisz, moja lwico,
Ta harfa musi być zaczarowana.
Stary! czy w harfie twojéj siedzi dyabeł,
Że tak o nią dbasz? Na Boga! to mruki!
My tu przed nimi jak na nitce wróble,
A oni patrzą z góry jak na frygi.
Gryfie, odprowadź ich do Rzymskiéj wieży,
Jak się wygłodzą, to głos odzyskają.

DERWID, LELUM, POLELUM wychodzą pod strażą.

To głuchoniemy jakiś lud, Gwinono,
I głuchoniemy król. Na koń! hej, na koń!
Ufundujemy na trupach królestwo.

Wychodzą wszyscy.

SCENA II.

Cela pustelnika podobna kształtem do wnętrza czaszki olbrzymiéj. W głębi obraz N. Panny na dnie złotém.

ŚWIĘTY GWALBERT i ŚLAZ.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Splamiłeś moje oczy, mości Ślazie,
Wlazłem za twoją poradą na sosnę,
Splamiłeś moje oczy krwi widokiem.
To sprawa dyabla, przybyłem nawracać
A jacyś ludzie przybyli wycinać;
Wycięli prędzéj, niż ja nawróciłem;
Za to się trzeba aż do krwi biczować
Mnie, jako panu, tobie, jako słudze,
A obu jako sługom Pana Boga.

ŚLAZ.

Et fit voluntas tua.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Tak, tak, Ślazie.
Et fit voluntas tego, co na niebie.
A jednak szkoda, że ten lud wycięto,
Bo lud był dobry, choć niechrześciański.

ŚLAZ.

Domine, wszyscy więc poszli do piekła?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ziemia przed krzyżem krwią czerwoną ściekła,
Z téj krwi wybuchnie płomień w kształcie krzyża.
Smierć kruszy ciała, lecz wieczność przybliża.
Narody będą wkrótce okupione;
Widziałeś, Ślazie, komety czerwone
Z długimi chwosty, co tu wróżą zmianę,
Komety, co jak wiedźmy rozczochrane,
Goniły za mną aż od Jeruzalem,
Grożąc mi chłostą, krzyżem, albo palem.
Cóż mi zrobiły? Kiedy będzie trzeba,
Te straszne gwiazdy palcem zetrę z nieba.
Bóg swemu słudze, za wiek długi trudów,
Przerażających da godzinę cudów.
Cóż mi ten mocarz, co tu krwawi lasy?
Nowy Faraon, wejdę z nim w zapasy,
Złamię i rószczkę ognistą otrupię;
A potem jedną łzą gorącą kupię
Żywot dla niego wieczny i zbawienie.

ŚLAZ.

Domine, z czego, proszę, są promienie,
Które ty nosisz na głowie.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Są ze mnie,
Z mojéj wewnętrznéj wiedzy i z anioła,
Co w ciele mojém pali się tajemnie.

ŚLAZ.

Myślałem, że te płomieniste koła
Są z włosów?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ergo nie byłyby z duszy?

ŚLAZ.

Domine, a kot kiedy się napuszy,
To mu tak iskry z włosów wylatują.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Są ludzie głupi jak ty, co się trują
Porównywaniem dwóch natur w stworzeniu.

ŚLAZ.

Domine, wiara jest w mojém wątpieniu.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Wątpienie z dyabła jest.

ŚLAZ.

Więc mię on szuka?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Obacz - no, Slazie, ktoś do chaty stuka.

Ślaz otwiera, wchodzi Lilla Weneda.

LILLA WENEDA.

W imię Maryi.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Patrzcie, to królewna,
To neofitka moja. Cóż tak rzewna?
Cóż tak spłakana? Córko, czemuś drżąca?

LILLA WENEDA.

Przyszłam do ciebie, mój ojcze, płacząca,
Mój ojciec, bracia moi są w niewoli;
Chcę ich ratować, lecz mi serce boli
A nie podaje żadnéj mądréj rady.
Świat cały teraz dla mnie smutny, blady,
Za łez strumieniem nie widać mi słońca.
Ty mój poradnik jedyny, obrońca.
Nieszczęśliwego ojca mam w niewoli,
Braci w kajdanach.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Cóż ja ci poradzę?

LILLA WENEDA.

Już w ostatecznéj się widzę niedoli.
Powiedz, o! powiedz, czy ten Lech ma władzę
Ojca mojego zabić?

ŚWIĘTY GWALBERT.

To człek srogi.

LILLA WENEDA.

Powiedzże, czém są twoje wielkie Bogi,
Jeśli nie mogą mi dopomódz biednéj?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Bluźnisz, dzieweczko, Bóg w osobie jednéj.

LILLA WENEDA.

O! ja wiem! ja wiem! ty mnie uczył długo,
Nie zapomniałam wcale twéj nauki;
Lecz teraz naucz, jak ocalić ojca.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Gotowaś jest ślub czystości uczynić?

LILLA WENEDA.

Mój ojcze, jeśli tém ojca wybawię,
Ja będę czystą jak marcowe śniegi,
Jak po moczarach białe konwalije,
Albo te kwiatki, co ze śniegu wstają
I brudnéj ziemi nie widzą i giną.
Dosyć mi będzie, że mi starzec siwy
Pobłogosławi i obleje łzami.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Zrób więc intencyą przed obrazem Matki
Boga na krzyżu... ukrzyżowanego.
Zrób jéj ofiarę z dziewiczego serca.

LILLA WENEDA.

Jakże mam mówić?... O! niebios Królowo!
Oddaj mi ojca a ja Ci dam siebie
Jako białego gołębia bez plamki,
I nic nie będę więcéj pożądała,
I nic mię nigdy na świecie nie splami.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Teraz, dzieweczko, ona będzie z nami.
Ślaz, daj mi kostur. Gdzież obozem leży
Ten Lech?

LILLA WENEDA.

On, ojcze, mieszka w Rzymskiéj wieży.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Na stare nogi droga niedaleka.

ŚWIĘTY GWALBERT i LILLA WENEDA wychodzą.

ŚLAZ sam.

Dyabeł mi każe służyć u człowieka,
Co mnie suchymi korzonkami głodzi.
Wychudłem jak szczep... człowiek się raz rodzi,
Pamiętaj o tém dobrze, mości Ślazie,
Żeś się urodził... I raz się umiera,
Pamiętaj dobrze na to, mości Ślazie,
Że raz umiera i że się raz rodzi.
Ergo, ponieważ się już urodziłeś,
Więcże korzystaj z tego, mości Ślazie.
Ergo więc, nogi zapas i w świat jasny!...
A zrób intencyą z czystości... A na co?
Czy masz w niewoli ojca, panie Ślazie?
A jak się w tobie zakocha królewna
A ty w czystości jak w błocie po uszy!
Chciałbym coś znaleźć niepotrzebniejszego
I z tego zrobić votum panu Bogu,
Aby mi trochę sprzyjał na początek.
Naprzykład, zróbmy votum z przywiązania
Do mego pana... ot i lżéj na sercu...
A teraz niech tę celę biorą dyabli
Już niepotrzebna mi, niechaj się pali.

Podkłada ogień pod ściany... i z zapalającéj się celi wychodzi.

SCENA III.

Sala w Rzymskiéj wieży.

LECH i GWINONA wchodzą.

LECH.

Cóż robić z tymi ludźmi żelaznymi?
Ulec mi niechcą. Cóż robić, Gwinono?

GWINONA.

Rada jest moja, zbyć się ich na zawsze.

LECH.

Co?... pozabijać?

GWINONA.

Znów się wzdrygasz, mężu,
I w czynach boisz się ostateczności.
Dwa razy, przez tę naturę kobiecą,
Straciłeś kraje już podbite prawie;
Rycerzy ledwo ci zostaje garstka.

Ty zawsze ufasz w szczęście i fortunę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwa: a nie myślisz o tém,
Że mamy dzieci, które pójdą z torbą
I miecz ojcowski sprzedadzą za szeląg,
Jeśli ich w życiu nie postanowimy
Na dobrze. stale zbudowanym tronie.

LECH.

To wszystko prawda.

GWINONA.

Patrz na brata Czecha:
Jemu się także ty oszukać dałeś,
To też postąpił z tobą jak z dzieciną:
Sam zabrał kraje we dwóch pokonane
A ciebie wysłał aż w północne lody.
Cóż, moja frygo z rozpalonéj stali,
Kto cię pokręci, choć dłoń sobie sparzy,
Kontent, bo ty się kręcisz za to długo.

LECH.

Widzę to czasem, że mnie oszukują.

GWINONA.

Kto z boku patrzy, ten to widzi zawsze.

LECH.

Cóż ty ze starym zamyślasz Derwidem?

GWINONA.

Co? Zdaj to na mnie, sam idź do sokołów,
Ty dobry w boju i na polowaniu:
Ale gdy trzeba robić, to co nudzi,
To się ty wzdrygasz. Ty masz lwią naturę.
Albo spać... albo krew pić lubisz ciepłą.

LECH.

Ja to do siebie znam.

GWINONA.

Cóż, mój tygrysie!
Dajże na moję już odpowiedzialność
Tych jeńców... jeśli zrobię źle, wyłajesz.

LECH daje znak, że zezwala i wychodzi.

Gryf, przyprowadź mi tutaj Derwida.

DERWID wchodzi jako więzień z harfą w ręku. — GRYF.

Jeszcze mu z ręki harfy nie wydarto,
Wy się boicie wszyscy tego starca.

Przystępuje do Derwida i chce mu harfę wyrwać. Derwid podnosi harfę, jakby nią chciał uderzyć.

DERWID.

Precz!

GWINONA.

O! widzicie! on mię chciał uderzyć.
Nie zabijajcie go, ja z nim pomówię.
Człowieku! chcesz ty mnie nauczyć czarów?
Słyszałam, że ty masz w téj harfie ducha,
Który zgaduje przyszłość, czy to prawda?

DERWID.

Mam w harfie ducha, co zgaduje przyszłość.

GWINONA

Każ mu wystąpić, niechaj go zobaczę.

DERWID.

Póki ja żyję, ten duch w harfie będzie.

GWINONA.

A jak ty umrzesz?

DERWID.

Do nieba uleci.

GWINONA.

Ja mogę ciebie dziś pozbawić życia.
Ja tego ducha widzieć chcę. Rycerze
Przynieście jemu pić, niech się ożywi.

Do Derwida.

Ty mi wywołasz z harfy tego ducha,
Inaczéj, klnę się na Hekatę i trzy
Starki, co w piekle krwawymi nożami
Nić przecinają ludzkiego żywota,
Że zginiesz.

DERWID.

Nigdy! o! nigdy, piekielna!
Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika,
Nigdy ta ręka od łańcuchów sina
Strun się nie dotknie! Nigdy moje oczy
Łez nie wyleją, póki te łzy moje
Mogą posłużyć wam na wywołanie
Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu.

O! nie — nigdy wy z króla niewolnika
Nie uczynicie służalca harfiarza.
Ta pieśń, co do krwi pędziła rycerze
I w miecze kładła dusze nieśmiertelne
I wścieklizną swą ducha ojczystego
Dawała mieczom ząb, co gryzł wam kości
I truł wam rany, nie zabrzmi w niewoli.
Możecie wy tę harfę wziąść i rzucić
W ogień i ogrzać przy niéj ręce wasze,
I wasze trupie twarze rozczerwienić;
Możecie spalić ją, ale nie zgwałcić.
O! spróbuj! połóż twe palce na strunach,
Czy wywołają z nich co więcéj, niż dźwięk
Śmieszący ludzi? — I ty myślisz, że ja,
Gdy na mém sercu położysz twe szpony,
Poddam się palcom targającym żyły
I z mego jęku zrobię pieśń? O! jędzo!
Ty myślisz, że ja, gdy dziś jeszcze z góry
Widziałem lud mój, co jak jeden człowiek,
O! nie, jak jeden trup leżał na polu,
Myślisz, że takim okropnym widokiem
Rozhartowany będę i pokorny?
Spróbuj, czy ze mnie co więcéj wyciśniesz
Nad krew, co będzie przeciw tobie świadczyć
Przed mymi ludy... Nie, ja nie mam ludu!...
Lecz po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz;
Weźże krew moję do twéj gotowalni,
Czarna kobieto, i co dnia jagody
Czerwień krwią moją, aby cię mąż kochał
I nie zobaczył, że masz krew zieloną.

GWINONA.

Skończyłeś, starcze?

DERWID

Nie jeszcze! nie jeszcze!
Ja czuję w sercu jakąś moc zabójczą,
Która mym słowom da moc zabijania
I ciebie mi tu da za niewolnicę,

I z twego trupa mnie pokonanemu
Tron nowy zrobi. Stój tu! ja ci łono
Osuszę, piersi napełnię popiołem,
W żywot nasypię gadzin. — O! gdybyś ty
Była kobietą — gorzéj niż to wszystko,
Bo bym ci oczy twe napełnił łzami,
Opowiadając ci moje nieszczęście.
Ale ty jesteś nie z tych, które płaczą.
Ciebie zabijać trzeba przekleństwami;
I piekło całe zakląć przeciw tobie,
Ażeby piekło całe było w tobie.

GWINONA.

Ten starzec śmierci chce. Wydrzeć mu oczy.

DERWID.

Czekaj, niech jeszcze raz spojrzę na ciebie
Tymi oczyma, co będą wydarte.

GWINONA.

Precz z nim.

DERWID.

Przez oczy moje wyłupione
Niechaj na ciebie patrzy Bóg.

Żołnierze wyprowadzają Derwida.

GWINONA.

To dziwnie.
Te oczy siwe ze srebrnymi rzęsy
Serce mi do krwi ugryzły... Mój Gryfie,
Zawołaj mi tu Kraka i Arfona,
Niech się z tą złotą harfą przyjdą bawić.
A najmłodszemu Gwinonkowi zanieść
Oczy wydarte, niech z nimi poigra.

Wchodzi Święty Gwalbert. — Lilla Weneda.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Czy tu znajome jest Chrystusa imię?

GWINONA.

Cóż to za człowiek? czemu tu wpuszczony?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Straż twoja cudem pokonana drzemie.

GWINONA.

Ty jak Hekate masz księżyc czerwony
Na siwych włosach. — Co to jest za człowiek?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ja ciemne chmury zdzieram z ludzkich powiek
I światło niosę dla duszy słoneczne,
Ja ludziom biednym daję życie wieczne.
Ktokolwiek jesteś, schyl przedemną głowę.

GWINONA.

Jakiś czarownik.

LILLA WENEDA, do świętego Gwalberta.

O! panie, mów za mną.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Przyszedłem tutaj w imię Boga mego
O pognębionych ludzi się upomnieć.
Oto jest córka króla téj krainy,
Która ma braci i ojca w niewoli
I przyszła prosić za nimi.

LILLA WENEDA.

O! pani,
Ja przyszłam prosić za ojcem i braćmi.
Nie patrz ty na mnie srogo — ja pokorna
Ja przyszłam twoje nogi rosić łzami,
Ja będę za to twoją sługą; będę
Płótno twe bielić, twoje krowy doić,
Twe szpaki takich nauczę wyrazów,
Że w dzień i w nocy będą dziękowały
Za moich braci, za mojego ojca.
Ja z moich oczu zrobię ci zwierciadła,
W których się będziesz ty widziała piękną,
Wesołą, dobrą i pełną litości;
I sama siebie, widząc, będziesz kochać;
A ja cię więcéj jeszcze będę kochać,
Niż się ty możesz kochać sama siebie.

GWINONA.

Za późno przyszłaś.

LILLA WENEDA.

O! nie mów! o! nie mów!
Ja tu leciałam jak gołąb do dzieci.

I gdyby nie ten stary człowiek, pani,
Jużbym tu była dawno zawieszona
Na szyi mego ojca. Gdzie mój ojciec?

DERWID wchodzi z wyłupionymi oczyma i podnosi ręce nad Lillą Wenedą.

DERWID.

Puśćcie mnie! krwią chcę ją widzieć i mózgiem.
Ona tu musi być. Tu, tu ją widzę,
O! bądź przeklęta!

LILLA WENEDA.

Ojcze! to ja, ojcze.

DERWID.

Co? To głos mojéj córki, o! niebiosa!
Ja córki mojéj nie widzę.

LILLA WENEDA.

Mój ojcze,
Tobie wydarto oczy! — Czy zupełnie?
Czy ty zupełnie mnie nie widzisz, ojcze?
Poczekaj, krew ci obetrę włosami,
I nigdy moich włosów nie obmyję;
Lecz je rozpuszczę do ziemi czerwone,
I w téj koszuli okropnéj uklęknę
Skarżyć się Bogu. Ojcze nieszczęśliwy!
O! srodzy ludzie! o! ludzie okrutni!
Pani! ty jesteś niewinna? co — prawda?
Tego nie mogła uczynić kobieta?
Ty sama teraz cierpisz! — o! na Boga,
Dajże mi teraz, pani, tego starca!
Wszakże ty widzisz, że on nie ma oczu,
Tylko te biedne moje dwie źrenice,
Które łez pełne. O! dajże mi teraz
Mego ślepego ojca.

DERWID.

Mój słowiku,
Cicho bądź! jędzy téj nie ruszaj.

Do Gwinony.

A ty,
Wściekła kobieto! jeśli cię ten widok
Ślepego starca i córki, co widzi
Czerwone ojca swego oślepienie,

Dręczy? jeśli cię dręczy ta męczarnia?
A musi dręczyć, bo cóż ty zdobyłaś
Tém okrucieństwem prócz kilku perełek,
Co z oczu mojéj córki upadają,
I kilku tych łez okropnych, co cieką
Z méj próżnéj czaszki. Więc jeśli cię dręczy
Ta niemoc twoja, ta bezsilność twoja,
Spróbuj, czy moja cię śmierć nie uleczy
I tygrysiego serca nie nakarmi.

GWINONA.

Pamiętaj, że ja mam cię zabić władzę.

LILLA WENEDA.

Okrutna pani! nie, ty nie masz władzy!
O! nie, ty nie masz w sobie takiéj władzy:
Ja ci powiadam z głębi rozdartego
Serca, że nie masz nad nim władzy żadnéj.
Wymyśl trzy razy śmierć najokropniejszą,
Trzy razy wszystko wymyślisz napróżno.

Do świętego Gwalberta.

Nie prawdaż, starcze, że matka Chrystusa
Będzie mnie bronić razem z aniołami
I da zwycięstwo nad tą dumną, krwawą:
Trzy razy będę ojca zbawicielką,
A ty się spłonisz, żeś taka bezsilna
Przeciw rozpaczy mojéj ostatecznéj.

GWINONA.

Dziwne wyzwanie! słyszeliście wszyscy,
Ta mnie dziewczyna wyzywa. Już miałam
Oddać ci ojca, bo ten łachman stary
Stał mi się wcale niepotrzebny; teraz
O niego będą toczyć się turnieje.
Gryfie, weź starca, za włos jego siwy
Uwieś na drzewie, niech słońce go pali
I dziobią kruki; dla większéj męczarni,
Niech końcem stopy ziemi się dotyka.

LILLA WENEDA.

Gdzie król? ja pójdę do króla ze skargą.

GWINONA

Idź.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Klątwa Boga na tym krwawym domie.

Wychodzą.

CHÓR.

Dwunastu harfiarzy.

Oczy wydarto staremu królowi,
Pęka się córki bursztynowe serce,
A w naszą starą kość strach idzie mrowi,
Lecz nie lejemy łez, bo ci morderce
Gotowi ludom rzec: zwycięstwo nasze!
Zwątpił o sobie lud! harfiarze płaczą!
Niech spojrzy w piersi wróg, niech patrzy w czasze,
Czasze nalane krwią, serca rozpaczą,
Z ust się wydziera krzyk o zemstę Boga,
Czekamy wszyscy, drżąc, na piorun z chmur,
A kiedy milczy niebo — śpiewa chór.
A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

*

Akt II.

SCENA I.

Pobojowisko, noc. RÓŻA WENEDA w głębi pali kości rycerzy i śpiewa. ŚLAZ wchodzi.

ŚLAZ.

Dalibóg! trupów tu jak maku: głupcy!
Gdyby się spytał kto tych wszystkich durniów,
Dla czego teraz się nie mogą ruszyć?
Jeden odpowie: brak mi kawałeczek
Serca — a drugi: mam strzałkę maleńką
W mém pacierzowém ogonie; i każdy
Miałby wymówkę; ze mną tak nie będzie.
Nie, ja do śmierci chcę żyć, a po śmierci
Będzie, jak Bóg chce i jak chce pan Gwalbert.
Cóż to za wiedźma przed stosem z płomieni
Trupich piszczeli ogniem oświecona?

RÓŻA WENEDA.

Czar się nie robi, tu jest człowiek żywy.

ŚLAZ.

Jezu Marya! gotowa mnie zabić.

RÓŻA WENEDA.

Wężu, kto jesteś?

ŚLAZ.

Umarły ze strachu.

RÓŻA WENEDA.

Gdzie idziesz?

ŚLAZ.

Wszędzie, gdzie każesz waćpani.

RÓŻA WENEDA.

Ja wiem, czém jesteś... ty będziesz zabójcą.
Mam tutaj sztylet.

ŚLAZ.

Jakaś waryatka!

RÓŻA WENEDA.

Przed tobą płynie krwi bolesnéj rzeka,
Z tych trupów cieknie i płynie.
Za tą wodą dom człowieka,
Ten człowiek zginie;
Życie jest jego dla mnie jak psa życie.
Ty go zabić powinien.

ŚLAZ.

Ja?

RÓŻA WENEDA.

O świcie
Go zabijesz, idziesz po to.
Słuchaj! — jesteś złodziejem.

ŚLAZ.

Ja?

RÓŻA WENEDA.

I złotą
Harfę ukradniesz mego ojca.

ŚLAZ.

Pięknie!

RÓŻA WENEDA.

I słuchaj, jeśli z bolu harfa jęknie,
Jeżeli jęknie, ojcu mojemu kradziona;
Ty ją utulisz w płaczu jak dziecko — i skona

Ojciec mój, ale harfa zwycięży narody!
Pamiętaj!

ŚLAZ.

Dobrze.

RÓŻA WENEDA.

Lub z głazem do wody
Rzuć się i toń, bo serce ci wydrę i oczy.

Oddala się w głąb do płomieni.

ŚLAZ.

Rozumiem, ukraść harfę i zabić człowieka,
A to mi wcale piękna awantura!
Wylazła z trupów i z płomienia mara
I mówi do mnie: Ślazie, jesteś zbójcą.
Dziękuję pani, że tak dobrze trzymasz
O mojéj cnocie. A do mnie ta znowu:
Mój mości Ślazie, waść jesteś złodziejem.
Chciałem ją za to w pysk, a ona w ogień
Jak Salamandra; szukajże z nią ładu!
Gdyby przynajmniéj była powiedziała,
Czy mnie powieszą, jak będę złodziejem?
Co teraz robić?... Widzę tam na górze
W złocistéj zbroi nieboszczyka — pójdę,
Obedrę zbroję i na siebie włożę,
Może cokolwiek znajdę w niéj odwagi.

Wychodzi.

RÓŻA WENEDA śpiewa.

Trzaska w płomieniach kość,
W czaszkach się warzy mózg,
Tu kwiatów będzie dość
I lilijowych rózg
Z kwiatami o! z białymi kwiatami.
O! o! — o! o!
Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

Ja palę trupy wciąż.
Tu mój kochanek był,
Do czaszki przylazł wąż,
I krew mu z oczu pił,
I do czaszki wlazł krwawymi ustami.
O! o! — o! o!

Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

Oddala się — płomienie gasną.

ŚLAZ wchodzi w zbroi, sam.

Otóż ubrany jestem jak na święto.
Ta wiedźma wrzeszczy tu na całe gardło,
A tu są ludzie, co chcą spać. Naprzykład
Ten obywatel, co mi dał tę zbroję
Chciał spać, musiałem dobić nieboraka
Ergo ta wiedźma powiedziała prawdę;
Bo jeśli dobić żyć nie mogącego,
Znaczy to samo, co odebrać życie,
Więc ja zabiłem... nie — tylko dobiłem.
Gdzież w przykazaniach boskich: nie dobijaj,
A gdyby nawet było w przykazaniach,
To ja nie wierzę w boskie przykazania
I tak... a jeszcze na moję obronę
Mógłbym przytoczyć, że mię ten nieboszczyk
Prosił, abym go zrobił nieboszczykiem...
Tymi wyrazy... widzisz tu Salmona
Z połamanymi kościami — więc dobij!
Więc ja dobiłem go i rzecz skończona.
A teraz pójdę w téj zbroi do Lecha;
I będę, jakbym przywędrował z Lechem,
Służyć u Lecha i zwać się ślachcicem.

Wychodzi.

SCENA II.

Sala w zamku Lecha.

LECH i SYGOŃ.

LECH.

Więc ty widziałeś, jak mój Salmon zginął?
Opowiedz jego śmierć.

SYGOŃ.

Kiedy się, Lechu,
Za ostatnimi Wenedy puściłeś
Na czarnym koniu, Salmon twój kochany,
Ujrzawszy wzgórze, na którém dwunastu
Stało Derwidów, z harfami złotymi,
Tak, że z tych starców i z harf pagórkowi

Była korona, rzucił się z dobytym
Mieczem na owo wzgórze Salmon młody
I nie znajdując żadnego oporu,
Króla Derwida wziął za siwą brodę
I ciągnął z tronu kamiennego gwałtem:
Gdy oto nagle, harf złotych dwanaście,
Jako dwanaście siekier podniesionych,
Na hełm Salmona spadło... a jam słyszał
Jęk tego hełmu i jęk harf dwunastu...
Przybiegłem... wzgórze całe było puste,
A na niém leżał cicho trup Salmona.

LECH.

Na Boga! każda z tych harf mi odpowie
Życiem za życie mojego rycerza.

SYGOŃ.

Już się królowa zemściła na królu.

LECH.

I cóż?

SYGOŃ.

Kazała mu wyłupić oczy.

LECH.

Na Boga! mała kara, mała kara!
Psy! psy! psy! — zabić harfami rycerza.
Chciałbym ten kielich cały krwią napełnić...
Rycerz rozbity jak garnek, nie bronią
Ale harfami!... pfu!... zgroza. Sygonie,
Gdyby mi kiedy taka śmierć groziła,
Utnij mi głowę, zrąb mi głowę z karku.

Wchodzi LILLA WENEDA.

Cóż to za biała jakaś Wenedzianka?

SYGOŃ.

Córka starego króla.

LECH.

Tego starca,
Który mi zabił Salmona?

SYGOŃ.

Tak, panie.

LECH.

Czegoż odemnie ona chce?

LILLA WENEDA.

Litości.

LECH.

Właśnie mi teraz z litości wystygło
Serce: twój ojciec jest mi jak wąż sprośny.
Młodocianego mi zabił rycerza.

LILLA WENEDA.

Więc nie litośny bądź, lecz sprawiedliwy.
Ty ojcu memu zabiłeś tysiące
Młodych rycerzy i przyjaciół starych:
A żona twoja mu nie zostawiła
Oczu, by płakał nad swoją niedolą.
Wyście mu wszystko wydarli! ach, wszystko!
Nawet pociechę, którą ma płaczący,
Przez ołzawione oczy widzieć niebo,
Lub twarz człowieka, który nad nim płacze,
Lub lice córki, co chce być wesołą
I twarz umila nadziei promieniem.
O! panie, wszystkoście mu już wydarli!
Wszystko prócz serca córki nieszczęśliwéj.
Idź, Lechu... obacz go... a będziesz płakał!
Idź, Lechu!... on tam na twoim dziedzińcu
Za siwe, święte włosy przywiązany...
Głodny mój ojciec! cierpiący mój ojciec!
Idź, Lechu! obacz, co oni zrobili
Z moim nieszczęsnym ojcem... ty masz oczy:
Więc idź i obacz... a jeśli ty, Lechu,
Na taki widok nie będziesz litośnym,
To chyba jesteś, Lechu, nie człowiekiem.

LECH.

Sygonie, moja Gwinona się biesi,
Ona tu miarę przebrała.

LILLA WENEDA.

O! panie,
Ona tam teraz przed wiszącym starcem
Do okrucieństwa zaprawia twe dzieci,
Ojca mojego im nazywa królem,
A to maleństwo za matką świegoce:
Król, król, i w mego ojca oczy puste

Niegodziwymi rzuca kamyczkami.
O! idź ty, Lechu, i obacz tę zgrozę!
O! idź ty, Lechu, i skarz tę kobietę!
Ona ci psuje, Lechu, twoje dziatki,
Z tych dziatek będą potem królobójce,
Ty będziesz się bał, gdy cię nazwą królem.
Tak jak zwą dzisiaj ojca mego królem:
Król, król, jak kawki świegocą. O! Lechu,
Idź sam i obacz...

LECH.

Wszak nie ma w tém grzechu,
Sygonie, mojéj miłéj podciąć skrzydeł...

Wychodzą.

LILLA WENEDA.

On mi uwolni ojca z rąk straszydeł...

Wychodzi.

SCENA III.

Dziedziniec zamkowy. Na jednéj z bocznych ścian widać cień przywiązanego Derwida do gałęzi dębu. Na przedzie sceny GWINONA, KRAK i ARFON.

KRAK.

Mamo, ja nie chcę więcéj tego starca
Bić kamykami. On się już nie rusza.

GWINONA.

Krak, jak wyrośniesz, będzie z ciebie baba.

KRAK.

Nie, mój braciszek Arfon będzie babą,
A ja rycerzem sławnym jak mój papa.

GWINONA.

Chcesz być rycerzem? a kiedym kazała
Wziąść łuk i trafić w serce tego starca,
To skowytałeś jak psiątko: — nie mamo,
Nie, ja żałuję dobrego staruszka.
Wstydź się, czyżykiem jesteś nie chłopakiem.

KRAK.

Cóż ten staruszek zrobił tobie, Gwina?

GWINONA.

Co? nie pamiętasz już, Kraku, Salmona?

Salmona, co cię nieraz na rumaku
Sadzał i uczył harcować... ten stary
Zabił Salmona, Salmon już nie wróci.

KRAK.

Ten stary zabił Salmona?

GWINONA.

A widzisz?
Już rączki ściskasz w kułak, jużeś gniewny...
Arfonie, daj łuk braciszkowi... daj mu.
On lepiéj strzela niż ty.

ARFON.

Ja sam trafię.

GWINONA.

Idź, baw się z harfą, daj łuk braciszkowi.

Dając Krakowi łuk.

Na, i mierz w serce, w serce — wiesz, gdzie serce?

KRAK.

Wiem, mamo, bo mi teraz głośno puka.

Mierzy z łuku w stronę, gdzie się znajduje męczony Derwid... Wchodzi LECH, SYGOŃ i LILLA WENEDA.

LILLA WENEDA.

O! widzisz, panie, chcą mi zabić ojca.

LECH.

Gwinona, każ mu spuścić łuk, na Boga!
Bo go tu zetnę szablą jak makówkę.
Cóż to?... czy ojciec jest tu u was niczém?
Spuść łuk! bo łebek ci ukręcę... spuść łuk!

GWINONA.

Spuść łuk, mój Kraku, papa tobie każe...
Cóż to tak gniewny, mój człowieku? cóż to?

LECH.

Mam się nie gniewać? ja mam się nie gniewać,
Kiedy tu widzę moje własne dzieci
Urągające z niedoli królewskiéj,
Jedzące mięso jak orlątka młode.
Cóż to? czy moje dzieci są chowane
Jak psy rzeźnika?... precz mi stąd, szczeniaki!

Dzieci odchodzą.

Gwinona, dosyć już tych okropności.
Każ tego starca odwiązać.

GWINONA.

Ty panem,
Każ go odwiązać.

LECH.

Cóż to? jużeś gniewna?

GWINONA.

O! dzień przeklęty, kiedym ja się dała
Uwieść przez ciebie z islandzkiego brzegu,
Abym tu była teraz niewolnicą
Twojego gniewu i niestałéj żądzy.
Lepiéj mi było morze rozhukane
Poślubić, albo wulkan płomienisty,
Lub zostać Nixów albo Farfadetów
Małżonką: lepiéj o! lepiéj sto razy,
Niż teraz za mym ubogim rycerzem
Przez świat wędrować i znosić obelgi
I nie być pewną dnia, że mąż mię kocha.
Bo jakże kocha mnie ten lew ryczący?
Serce mi ciągle gryząc, albo głaszcząc
Dłonią żelazną — jakże mi pochlebia?
Z rana pochlebia a wieczorem karci.
Jakże mi wierną miłość wynagradza?
Co mi da z rana, odbierze wieczorem;
Tak, że ja nie wiem, żoną ja czy sługą
Jestem u niego? miłą mu czy gorżką?
Szlachetną w jego myśli, albo podłą?
O! jeśli tak ma być zawsze, o! Lechu!
To mię odegnaj i ja pójdę bosa
W te ciemne lasy wilkom i niedźwiedziom
Pochlebiać, łasić się, prosić o litość.
Wstydzisz się; nic mi już nie odpowiadasz?
Bo ty szlachetny i wiesz, że ja mam słuszność.
Dzisiaj mi dałeś w moc tego Derwida,
Pierwszy raz rzekłam: on mi przecież ufa!
A teraz muszę znów wyjść z omamienia.
Chodźcie tu wszyscy! patrzcie, jak Lech rycerz
Żonie danego dotrzymuje słowa.

Ja w słowie jego zaufana święcie
Na jego słowo dałam moje słowo:
Teraz on swoje święte słowo łamie;
A ja się muszę oszkalować sama
I zaprzysiężeń moich niedotrzymać...
Chodź tu, dziewczyno! wyzwałaś mnie dzisiaj
Na zakład, że trzy razy ojca twego
Wyrwiesz od śmierci — a ja ci przyrzekłam,
Że twego ojca oddam ci, jeżeli
Trzy razy śmierci go wyrwiesz okropnéj.
O! łatwo zakład ci wygrać z królową,
O któréj honor nie dba mąż i rycerz.
Ciesz się więc. — A ty, Lechu, téj dzieweczki
Zdrowie pić będziesz moją krwią — ty znasz mnie!
Islandzką jestem królewną, pamiętaj!
Do obelg takich nieprzyzwyczajona.

Chce odchodzić.

LECH.

Stój!

GWINONA.

Idę z wieży się rzucić.

LECH.

Kobieto!

GWINONA.

Jak mię nie będzie, każesz z moich włosów
Porobić struny do twéj harfy złotéj,
I starzec ci ten będzie o méj śmierci
Grał... albo wicher islandzki przyleci
Z ojczystéj mojéj ziemi i na strunach
Położy usta przekleństwem wyjące.

LECH.

Za nadto jesteś teraz rozżalona,
Mówić nie można z tobą.

Chce odchodzić.

LILLA WENEDA zatrzymując go.

O! mój panie.

LECH.

Czego odemnie chce ta wiedźma! wszyscy
Przeciwko mnie są.

LILLA WENEDA.

Więc mój ojciec skona?

LECH.

Twój ojciec na śmierć zasłużył sto razy.
Niechaj rycerze go dokończą... i niech
Więcéj nie słyszę o nim.

LILLA WENEDA.

Ach! okrutny!
Słuchajże teraz mnie, straszny człowieku!
Słuchajże teraz mnie, ty pani krwawa!
Ja tu wynajdę, aby wam nakarmić
Zemsty łaknące serca, taki sposób,
Taką wam straszną rzecz wynajdę myślą,
Taką rzecz powiem, że wy struchlejecie
Na samą pierwszą myśl téj okropności.
Słuchajcie tylko! słuchajcie! Ten starzec
Ma dzieci... dzieci te u was w niewoli,
Dwóch macie synów tego starca w rękach:
Otóż wybierzcie z nich którego losem,
Dajcie mu w ręce topor wyostrzony,
Niech o sto kroków stanie i toporem
Rzuci na ojca... co? czy pozwalacie?

GWINONA.

Przywieść tu jeńców.

LILLA WENEDA.

Lecz, królu! lecz, królu!
Jeżeli brat mój rzuciwszy toporem
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
O! patrzaj... ten włos, co tak przezroczysty
Jak blady gwiazdy błękitnéj ogonek,
Pomiędzy drzewem a starego głową:
Jeżeli ten włos tylko mu ustrzyże,
To więźnie będą wolni... czy przyrzekasz?

LECH.

Ów, co rzecz taką zrobi, będzie wolnym.

LILLA WENEDA.

Oba?

LECH.

Tak, oba...

LILLA WENEDA.

I mój ojciec?

GWINONA.

Ojciec
Do mnie należy... zbaw go tak trzy razy
A będzie wolnym.

LILLA WENEDA.

Ach! czyliż niedosyć
Raz tylko ojca tak zbawić, królowo!

Wchodzi LELUM i POLELUM. Oba łańcuchem złączeni, tak że prawa pierwszego ręka do lewéj ręki Polelum przykuta.

GWINONA.

Otóż są więźnie; mów, czy się podejmą?
Ty siostra, srogi targ zrobiłaś za nich.

LILLA WENEDA.

O! mówcie do nich wy... ja cała drżąca.

LECH.

Jest wieść, że celnie rzucacie toporem.
Jeśli z was który o sto kroków rzuci
Topor na ojca i tak weń wymierzy,
Że wiszącemu na drzewie za włosy
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
To będzie wolny razem ze swym bratem.

LILLA WENEDA.

Nie zechcą! oni nie zechcą!.. Polelum
Jedyny to jest dla ojca ratunek,
Ojciec na drzewie powieszony, skona,
Jeść mu nie dano ani pić... on skona!
On was nie widzi... wydarto mu oczy.
Jeżeli topor mu roztrzaska głowę
Nie będzie widział, że to syn tak rzucił.
On śmierci swojéj przed śmiercią nie ujrzy,
Jeżeli umrze... o śmierć nielitosną
Swego własnego syna nie posądzi ..
Polelum... topór weź. Ojciec nie widzi.
Weź, tylko śmiało.

POLELUM.

Daj.

LILLA WENEDA.

Ale go nie rań.

POLELUM.

I cóż mam robić?

LECH.

Psie! ty godzisz we mnie.

POLELUM.

Mówisz, że trzeba godzić w mego ojca?

LECH.

Zgnijesz w kajdanach, jeśli nie posłuchasz.

Polelum rzuca topór na ziemię.

LELUM.

Bracie, napróżno targasz się w łańcuchu,
Niewolnikami jesteśmy, Polelum.
Pomyśl... ty dobrze władasz tym żelazem.
Gdyby nie serce w tobie, tobyś trafił.
Więc zatruj serce na chwilę i pomyśl,
Że to nie w ojca włos uderzyć trzeba,
Lecz w łona ludzi tych, co będą czuli
Hańbę ze swego zwycięstwa nad nami...
Polelum! podnieś ten topór okropny;
Przykuty do mnie za twą lewą rękę
Tyś niewolnikiem mojéj ręki prawéj:
Ty cały jesteś moją ręką prawą:
Ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał...
Mamyż na wieki i my i nasz ojciec
Już pokonani być dolą, i nigdy
Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,
Co wreszcie może rozpacz niewolnika.
Polelum! zemsty!... Ja skonam w więzieniu...
Mnie trzeba słońca... tobie zemsty trzeba.
Ach! bądź odważny.

POLELUM.

O! Bogi piekielne!
Z jednéj mi strony brat cierpiący kona...
Tam ojciec nędzny... tu mi dają topór...
Co robić!

LILLA WENEDA.

O! mój Polelum! o bracie!
Zbawisz nas wszystkich.

POLELUM.

Daj topór. O! Boże!
Odwróćcie oczy, abym ja nie widział
Na waszych bladych twarzach przerażenia.
Więc trzeba włosy te odciąć... te włosy...
Te siwe włosy?... Nie patrzcie wy na mnie,
Bo mi się oczy łzami ćmią. Okropnie!
Czy wy jesteście pewni, że mię ojciec
Nie widzi... tylko czy jesteście pewni?

LILLA WENEDA.

On ma wydarte oczy.

POLELUM.

Przez błyśnięcie
Mego topora utraciłby oczy,
Gdyby mu ludzie oczu nie wydarli.
Ach! dosyć było taką rzecz wymyśleć
A starzec by sam sobie wydarł oczy,
Aby nie patrzał na zabójcę syna.
O! do czegoż ty przyprowadzasz, Boże,
Człeka, co stracił ojczyznę!... O! patrzcie,
Ażeby teraz wyratować brata
Muszę być ojca mego męczennikiem.
Siostra mnie własna o zabójstwo prosi,
Ludzie z boleści mojéj urągają.
O! przyjdź, godzino zemsty albo śmierci.

GWINONA.

Cóż to, więc nie masz odwagi?

POLELUM.

Bezczelna!
Ja się odwagi mojéj własnéj boję...
Prowadźcie mnie tam, skąd mam rzucać topór.
O tym ciśnięciu straszliwém Weneda
Będzie wam śnić się...

Prowadzą okutych razem braci na metę rzutu — zasłona spada.

CHÓR.

Dwunastu harfiarzy.

Niestety! niestety!
Gdzie sprawiedliwość boska? gdzie pioruny?
Syn na własnego ojca topór rzuca,

Niebo się całe ćmi krwawymi łuny,
Błyskawicowych chmur rzygnęły płuca
Piorunów deszcz okropny... świat się wzdryga!
Cóż będzie, jeśli topór w czaszce jęknie?
Topór, co w drżącéj ręce syna miga:
O! synu! serce twe z boleści pęknie,
O! córko, ojca twego krew cię splami!
O! biada wam! o! biada niewolnicy!
Mięsza się wasza krew z waszymi łzami,
Serca dajcie krew pod dziób orlicy,
Ona wyściela gniazdo waszymi włosami.
O! niewolnicy!
Zemsta! zemsta! dopóki serce bije zemsta!

*

Akt III.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha.

LECH i SYGOŃ.

LECH.

Poznałeś teraz Wenedów, Sygonie?
Wiesz, jak ciskają od oka toporem?
W uszach mi dzwoni okropne żelazo;
Ażem był jęknął trwogą zadławiony,
Gdy nad Derwida głową zobaczyłem
Drzazgi z żelaza rozsypane skrami.
Jużem się lękał, że w topora jęku
Zarąbanego starca jęk usłyszę:
Lecz nie, wyciągnął ręce i od drzewa
Jak widmo, z włosem równo odrąbanym,
Odstał; krwawymi łzami zapłakany,
Z obliczem pełném boskiego uśmiechu...
Ach! czyn Weneda taki musi przeżyć
Nasze mogiły... Czy wiesz co? Sygonie,
Stań mi pod drzewem, stań mi tak na celu;
Niechaj na twoich włosach zaprobuję
Oka i miecza!

SYGOŃ.

Lechu, jestem łysy.

LECH.

Ty łysy, prawda, to sęk! lecz ja muszę
Niedźwiedziom wydrzeć sławę pozyskaną;
Dziś spać nie mogłem; a kiedy nad rankiem
Zamknąłem oczy, to widmo Salmona
Jawiło mi się i mówiło do mnie
Samymi tylko urągowiskami.

Słychać trąbkę rycerską.

Cóż to? czy słyszysz? słyszysz róg Salmona?
To Salmon trąbi przed zamkową bramą.
Jakże — mówiłeś mi, że Salmon zginął?

SYGOŃ.

Klnę się na Boga, żem go widział trupem.

LECH.

Ale to Salmon, patrz, stoi przed bramą.

SYGOŃ.

Ten mi się rycerz zdaje trochę chudszy.

LECH.

Stare masz oczy, nie poznajesz zbroi?
To Salmon.. o! mój Salmon! Chodź, to Salmon!

Wychodzą.

SCENA II.

Sala taż sama.

GWINONA wchodzi.

Co słyszę? Salmon zatrąbił... O! Boże!
Gdy ja tortury straszne wymyśliłam,
Aby się pomścić za niego — on żyje.
Także to pewna, że serce przywyka
Do konieczności, choć najokropniejszéj,
I z jakiéjkolwiek bądź rozpaczy — nie chce
Powracać w przeszłą radość i z trupami
Powróconymi znów się zapoznawać;
Także to pewna, że osierocone
Przez zmarłych miejsca gdy raz już są puste,
Muszą pozostać tak, dla niezmienienia

Naszych nadziei, które jak pająki
Wnet zarabiają sieć, gdzie los przeleciał,
By w niéj nie widzieć pustki i rozdarcia.
Zaczęłam się mścić za niego... on wraca.
Zemsta bez celu jest i bez przyczyny,
A już jest rzeczą zaczętą. Więc znowu
Do mego serca miłości nieczystéj
Wraca gorący wąż na dawne miejsce,
I na wystygłe miejsce znów powraca.
Trzeba więc wszystko rozpocząć na nowo
I nigdy nie być pewną końca, nigdy!

LECH, ŚLAZ w zbroi, wniesiony na rękach rycerzy, SYGOŃ.

SYGOŃ.

Salmon! niech żyje Salmon!

LECH.

O! Gwinona!
Witajże ty go... przynieście puhary...
Kto dziś nie pije, z tym ja dojdę ładu?
Jakżeś, Salmonie mój, uniknął śmierci?

ŚLAZ.

Zaraz opowiem, tylko mnie postawcie
Na moje nogi, na me własne nogi.
Tak, jestem Salmon, Salmon bez wątpienia,
Zaczarowany Salmon, lepszy Salmon
Niż tamten Salmon nie zaczarowany;
Jestem Salmona dusza w inném ciele.

LECH.

Odsłońże hełmu, niechaj cię zobaczę.

ŚLAZ.

O ba! mój także hełm zaczarowany,
Jakem się zamknął w nim, tak dotąd siedzę...
Przeklęta klatka!

LECH.

Co mówisz?

ŚLAZ.

Niech zginę,
Jeżeli kłamię. Nie ja w hełmie chodzę,
Ale hełm ze mną włóczy się po świecie
I będzie trzymał, aż mu się spodoba

Uwolnić moję głowę, aby jadła.
Ten hełm jeść nie chce i ust nie otwiera;
Przeklęta, dyabla machina, panowie,
Na ogłodzenie człowieka.

GWINONA.

Rycerze!
Zrąbcie mu głowę z karku, to nie Salmon.

ŚLAZ.

Przysięgam! mości panowie, ja Salmon.

GWINONA.

Salmon zabity był wczora.

ŚLAZ.

Ja wczora
Byłem zabity, do śmierci zabity.
Nie dobywajcie mieczów, mospanowie,
Bo jak mnie teraz zabijecie, to już
Gotówem nigdy nie żyć. Zabijanie
To na raz sztuka; raz mi się udało,
Drugi raz może mi się już nie uda
Chodzić po śmierci.

LECH.

Cóż więc? jesteś duchem.

ŚLAZ.

Schowajcie miecze a powiem czém jestem.

LECH.

Jeśliś nie Salmon, to śmierć!

ŚLAZ.

Jestem Salmon.

LECH.

Więc mów jak Salmon.

ŚLAZ.

Otóż to jest sztuka
Mówić jak Salmon zaczarowanemu.

LECH.

Któż to na ciebie rzucił takie czary?

ŚLAZ.

Kto? Wczoraj martwy leżałem na polu;
Wtem jakaś wiedźma, co paliła trupy,
Przyszła i wzięła mię za nogi; to nic,

Ja byłem martwy, nie mówiłem słowa;
Aż mię ta straszna olbrzymka dla tego,
Że byłem martwy, chciała rzucić w ogień;
Więc ja zacząłem krzyczeć... więc ta wiedźma
Puściła moje nogi, więc ja wstałem —
Więc ona gniewna, że ja nie umarłem,
Zaczarowała mnie: wyjęła oczy
I dała inne oczy na pamiątkę,
Oczy wydarte z kota, szare, kocie,
Przez które zaraz zobaczyłem w nocy,
Że mi już także nosa odmieniła,
I bocianowi wziąwszy dziób, przypięła
Do mojéj twarzy, pomiędzy oczyma;
Więc zaraz, wstydząc się takiego nosa,
Spuściłem na nos przyłbicę... więc potem
Chciałem odemknąć, aż moja przyłbica
Nie chciała; i tak — szlachetni rycerze,
Jeżeli teraz chcecie się przekonać,
Jak ja okropnie jestem odmieniony
Czarami wiedźmy téj, to z łaski waszéj
Przyłbicę mi tę otwórzcie.

GWINONA, otwierając hełm Ślaza.

O nieba!

ŚLAZ.

No, cóż? i jakże wy mnie znajdujecie?

GWINONA.

Straszydło chude!

ŚLAZ.

Co chude, to chude!
Mój pan już na mnie został anatomem.

GWINONA.

O jakim panu ty mówisz?

ŚLAZ.

O jakim?
O Panu Bogu.

LECH

Ale ci ta wiedźma
Mężnego serca nie zaczarowała?

ŚLAZ.

Serca? to byłoby już bez potrzeby
Czarować serce; i cóż? — czy nie dosyć
Takiego nosa?

LECH.

Tyś był najpiękniejszy
Z moich rycerzy, dziś brzydki straszliwie.

ŚLAZ.

Tylko mi dajcie jeść a obaczycie,
Że jak utyję, to nie będę szpetnym.

LECH.

Oby ci pierwszą Bóg przywrócił postać.

Wychodzą wszyscy prócz Gwinony.

GWINONA.

To jakiś oszust w Salmona zbroicy.
O! jak rycerze są ci łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka;
A choć szychową nić zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć kłębka; jedni przez lenistwo,
Drudzy widzący w tym może pożytek,
Albo zabawę: i tak oszukani
Potem przez dobroć rosnąć pozwalają
Fałszu krzewinie, wstydząc się za ludzi,
Którzy się wstydzić powinni. O! głupi
Lud z rąk rycerskich i z głów nie myślących;
Któremu chciałabym wlać moję twardość,
Inaczéj... pierwsza burza... a już po nich.
Pokażę im myśl skierowaną wiecznie
Jako sztyletu ostrze w serce wroga;
Pokażę, co to jest kobieca wola,
Jaka głuchota na postronne jęki,
Jakie wlepienie oczu w samo łono
Raz przedsięwziętéj rzeczy być powinno.
Jeśli niczego nie nauczę — biada!

Wychodzi.

SCENA III.

Pole przy lesie.

LILLA WENEDA. LELUM i POLELUM w łańcuchach.

LILLA WENEDA.

Wolni jesteście. Niech Róża Weneda
Rozerwie wam te na rękach łańcuchy,

A ja do ojca idę niewolnika.
Za trzy dni ojca wam żywego wrócę.
Lelum, ja byłam twoją narzeczoną,
Dziś jestem smutnéj śmierci narzeczoną,
I może więcéj nigdy nie powrócę,
I może nigdy się nie zobaczymy.
Pamiętaj o mnie, o! pamiętaj o mnie!
Ja cię kochałam jako siostra twoja,
Ja cię kochałam jak wierna kochanka,
Dzisiaj cię kocham jak ta, co ma umrzeć.
Pamiętasz, jak my dziećmi maleńkimi
Z obu stron ojca harfy uklęknieni,
Przez złote struny dawaliśmy sobie
Pocałowania; dziwiąc się, że każdy
Nasz pocałunek strun się kończył jękiem;
Była to dziwna losu przepowiednia!
Cóż teraz myślisz o tym harfy jęku?

LELUM.

Jeżeli śmierci masz wczesnéj przeczucie,
Chodź, przedśmiertelne weź pocałowanie.

LILLA WENEDA.

Harfa naszego ojca jest w niewoli,
A ja nie jestem jeszcze zaślubioną,
Ust moich ci dać nie mogę płonących.

LELUM.

Więc rozpuść, Lillo, twoje złote włosy,
Schowaj się za nie, jako za strunami
Harfy ojcowskiéj... niechaj przez warkocze
Twych koralowych ust dotknę ustami...

LILLA WENEDA.

O! nie, jak prosty gołąb ja się rzucę
Na wasze łono... kochajcie mnie, bracia,
Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno...
Lecz to zwyczajna powieść — bądźcie zdrowi.
Jeśli zapyta o mnie jakie echo,
Mówcie: umarła.

Odchodzi.

LELUM.

Bracie mój! słyszałeś?
Ona ma umrzeć...

POLELUM.

Całe piekło we mnie.
Nie więcéj czułem, gdy topór okropny
Kręciłem w ręku przeciw ojca głowie,
Jak teraz, słysząc wasze szczebiotanie,
Dzieci niedoli. Nie martw się, za trzy dni
Wszyscy będziemy niczém.

LELUM.

O! Polelum,
Ty po mnie zostaniesz.

POLELUM.

Po tobie?

LELUM.

Dla tego ciebie tak nazwała wróżka:
Gdy Lelum skona, żyć będziesz po Lelum.

POLELUM.

Ja zadam kłamstwo wróżbie... ja nie będę
Z waszymi groby żył w kraju niewoli.
Świadczę się tobą, słońce, jeśli kiedy
Ujrzysz mnie żywym na brata kurhanie,
To natęż tak twe oczy, światła Boże,
Aż mi zapalisz włos na téj bezwstydnéj
Głowie, co mogła wszystko, wszystkich przeżyć.
Próżno los wróży, że będę ostatnim,
Ostatnią tu będzie jaka kobieta,
Albo rzecz jaka żywa jeszcze słabsza,
Monstrum, któremu Bóg nie dał w rozpaczy
Władzy skonania — to będzie ostatniém.
Słońce zapłoni się, jakby zhańbione,
Że nie ma komu świecić, tylko gadom
I tym, co umrzeć jak ludzie nie śmieli.
Chodź! wróżka powie nam jak mamy skonać.

Wychodzą.

SCENA IV.

Sala w zamku Lecha.

GWINONA, RYCERZE, LECH.

GWINONA.

Tak być nie może, nie, tak być nie może.
Z tym starcem trzeba skończyć... przyprowadźcie

Króla Derwida i z mego pokoju
Przynieście harfę. Klnę się wam na duszę,
Że ta dziewczyna cierpi pomięszanie;
Lub pomięszanie cierpi lub fałszywa;
A w jéj białości tyle jest kolorów
Jak na szyi gołębia... harfiarka!
Dumna, że czoło mi stawi... żebraczka!
Otóż mój człowiek.

DERWID wprowadzony przez rycerzy staje przed królową. przy nim stawiają harfę.

Postawcie go tutaj,
Bliżéj, przy harfie postawcie. Człowieku!
Widzisz, że wolę mam żelazną... słuchaj!
Błysnął ci topór synowski nad głową,
Ale miał litość nad tobą i synem
I tylko trochę urąbał warkocza,
A głowę dla mnie zostawił nietkniętą...
Widzę w tém jednak czarodziejską sprawę;
Topory wasze muszą mieć na ostrzu
Synowskie oczy; harfy, córek serca;
Ta harfa twoja dzisiaj postawiona
Przy łożu mojém o każdéj godzinie
Nocnéj budziła mię jękiem bolesnym,
Choć nawet wicher nocy ją nie trącił,
Ani się ciche dotknęły motyle.
Naucz mnie twego czarodziejstwa, powiedz,
Jak wy nieżywe rzeczy czarujecie?
A z córki twojéj uczynię królewną,
Synowi memu starszemu zaślubię,
Ty będziesz teściem królewica. I cóż?

DERWID.

Harfa jęczała!... co mówisz, jęczała?...
Przy tobie stojąc jęczała?

GWINONA.

Cóż, starcze?

DERWID.

Kto słyszał harfy jęk, we trzy dni skona.

GWINONA.

Szalony starzec! śmiercią mi zagraża.

DERWID.

Ty, ty za trzy dni umrzesz.

GWINONA.

Ha?

DERWID.

Słyszałaś.

GWINONA

Nędzarzu!

DERWID.

Trumno!

GWINONA.

Nieszczęsny!

DERWID.

Śmiertelna!

GWINONA.

Mój niewolniku!

DERWID.

Królowo trzydniowa!

GWINONA

Umarły!

DERWID.

Jak pies zachrzypłaś od krzyku.

GWINONA.

Śliny mam dosyć...

Plwa na starca.

DERWID.

O! Bogi! o! Bogi!
Dajcie mi oczy moje, będę płakał...

GWINONA.

Ha! zczerwieniła ci się twarz, harfiarzu.

DERWID.

Tyś mię oplwała krwią.

GWINONA.

Patrzcie, rycerze,
Ten człowiek królem był!

DERWID.

Patrzcie, rycerze,
Oto gadzina ta była kobietą!

GWINONA.

Człowiek ten kiedyś miał szacunek ludzki.

DERWID.

I ta kobieta miała niegdyś ojca...

GWINONA.

Proś w mego ojca imię, toć przebaczę.

DERWID.

W imię cię ojca potępiam, przeklinam,
I Bogom daję piekielnym za trzy dni...

GWINONA.

Za to, żem ciebie zabiła?

DERWID.

Że dręczysz.

GWINONA.

Ha! więc ty czujesz?

DERWID.

Ha! więc ty się cieszysz?

GWINONA.

Już nacieszyłam się, teraz zabiję.

DERWID.

Ukąsisz tylko i umrę z wścieklizny.

GWINONA.

Lękasz się mego zęba?

DERWID.

Nie, choroby.

GWINONA.

Rycerze, proszę, zlitujcie się nad nim.
To człowiek biedny... to człowiek szalony.
Harfiarzu, klęknij!

DERWID.

Rzuć tu na podłogę
Twe czarne serce, pod moje kolana.

GWINONA.

Nudzi mię kłótniarz ten... Daj mu policzek.

DERWID.

Stój! splamisz ręce, ja mam twarz oplwaną.

GWINONA.

Cóż to, ja sama mam bić tego króla?
Masz!

Uderza go.

DERWID.

Nikczemnico! niech cię Bóg obali.
O! serce moje! o!

Mdleje.

GWINONA.

Wynieście trupa
I rzućcie wężom.

Rycerze wynoszą Derwida.

Gryfie! ty dopilnuj,
Niech do wężowéj wieży rzucą starca.

GRYF wychodzi

Głupie, bez serca rycerstwo patrzało,
Gdy we mnie wzbierał gniew; kiedym ja wrzała,
To stali cicho, jak uliczne chłopcy,
Sykaniem szczwając psa mojego gniewu.
Milczeli wszyscy. Gdyby tylko jeden
Na starca słowem uderzył gryzącém
I méj bezsilnéj kobiecéj wściekłości
Przyszedł z pomocą, byłabym ostygła.
Lecz nie, milczeli; a jam się rzucała
W przepaść wściekłości, rozkoronowana,
Znienawidzona i nienawidząca;
Z całego serca ich nienawidząca.

LILLA WENEDA wchodzi.

LILLA WENEDA.

Pani! gdzie ojca mego niosą?

GWINONA.

Na śmierć.

LILLA WENEDA.

Powiedz, na jaką śmierć ty go skazałaś?

GWINONA.

Kazałam rzucić na pożarcie wężom.

LILLA WENEDA.

Wężom?!

GWINONA.

Spojrzałam wczoraj w jednę wieżę,
Która przy zamku stoi zrujnowana;
Spojrzałam: z gadzin okropne powoje
Błyszczące, pełne ślin, pną się na ściany;
A w głębokości gniazda wężów leżą,
Błyskają oczy, wiją się ogony,
I ciągły słychać świst, sykanie, gwary,
Jak w garnku wrącym. Tam, w ciemność okropną,
W tę sykającą ciemność, w to wężowe
Błoto, w ten straszny ul kazałam rzucić
Twojego ojca.

LILLA WENEDA.

O! Boże! o Boże!
Mój ojciec wężom jest rzucony głodnym!
Węże nie będą mieć nad nim litości!
O! więc mi skonać!

GWINONA.

I cóż, gołębico?
Żadnego teraz ratunku, wybiegu,
Tu nie pomoże topór twego brata,
Tu nie pomogą twoje łzy... pożarty
I rozszarpany między gadzinami
Twój stary ojciec.

LILLA WENEDA.

Ta harfa go zbawi.

Chwyta za harfę i wybiega.

GWINONA.

Harfa... Idź z Bogiem, waryatko smętna,
Czegoż dokażesz harfą uzbrojona
Przeciwko zemście wężów i kobiety?

Wychodzi.

SCENA V.

Sala taż sama. — LECH i SYGOŃ wchodzą.

LECH.

Sygonie, człowiek ten nie jest Salmonem.
Przy uczcie jeden mu dał w łeb talerzem:

Ten człowiek, widząc krew cieknącą z czoła,
Zawołał: octu! — Gdyby to był Salmon,
Byłby zawołał: szabli. Wiesz, co myślę?
Już postawiłem go na straży w bramie,
Zmieniwszy zbroję, razem nań wpadniemy;
Jeżeli, zamiast bronić się jak Salmon,
Będzie o życie błagał na kolanach,
Każę go jak psa powiesić i ćwiczyć.

GONIEC wchodzi.

GONIEC.

Lechu! nowiny są okropne z pola.
Wenedy znów się rzucają do broni.
Lechon, najstarszy twój syn, zostawiony
Na drugiéj stronie Gopła ze stu ludźmi,
Wzięty w niewolę.

LECH.

Nie mówić Gwinonie!
Ona miłuje bardzo tego syna.
Każ ostrzyć miecze i naprawiać tarcze,
W ostatniéj walce dzidami pokłute...
To dobrze, mój Sygonie. Bój zaczęty...
O! syn mój biedny!... Ale te psy wściekłe
Nie będą śmieli jeńca zamordować?
Nie mówić tylko nic o tém Gwinonie,
Syna odbiję, nim się ona dowie.

GONIEC.

Różne biegają straszne przepowiednie
O przyszłéj walce między Wenedami;
Wszystkie te wróżby sieje czarownica
Młoda i piękna, co na łysej górze
Ma wykopany loch, podobny gniazdom
Rzecznych jaskółek.

LECH

Cóż za wróżby, powiedz?

GONIEC.

Mówią, że wódz ich będzie miał dwie głowy,
Dwa serca, oczu czworo płomienistych,
Lecz jeden tylko oszczep, jednę tarczę.

LECH.

Na Boga! ja mu odetnę dwie głowy,
Ja mu rozrąbię tą szablą dwa serca;
Lepiéjby wyszli, gdyby miał dwie tarcze
I dwa oszczepy, a mózg tylko jeden.

GONIEC.

Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno.

GONIEC.

Ta czarownica z góry zapowiada,
Że po téj walce, martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie...
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy,
I wódz ten z dwoma głowami i mściciciel.
Dosyć! już ciemno, dosyć już tych bredni!
Bić się będziemy i to jest najlepsza...
Chodźmy Salmona wypróbować męstwo.

Wychodzą.

SCENA VI.

Dziedziniec w zamku LECHA.

ŚLAZ przy bramie. — Noc.

Trzeba Salmoństwo to skończyć... dalibóg!
Salmoństwo moje bardzo niebezpieczne
I różnych rzeczy wymaga; naprzykład:
Odwagi. Gdybym wiedział, że ze zbroją
Spadają na mnie takie obligacye,
Byłbym nie tykał jéj... ani tych rzeczy,
Które rycerza są... Co widzę? Chryste!
Pan mój dawniejszy prosto w bramę dąży.
Wyda się kłamstwo... po radę do głowy...

Słychać stukanie do drzwi. — Ślaz otwiera drzwi i ujrzawszy ŚWIĘTEGO GWALBERTA zatrzymuje go halabardą u wejścia.

Ktoś ty?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Domowi temu niosę pokój.

ŚLAZ.

A więc nie wejdziesz, my żyjemy z wojny.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Puść mię do Lecha, puść, mężny rycerzu,
Niech cię *Spiritus Sanctus*... O! pohańcze!
Mówię ci, puść mię, bo ci spadnie głowa.
Ty się wielkiemu sprzeciwiasz cudowi;
Dziś nad jeziorem, równa gołębiowi
Białością, cała powietrzem tęczowa,
Z gwiazdy sinymi, matka Chrystusowa
Pokazała się — ukląkłem a ona:
Idź, bo stary Derwid kona,
Córka jego, mój gołąbek,
Z bolu umiera.
Tak mówiąc, w tęczy się rąbek
Owinęła postać święta,
I uniosła ją anielska sfera
Z tęczą, z gwiazdami, z tysiącem promieni.

ŚLAZ.

Czemuś nie nabrał tych gwiazd do kieszeni,
Mógłbyś zapłacić teraz odźwiernemu.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Zapłacić? święci nie płacą.

ŚLAZ.

Czemu?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Bóg daje wszystko temu, kto jest z Bogiem.
Ale nie trzymaj mnie przed zamku progiem,
Twój upor sługę mego przypomina.

ŚLAZ.

Co to za człowiek był?

ŚWIĘTY GWALBERT.

At, łajdaczyna!

ŚLAZ.

Gdzież jest?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Już teraz dyabeł wziął do piekła.

ŚLAZ.

Już w piekle?

ŚWIĘTY GWALBERT.

W piekle.

ŚLAZ.

Hum... dobra nowina.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Miałem łajdaka sługę, skradł mi wszystko
I spalił czaszkę wielkiego olbrzyma,
Z któréj ja sobie uczyniłem celę:
Tak, że w téj czaszce, gdzie niegdyś mieszkały
Bogi Walhalli, teraz się świeciła
Czystość dziewicza w gwiaździstéj koronie
I odzywała się czysta modlitwa.

ŚLAZ.

To jakiś sługa niewierny!

ŚWIĘTY GWALBERT.

Bies sługa!
Teraz ja myślę, że to sam Lucyfer
Podjął się u mnie służby i oszukał.
Lecz nie przełamie dyabeł mocy Boga,
Ani piekielne pokusy przemogą.
Jeżeli jeszcze ten dyabeł bezwstydny
Jest w ludzkiéj skórze, to pod dyscypliną...
Lecz zdaje mi się, że to nie był dyabeł,
Rycerzu, on był na dyabła za głupi.

ŚLAZ, na stronie.

Wolałbym, żeby trzymał się był o mnie
Pierwszéj opinii. Ach! Ach! myśl szczęśliwa!
Przemienię tego siwosza w Salmona.

Głośno.

Chodź tu, staruszku święty!

ŚWIĘTY GWALBERT.

Dzięki Bogu,
Poganin zaczął już przezierać w światło.
Nazwał mię świętym, do chrztu niedaleko.

ŚLAZ, na stronie.

Ja ciebie ochrzczę, dalibóg, że ochrzczę!
Usalmonuję ciebie.

Głośno.

Przewielebny,
Już noc, Lech teraz śpi.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Pokaż mi drogę,
Ja go obudzę.

ŚLAZ.

Pomyśl! to lew srogi,
Gotów się rzucić na ciebie i pożrzeć.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Więc mi to będzie wieniec męczennika.

ŚLAZ.

Staruszku, ty masz oczy bazyliszka
W świętym czerepie, mnie oczarowałeś.
Już gotów jestem zaraz zejść ze straży,
Choć za to można jak nic zgubić głowę,
Lecz na usługi twoje jestem gotów.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Uczyń to, uczyń, a nagroda w niebie.

ŚLAZ.

Więc mi oddadzą w niebie moję głowę?
Ja wcale innéj nie żądam nagrody,
Ja moję głowę bardzo kocham, cenię;
Jeśli przyrzekasz, że jak głowę stracę,
To ją odzyskam, pójdę budzić Lecha.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Przeczuwasz prawie święte pismo boże.
Kto tutaj, mówi Chrystus, straci duszę,
A straci dla mnie, to duszę swą zyska.

ŚLAZ.

Ale nic Chrystus nie mówi o głowie?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Głowa jest niczém, gdzie chodzi o duszę.

ŚLAZ.

Kiedy nic Chrystus nie mówi o głowie,
To dla mnie wcale nie ma bezpieczeństwa,
Ja wolę głowę niż duszę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Nędzniku!
Ja ci dowiodę, że światowe szczęście...

ŚLAZ.

Ty mi dowodzisz a twój Derwid ginie.
Lepiéj - że moję zbroję weź ua siebie
I postój za mnie na straży przy bramie,
To pójdę Lecha obudzę i wrócę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Rycerzu, daj mi zbroję i zbudź Lecha.

ŚLAZ.

Stój-że tu stary, dzida w ręce prawéj
Przeciwko wrogom, tak... hełm na łysinę.

Na stronie.

A teraz-że mu zamknąłem przyłbicę.
Jeśli otworzy, będzie mądry.

Głośno.

Stój tu...
Jeśli spytając: Kto? odpowiedz: Salmon.
Ja jestem Salmon... Za chwilę powrócę.

Wykrada się za bramę zamku i ucieka.

ŚWIĘTY GWALBERT w zbroi, chodząc wielkim krokiem.

Więc że to, Boże, i w rycerskim stanie
Dobrzy są ludzie, dobrzy, choć poganie.
Otóż włożyłem rycerską kolczugę,
Najwiętsza Panno, patrz na twego sługę.
Oto jak rycerz z pod twojego znaku,
Jak nowy olbrzym Gedeon w szyszaku,
Trąbą mi teraz tylko walić mury
I piorunować grzeszniki i króle.
Cóż to za zbrojni ludzie z latarniami?

LECH i SYGOŃ, z latarniami, zbrojno.

LECH.

Tu był na straży Salmon.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Jestem Salmon.

LECH.

Sygonie, patrzaj na tego człowieka.
Jeśli to Salmon, to się znów odmienił.

To jakiś możny jest czarownik. Mówisz,
Że jesteś Salmon; Salmon straci głowę,
Jeśli się wyda, że nie jesteś Salmon.

ŚWIĘTY GWALBERT.

O! nieba... jestem Salmon.

LECH,

Patrz no, Sygoń,
Włos mu wygląda siwy z pod szyszaka,
Króciutkie nogi w łapciach z pod puklerza,
To jakiś możny dyabeł, możny dyabeł.
O! czarowniku, jeżeliś ty Salmon,
Po śmierci w ciało ubrany dyabelskie,
To na kawałki potnę twoje ciało,
Aż dusza twoja w ogniu gorejąca
Nie będzie miała w co się ubrać... broń się!

Napada z mieczem.

ŚWIĘTY GWALBERT.

O! panie! ja nie Salmon!

LECH.

Któż ty taki?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Nazywają mnie powszechnie Gwalbertem,
Świętym Gwalbertem. Otwórzcie przyłbicę,
Bo ja nie umiem téj klatki otworzyć.

LECH.

To tak jak tamten. Wymówka ta sama.
Nędzniku, wziąłeś na się inną postać;
Przebiegły jesteś... włos ci czarny zbielał;
Jam ciebie chudym widział przed godziną,
Teraz żołądek masz pełny, i może
Płonących węgli masz pełny żołądek.
Na Boga! czarów nie będę igraszką.
Do mnie, rycerze.

Klaszcze, wchodzi kilku rycerzy.

Weźcie tego dyabła.
Sygoń, niech rzucą go wężom, do wieży.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Święta Maryo! broń twojego sługi.

Żołnierstwo wynosi ŚWIĘTEGO GWALBERTA, który krzyczy i wyrywa się. SYGOŃ wychodzi za nimi. Na krzyk starca wbiega GWINONA.

GWINONA.

Co to jest za zgiełk? co to są za krzyki?

LECH.

Kazałem wężom rzucić czarownika.
Ten Salmon, żono, to był zły duch mocny.

GWINONA.

Węże niegłodne, dziś jadły człowieka.

SYGOŃ wraca.

LECH.

Sygonie! cóż to, powróciłeś blady?

SYGOŃ.

Panie! powracam z nad wężowéj wieży.

GWINONA.

I tam widziałeś poszarpane członki
Człowieka w paszczy wężowéj trzeszczące?
I tam słyszałeś gadzin smętne świsty?
I tam widziałeś jęczącą dziewczynę,
Która nad straszną wieżą nachylona,
Jak słowik, gdy się na węża zapatrzy,
Skrzydełek tylko lekkiém trzepotaniem
Okazywała strach?

SYGOŃ.

Ja tam widziałem
Rzecz, która ludzkie przechodzi umysły.
Przy wieży biała księżycem dziewica
Siedzi, na harfie grająca; a przy niéj
W krąg stoją węże tak wyprostowane,
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną;
Ona te węże czarodziejską pieśnią
Zaczarowane trzyma i spokojne;
Ale już widać, że jéj białe ręce
Mdleją na strunach, że się pieśń zakończy
Z życiem harfiarki w głodnych wężów paszczy.

GWINONA.

Więc wieża, gdzie ten stary człowiek?...

SYGOŃ.

Pusta.

Spoczywa w głębi i śpi Derwid stary.

Bo wszystkie węże, pieśnią wywabione,
Są słuchaczami córki.

GWINONA.

Zwyciężyła!
Dobądźcie z wieży starego Derwida.
O! głupie węże! o! przeklęte gady!
Córce odebrać harfę i wypędzić.
Derwida zamknąć w podziemne ciemnice;
Czego nie zrobił wąż, dokażę głodem.
Czy go nakarmi córka, zobaczycie.

SYGOŃ.

A z tym Salmonem co zrobić?

LECH.

Zamknąć go
W jedném więzieniu z Derwidem... zamorzyć;
Oba są warci zgonu czarownicy.

Wychodzą.

CHÓR DWUNASTU HARFIARZY.

O! święta ziemio polska! arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lała.
W przeszłości słychać dźwięk téj harfy cudu,
Co wężom dała łzy i serca dała.
Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci zdala,
Będziecież wy jak węże stać i słuchać?
Będziecież wy jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu
I znów się staną z was pełznące węże?
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych jak wy serc się hańba lęże?
Już czas wam wstać!
Już czas wam wstać i bić i truć oręże.

*

Akt IV.

SCENA I.

Sala w zamku LECHA.

LECH, GWINONA, GRYF. Wchodzi LILLA WENEDA.

LILLA WENEDA.

W niezawiązanéj przychodzę koszuli,
Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie,
Lecz wy mnie puśćcie do ojca mojego,
Który od dwóch dni jest morzony głodem.
Ja go zobaczyć chcę tylko przed śmiercią,
Jam go nie mogła zbawić, więc pożegnam.
Dla tego głowę ubrałam w lilije,
W te wodne kwiaty, które u nas kładną
Dziewicom zmarłym na ostygłe czoła.
O! Pani! spuść ty ze swojéj srogości!
Ja biedna, zimne węże rozczuliłam,
I tak się do mnie gady przywiązały,
Że za mną cały kłębek biegł i syczał,
Jak pies wyjący smutnie z przywiązania.
I cóż ja winna, że węże wolały
Słuchać méj pieśni niż mojego płaczu?
A żem ja węże zimne rozczuliła,
Dla czegoż w tobie powiększyłam srogość?
Czy ty zazdrościsz mi, pani, zwycięstwa,
Które mi ojca mego wybawiło?
O! jeśli tak jest, to weź go za ojca,
A ja go będę na śmierć skazywała,
A ty go będziesz bronić — i zwyciężysz,
Bo ten zwycięża tu, kto broni.
Lecz nie, ja teraz jestem zwyciężoną,
Mój ojciec pewnie już od głodu skonał;
A ja chcę tylko widzieć jego ciało,
W czoło chcę tylko pocałować zimne,
Powiedzieć jego głuchemu trupowi,
Że go nie mogłam zbawić, lecz kochałam.
O! patrz! koszula moja niezwiązana,
Nie niosę chleba, ani żadnéj strawy;
Może się boisz, że jak drzwi otworzę,
To wleci za mną jaka muszka złota

I ten ją starzec zje?... O! pani moja,
Bóg muchy strzeże od śmierci... ta muszka
Będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi.
Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo,
I nikt się o mnie biedną nie upomni.
O! proszę ja was, każcie wy mnie wpuścić
Do mego ojca głodnego.

LECH.

Gwinona,
Na Boga, te łzy miecz mi rozhartują.

GWINONA.

I ty jéj wierzysz? to są łzy zmyślone,
Ona dwa razy tak płakała głośno,
Za te trzy płacze, ona się trzy razy
Odśmieje ze mnie, jeśli ojca zbawi.

LECH.

I cóż ci ludzki śmiech, Gwinono, szkodzi?

GWINONA.

Lechu! śmiech ludzki jest zabójczą bronią;
Więcéj on strącił koron z głów posępnych,
Niż ci się zdaje; o! śmiech to gadzina,
Która się w sercu wyśmianego kryje
I tam go kąsa, kąsa, do krwi kąsa,
Aż wreszcie siły w człowieku omdleją
I powie sobie: jestem zwyciężony.
Śmiech nas pozbawia zaufania w sobie
I rodzi niemoc; ja znam takich ludzi,
Z których się żaden żywy śmiać nie waży;
Ci ludzie mają królestwo nad tymi,
Którzy są śmiechu ludzkiego poddani.

LILLA WENEDA.

Królowo! czegoż ty się teraz boisz?
Czy tu są tacy, co wyśmieją litość?
Widziałam w twoim sypialnym pokoju
Okno, którego nigdy nie zamykasz,
Bo w niém jaskółka uwinęła gniazdo:
Więc ty masz litość: a czy kto się śmieje,
Że ty masz litość nad jaskołką? Pani!
Więc ja znalazłam w twojém sercu litość!
Trzebaż być jeszcze, jeszcze nieszczęśliwszą,
Ażebyś ty się, pani, zlitowała?

Więc każ mi wydrzeć te spłakane oczy,
A potem zlituj się nademną ślepą
I każ mnie wpuścić do ojca ślepego.
O! proszę! proszę! każ mi wydrzeć oczy.

GWINONA.

Smutny to żebrak, co grosz wydrze nudą.

LILLA WENEDA.

O! będę nudzić, nudzić, aż zezwolisz.

GWINONA.

Gryfie, każ wpuścić ją do téj ciemnicy,
Gdzie siedzi ojciec jéj morzony głodem.

LILLA WENEDA i GRYF wychodzą.

Lechu! na twoję to zrobiłam prośbę.
Cóż mi tak smutny stoisz i ponury?

LECH.

Gwinono, syn nasz w niewoli.

GWINONA.

W niewoli?
Mój syn w niewoli? mój Lechon w niewoli?
Nie... ty mię straszysz... Nie wiesz sam, co mówisz.
On mi się dzisiaj śnił... O! Boże! Boże!
Na syna mego zgubę pracowałam.
Syn u Wenedów, Lechon u Wenedów!
Lechon... on nie ma takiéj córki!

LECH.

Żono!
Ja go odbiję.

GWINONA.

Trupa ty odbijesz!
O! Lechu, na koń! na koń! na koń, Lechu!
Wszyscy rycerze! zbierz wszystkich rycerzy!
Jeśli wrócicie żywi bez Lechona,
Ja się zabiję... będę plwała w oczy!
Ja się zabiję... Cóż wy tchórze? na koń!

Wybiega.

LECH.

Niech się wykrzyczy, krzyk nic nie pomoże,
Dziś za mego Lechona stu trupem położę.

Wychodzi.

SCENA II.

Błonie.

ŚLAZ wchodzi.

Moja nieboszczka matula mówiła,
Że kłamstwem wyjdę na pana — to kłamstwo,
Co mi matula mówiła o kłamstwie —
Ergo: jeżeli więc mówiła kłamstwo,
Powinna była zrobić tém fortunę:
Umarła goła jak Lazarus, a ja
Ledwom się kłamstwem nie usalmonował
Na wieki wieków; to szczęście, że jakoś
Mojego pana zrobiwszy Salmonem,
(Niechaj mu światło wiekuiste świeci!)
Uciekłem z zamku i dobrze się stało.
Gwalbertus, mój pan, został męczennikiem
I pod imieniem świętego Salmona
Króluje w niebie, więc dobrze się stało.
Lecz to jest kwestya... quomodo uniknąć
Głodu na puszczy i zrobić fortunę?
Już próbowałem chrześciańskiéj paszy,
Już próbowałem rycerskiego chleba,
I zawsze chudy jak słomka... więc ergo,
Pan Ślaz niech rusza prosto do Wenedów —
W jakim kolorze? W kolorze Wenedów.
Jako szpieg? a fuj — nie szpieg, lecz nowiniarz.
Zemsty nowiniarz, blekotnik nowiniarz;
Człowiek ognistéj mowy, krwawych zębów
I czerwonego języka.. więc ergo,
Gdy zapytają: czy widziałeś Lecha?
Widziałem; a co robi?... Gdym go widział,
To jadł Weneda z solą. A Gwinona?
Gwinona we krwi się dziatek kąpała.
A cóż się stało z naszym starym królem?
A ja pokażę tak: język wywalę
I zamknę oczy: wasz król est finitus.
A jego córka? A ja łzy jak z wiadra
Popuszczę na to i nic nie odpowiem,
Albo odpowiem jakie nowe kłamstwo,
Takie żałosne kłamstwo, że uwierzą
I jeść mi dadzą... za to, żem się spłakał.

Wychodzi.

SCENA II.

Sala w zamku LECHA.

LECH, GWINONA, RYCERZE.

LECH.

Na Boga! bądźże cierpliwą! na Boga!
Mój oddział jeszcze z podjazdu nie wrócił.

GWINONA.

Ty gadasz! a tam mój syn roztargany?
O! straszna! głupia jest cierpliwość twoja!
Jak nienawidzę w ludziach cierpliwości!
Często im wcale czekać nie potrzeba,
Ale dla tego, że ktoś prosi: *śpiesz się*,
To oni różne wynajdują zwłoki,
Aby pokazać wyższość i rozwagę,
I nad palącém się sercem panować.
Lechu! czy wiesz ty, ile chwil potrzeba,
Aby zabito bezbronnego jeńca?
Dziwna cierpliwość! okropna cierpliwość!
O! Lechu, jeśli mój syn biedny zginie,
To w dzień i w nocy będę ci krzyczała:
Tyś syna twego zabił cierpliwością!
Ja wtenczas będę w wyrzutach cierpliwą,
Cierpliwie będę ci kąsała serce;
We mnie ty zbrzydzisz cierpliwość... o! kacie,
O! kacie twego nieszczęsnego syna!
Ach! Boże, daj co gryść mojemu sercu,
Bo jabym teraz serce męża gryzła.
Ja wiem, co powiem: Lechu! jesteś tchórzem!

LECH.

Tchórzem nie jestem.

GWINONA.

Więc ojcem nie jesteś!
Czemże ty jesteś?... kawałkiem żelaza?

LECH.

O! tego nadto! nadto!... Ty dotychczas
Byłaś w domostwie samowładną panią.
Jam ci ulegał, bojący się wrzasku,
Ty napełniałaś mój dom okrucieństwem.
Na Boga, już mi to się wreszcie nudzi.
Rycerzy moich garsteczka maleńka,

Podjazdem i te siły rozerwane;
A ci Wenedzi z dwunastu się krain
Zeszli i całe okrywają pole.
Tam są olbrzymie Scyty, co krew piją
W człowieczych czaszkach, wyznawce Odyna;
Tam są Letoni, co na hełmach noszą
Rogi żywemu wyrwane turowi;
Tam jest Mazonów lekkie pokolenie,
Co głowy jako szczygły ubierają
W czerwoną krasę i pomiędzy hełmy
Migocące się niosą pióra pawie;
Nad tymi tłumy dwunastu harfiarzy;
Nad harfiarzami straszna prorokini,
Na samym szczycie ludzkiéj piramidy
Błyskawicami gadająca... a ja
Z rycerzy garstką mam wstąpić w mrowisko?
Ja, co te ludy chcę wyciąć do szczętu?
Nie czekać, aż mi w noc błyskawicową
Z nieba lejące pomogą pioruny?
Szalona jesteś... szalona, kobieto!

GWINONA.

O! widzę, że już ciebie nie przełamię!
Widzę już! widzę mego syna trupem!

LECH.

Syn twój powróci, syn powróci, nie płacz.

GWINONA.

O! jużem ja go teraz opłakała.
O! rozpacz! rozpacz!... o! rozpacz! on skonał.

LILLA WENEDA wchodzi bez wianka liliowego na głowie.

LILLA WENEDA.

Królowo! ojca mego nakarmiłam.
Mój ojciec do mnie należy, królowo!
Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wieńca,
W lilijach było mego ojca życie;
Ja życie ojca przyniosłam na głowie,
Jego zbawieniem ukoronowana.
Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda;
Lilije wodne nas od głodu bronią,
Ilekroć zboże roku nie dotrzyma.
Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały

Zdziecinniałemu będzie piersią matki,
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękował za córkę i kwiaty.
O! teraz ojciec mój!... jam go zbawiła.
Lechu, słyszałeś, jaki był warunek?
Nie pozwól, królu, żonie łamać wiary.

GWINONA.

Patrz! patrz! patrz! ona ojca wybawiła
I tu mię przyszła zagłuszyć radością;
A kiedy ona mówiła o ojcu,
To ja nieszczęsna myślałam o synie;
A kiedy ona lała łzy rozpaczy,
To ja nieszczęsna krwią płakałam w sercu.
Weź ojca swego! weź!... ja potrzebuję
Nauczyć teraz was wszystkich litości.
Jabym głaskała ręką wasze tury,
Prosząc o łaskę ich nad moim synem;
Jabym szczepiła wasze kwaśne grusze
Miodem litości... a sosen szumowi
Dałabym matki głos, jęki i prośbę.
O każcie tutaj starca przyprowadzić,
Ja go odeślę ojcem memu dziecku.

Rycerzy kilku wychodzi.

LILLA WENEDA.

Pani! ty dobra jesteś, o! ty dobra.
Już ja nie powiem, żem ojca zbawiła;
Ale, że ty mi dałaś mego ojca.
Obaczysz! jak to serce drży z radości
Temu, kto biednym ludziom dopomoże.

DERWID wchodzi i RYCERZE.

Ojcze, wracamy do nas — ta królowa
Dała mi ciebie. Ojcze, chodź na słońce,
Bądźcie mi zdrowi, królu i królowo,
Chodź, ojcze!... Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!

DERWID.

Córko! a moja harfa?

LILLA WENEDA.

O! królowo!
Widzisz, mój ojciec cały drży z radości.

Aleś ty pewnie, pani, zapomniała,
Że ci nie może dziękować oczyma,
Więc ja za niego leję łzy... i jeszcze
Za ojca mego muszę być natrętną:
Ja ciebie proszę, wróć mu harfę złotą,
Którą mój ojciec miał od swego ojca;
O! wróć mu, pani, tę harfę! o! wróć mu.

GWINONA.

Przynieście harfę, którą ja kazałam
W cedrowéj skrzyni uśpić rozpłakaną.

LILLA WENEDA.

Ojcze, ty harfę mieć będziesz.

DERWID.

Oddała?...

GWINONA na stronie do LECHA.

Widziałeś, Lechu, gdy wspomniał o harfie,
To z jego powiek wybiegły czerwone
Dwie łzy, ogromne łzy, — czy uważałeś?
To były straszne łzy...

LECH.

I cóż, kobieto?

GWINONA.

Co?... nie rozumiesz... Córka albo harfa
Zostanie tutaj zakładnicą... widzisz,
Ten człowiek musi wybrać między dwiema,
A ja w zakładzie wezmę rzecz wybraną:
Rozumiesz? Gdyby nie te łzy czerwone,
Anibym kiedy była pomyślała,
Że tu jest wybór.

LECH

Już widzę, już widzę.

GWINONA.

Milcz.

Do Derwida.

O! Derwidzie, czy Wenedzi macie
Nienasycone serca... Przed godziną,
Wiercony srogim głodem aż do kości
Byłbyś poprzestał na kawałku chleba...
Lecz teraz w miarę łask żądania rosną,
Dałam ci wolność, tyś harfy zażądał...
A otrzymawszy wszystko, będziesz mścił się...

DERWID.

Każ odprowadzić mnie więc do więzienia;
Trupy się nie mszczą.

GWINONA.

O! twardy człowieku,
Nigdyż twe serce przedemną nie zadrży?

DERWID.

Wyjm je i zobacz.

GWINONA.

Ja ci daję wolność...

DERWID.

I chcesz tu z króla uczynić żebraka?
Już mię z postaci masz prawie żebrakiem,
Jeszcze chcesz serca mego żebraniny?
Na moje ciało ty liczysz zgrzybiałe,
Na me kolana ty rachujesz drżące,
Że mnie przed tobą powalą?... Nie, jędzo!
Nie! nie! nie!... Córko, daj mi rękę... Jędzo!
Przed tobą skonam stojąc i zastygnę,
Wtenczas twe dziecko mnie paluszkiem trąci
I padnę... padnę... ale pókim żywy,
To jestem równy tobie... król i człowiek.

GWINONA do wnoszących harfę.

Postawcie przy nim bliżéj harfę złotą,
Niechaj się na niéj oprze ręką drugą.

Stawiają harfę przy Derwidzie. Starzec jednę rękę na harfie, drugą kładzie na głowie córki.

Widzisz, ta harfa równa córce wzrostem;
A gdyś w niewoli był, obie zarówno
Płakały... obie jak córki... o! teraz
Wybierz pomiędzy płaczkami, Derwidzie,
I niech wybrana idzie z tobą w lasy,
A druga córka twoja odrzucona
Ze mną zostanie... i będzie zakładem.

DERWID.

Córko! co ona mówi?

LILLA WENEDA.

Ojcze drogi,
Ta pani harfę ci oddaje złotą.

DERWID.

Tę harfę?

LILLA WENEDA.

Ojcze, harfę.

DERWID.

Już oddała?
To chodźmy, córko.

LILLA WENEDA do GWINONY.

Pani, ja powrócę,
I będę twoją niewolnicą... Ojcze!
Chodźmy już.

GWINONA.

Harfę porzucasz, Derwidzie?...

LILLA WENEDA.

Nie mów tak głośno... jam cię zrozumiała.
Okropną jesteś... zlituj się nademną.
Jeśli mię żywą chcesz mieć, to nie żądaj
Mieć porzuconą przez własnego ojca.
Serce mi pęknie i będziesz tu miała
Trupa nie córkę, o! bo w mojém sercu
Jest tyle złotych strun, jak na téj harfie,
Lecz wszystkie pękną od razu z boleści
Jednym wyrazem ojcowskim stargane...
I nad nim także litość miéj i nad nim!
Proszę cię, sroga, miej i nad nim litość!

GWINONA.

Będziesz li zawsze jak mała ptaszyna
Skrzydełkiem w oczy bić błyszczące węża?
Jeślim wyrzekła... to chcę. Kto mi wzbroni
Spróbować serca ojcowskiego? i tu
Usprawiedliwić siebie, żem je gryzła?
Wytłómacz ojcu sama, czego pragnę.

LILLA WENEDA.

O! nielitosna... Ojcze, ta królowa
Oddaje tobie tylko jedno dziecię.
Ty wybierz sobie dziecko, które śpiewa,
A zostaw dziecko, które tylko płacze...
Ja wiem, że ty mnie kochasz, ojcze drogi,
Lecz nie wybieraj mnie, bo nieszczęśliwy,
Jeżeli zechcesz o nieszczęściu śpiewać,
To znajdziesz we mnie tylko echo płaczu,
A w harfie echo nieśmiertelne. Ojcze,

Wybierz, co kochasz, a to, co odrzucisz,
Kochaj...

DERWID.

Niebiosa!... córko, gdzie ty jesteś?...
Ja kocham moję córkę. O! gołąbku,
Chodź i ślepego prowadź. Córko... prowadź
I wyjdźmy prędzéj stąd... Córko, a harfa?

LILLA WENEDA.

O! harfa skarży się, żeś ją opuścił.

Trąca o struny.

DERWID.

Harfa się skarży na mnie?

LILLA WENEDA.

Ojcze, jęczy.

DERWID.

Jęczy!... Gdzie moja harfa?... czy to mara,
Czy to duch mojéj harfy rozpłakanéj
Stoi przedemną w promieniach; i skrzydła
Roztworzył, jakby z płaczącymi jęki
Już odlatywał do nieba... Ha!...

Lilla znów porusza struny.

I znów.
Słyszycie! harfa jęknęła... słyszycie?
O! dajcie, niech ją obejmę w ramiona!
Dajcie! to córka królów rozpłakana.

Chwyta harfę, obejmuje i ucieka z nią.

Gdzie drzwi?... rycerze, gońcie mnie z mieczami!
O! ja téj harfy nie dam... Harfy nie dam!

Pada piersią na harfie.

LILLA WENEDA.

Widzicie! ręce pokrwawił na strunach.
Wstań, dobry ojcze... O! patrzcie! o patrzcie!
Usta położył na strunach, całuje,
A te niedobre struny i niewdzięczne
Usta mu krwawią... O! struny! o! struny!
Wy nie jesteście córkami... Królowo,
Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli
Myślisz ty, pani, że ja teraz płaczę
Dla tego, że mnie ojciec mój porzucił,
O! bądź przeklęta za tę myśl... To radość

Wyrywa z oczu moich łzy, to radość.
Niechaj nikt ojca mojego nie sądzi.
Dzisiaj karmiony starzec lilijami
Mnie tak całował w usta i we włosy,
I do mnie tak się przytulał rozpacznie,
Jak się do harfy odzyskanéj tuli.
A że ja płaczę, to tylko dla tego,
Że przypominam ojca pocałunki
W ciemném więzieniu... i łzy moje głupie
Pytają same serca, czemu płacze.

GWINONA.

Odedrzeć starca od harfy.

LILLA WENEDA, podnosząc ojca.

Widzicie,
On już łagodny jak baranek.

GWINONA.

Starcze!
Syn mój najstarszy, Lechon, syn mój drogi,
Jest niewolnikiem twoim, a ta harfa
W zakładzie, moją będzie niewolnicą,
Aż mi żywego wrócisz syna.

DERWID.

Harfa?
Ja stąd bez harfy nie wyjdę.

LILLA WENEDA.

O! pani!
Więc jeszcze raz się rzucę na kolana
I będę ciebie prosiła ze łzami,
Oddaj mu harfę, a mnie weź. Czy myślisz,
Że twego syna, jeśli jeszcze żywy,
Ten starzec nie da za córkę? O! pozwól!
Niech tylko mego ojca odprowadzę,
On ślepy... tylko odprowadzę ojca,
A sama wrócę; a że ja powrócę,
To niech ci harfa ta będzie zakładem.
Ale przysięgnij, że za niewolnicę
Królewną harfę wypuścisz z niewoli;
A gdy przysięgniesz, to ja pewnie wrócę.
Bo cóż mi teraz życie! cóż mi życie!
O! ty wiesz sama, że ja pewnie wrócę.

GWINONA.

Jakiż mi zakład z córki niekochanéj?

LECH.

Na Boga! dosyć, Gwinona! już dosyć!
Ta córka warta dziesięciu Lechonów.
Przysięgam, jeśli z Lechonem powróci,
To weźmie harfę, Lechona i moje
Błogosławieństwo; jeśli wróci sama,
To i tak za nią, przysięgam na Bogi!
Oddasz kawałek płaczącego drewna.

GWINONA.

Słyszysz! jak mówi mój mąż, tak się stanie.

LILLA WENEDA.

Dzięki wam! dzięki! — Ojcze, dziś wieczorem
Harfę ci twoję postawię do grania.
Ty wiesz, ja dotąd nigdy nie skłamałam.
A teraz... o! królowie, do widzenia.
Przyjdzie po harfę Lilla niewolnica.
Chodź, dobry ojcze.

DERWID.

A harfa?

LILLA WENEDA.

Ta idzie
Za nami, ojcze.

Do Lecha.

Szlachetny rycerzu!
W twojém więzieniu został smętny starzec,
Także niewinny.

Odchodzi z ojcem

LECH.

Ha... to ten czarownik.
Sygonie, każ go wypuścić na wolność.
W ludziach anielstwa tyle, że nie można
Traktować jak psów... wypuścić go z wieży.
A teraz chodźmy stroić się do walki.

Wychodzi.

GWINONA.

Połóżcie harfę w skrzyni cedrowéj... ta harfa
Dla mnie jest teraz Lechonem... Nie kładźcie
W téj trumnie z drzewa harfy... bo pomyślę,

Że syn mój drogi, Lechon, w trumnie leży;
A jeśli stanie się jakie nieszczęście
Z mojém kochaném dzieckiem, to przypomnę
Tę harfę w trumnie i będę myślała,
Że sama syna położyłam w trumnie.
Natura może stąd wziąść pochop i to
Wtrumnienie harfy strasznie naśladować
Rzeczywistością. — Wynieście ją za mną.
Okropny zachód słońca — i te mury
Zdają się krwawe od promieni. — Gryfie,
Dziś w nocy będzie burza — chmury warczą.
Wy się będziecie dziś bić ostatecznie.

Wychodzą.

SCENA IV.

Grota wróżki, oświecona czerwonym blaskiem.

RÓŻA WENEDA stoi przy otworze groty i do zachodzącego słońca śpiewa runiczną inwokacyą. — DWUNASTU HARFIARZY.

RÓŻA WENEDA.

Do krwi, złote słońce! do krwi, słońce!
Ty, ostatnie słońce, we krwi gaśnij!
Tu na walkę, wrony! kruki! orły!
Tu na walkę, psy wyjące smutnie!
Tu na walkę, chmury z piorunami!
Tu, szumiące wichry!... słońce, gaśnij!
Kruki! orły! wichry i pioruny,
Dajcie hasło! chmury, dajcie hasło!

Słychać daleki grom

HARFIARZ

Grom usłyszał i odzywa się głucho.

RÓŻA WENEDA.

Do mnie! do mnie! do mnie! tu, pioruny!
Tu, nad głową moją jako wieniec.
Niech ja mściwa z was mam włos — pioruny!
Kiedy wyjdę z groty w krew rozlaną,
Gdy za ojca mego stanę tronem,
Słuchająca jęków i czerwona
W krwi wyziewach, w koronie z błyskawic.

HARFIARZ.

Cóż ci mówią wróżby? cóż wyrzekły?

RÓŻA WENEDA.

Człek na człeka jak pies pójdzie wściekły.
Grom czerwony się gryść będzie z błękitnym.
Krew poniesie z sobą tron Derwida
I król będzie płynął z harfą, z tronem,
Jako kawał kry.

HARFIARZ.

O! biada! biada!

RÓŻA WENEDA.

Okropniejszą rzecz widziałam blada.
Krew podmyła tron i wzięła z sobą.
Król na tronie włosy rwał i rzucał,
A pioruny je paliły w powietrzu.
Lecz nie mówcie nic jutrzejszym trupom.

HARFIARZ.

Cóż wyrzekły wróżby, powiedz, straszna?

RÓŻA WENEDA.

Wczoraj kości warzyłam na polu,
Mózg gotował się w czaszkach człowieczych
I wilgotna kość jęczała na ogniu.
Słuchająca wrzasku tych umarłych,
Pomazałam krwią zamknięte oczy...
I nagle!
Widmo straszne wyszło z ognia do mnie
I zawiodło mnie na walkę duchów.
Słuchajcie!
Wódz dwie głowy miał: wtem jedna głowa
Oczy nagle jako trup zawarła,
Spadła na nią iskra piorunowa;
I ta głowa smętna, już umarła,
Jęła smutnie mówić z drugą żywą,
Aż skry zjadły jak smolne łuczywo
Rozpłakaną tułowu koronę.
I spojrzałam w drugą walki stronę,
Odwróciwszy się jak od gasnącéj głowni
Od półmartwéj osoby.
I tam stali ludzie w szyku, równi,
Równi, zimni, biali jako groby,
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem.

Wtem ktoś cicho wykrzyknął: giniemy!
I tysięcy sześć... nietkniętych żelazem...
Sześć tysięcy bez ducha upadło,
Jakby je kto struł... Nadeszłam z nożem...
Otworzyłam jeden tułów trupowy,
I znalazłem, że w nim serce zbladło
I tak trzęsło się jak liść olchowy:
Więc plunęłam temu sercu w usta
I rozcięłam drugą pierś dla ptaków;
Lecz znalazłam w niéj kłębek robaków
Zamiast serca .. I pierś trzecią rozdarłam
I spojrzałam w nią... lecz była pusta!
I nie było w niéj serca! Jak chusta
Zbladłam we śnie i we śnie umarłam,
Widząc, że w niéj serca nie było!

HARFIARZ

Cóż to znaczy?

RÓŻA WENEDA.

Nad naszą mogiłą
Wejdzie słońce, lecz nie mówcie ludowi.

Dwunastu wodzów wchodzi do groty. Wszyscy różnie ubrani. Jedni na hełmach turze, drudzy jelenie mają rogi, u innych tylko pióro pawie lub czaple. Pancerze z siatki lub z łuski. Miecze olbrzymie w rękach.

RÓŻA WENEDA.

Oto wodze są... Cóż, piorunowi?
Wiele ludu?

WÓDZ.

Dwanaście tysięcy.

RÓŻA WENEDA.

Pijcie z czaszek tych i bladéj śmierci
Urągajcie się, pijąc — niech wyje.

WÓDZ.

Cóż ci mówiły wróżby?

RÓŻA WENEDA.

Jeśli podczas walki
Ojciec mój z harfą złotą na kamiennym tronie
Zagra pieśń, ową straszną pieśń, od trzech pokoleń
Nie słyszaną; to przy nas zwycięstwo.

WÓDZ

Twój ojciec
I harfa jego złota w niewoli.

RÓŻA WENEDA.

Bez wiary!...
Ojciec mój na tronie czarnym stoi
Za swą harfą, jak za słońcem czerwoném.
Każdy harfy ton jak rycerz w zbroi
Na rumaku wybiega szalonym;
Jako rycerz-duch głos każdy leci,
I obala z rumakami rycerzy.
Ile strun, tyle wężów wybieży
Z harfy ojca i oczyma zaświeci,
I skrzydłami ognistymi okręci
Wojsko Lecha.

WÓDZ.

Gdzież wódz jest dwugłowy?

RÓŻA WENEDA.

Nie wierzycie mi, ludzie przeklęci?
Rzućcie czary te w krąg Derwidowy.
W kręgu trupich głów wodza postawię.

WÓDZ.

Nie uwierzym, aż ujrzym oczyma.

RÓŻA WENEDA.

Ty, co nosisz złote piórko pawie,
Migocące od pierwszych błyskawic,
Odwal kamień, ten kamień olbrzyma...
Cóż? nie możesz?... Więc dwanaście prawic
Niech ten kamień odwali... choć ruszy.

WODZE.

Nie możemy.

RÓŻA WENEDA.

Więc rękami go duszy
Ja podniosę... i niech idzie do piekła.

WODZE.

Cudy! słowo zaklęte wyrzekła
I ten kamień wstał.

RÓŻA WENEDA wchodzi, odwaliwszy kamień, do podziemnego lochu i wyprowadza LELUM i POLELUM, przykutych za ręce łańcuchem do siebie.

RÓŻA WENEDA.

I wódz się zjawił.
Patrzcie! łańcuch, co ręce pokrwawił,
Z dwóch uczynił jednego człowieka...

Chodź tu między czaszki, wodzu blady,
Bo już piorun niespokojny szczeka...
Włożę wam zbroję.

Kładzie na czoła braciom dwa hełmy i złączonych razem uzbraja jak jednego rycerza... Tarcza olbrzymia na ręku Lelum zawieszona obu braci zakrywa. Polelum w prawą rękę wolną od łańcucha miecz bierze... Róża Weneda, zawieszając tarczę, mówi do Lelum:

Ty będziesz bronił swego brata tarczą.

Do Polelum.

Ty go zakryjesz miecza błyskawicą...
Biada! kto swego nie dopełni! biada!
Jesteście jednym rycerzem, mścicielem;
A gdy nie będzie was, to jęk żałosny
Przeleci wieki i zwiąże imiona.
Jęk jeden będzie po dwu zgonach waszych;
Po waszych sercach roztrzaskanych w piersi
Jedna zostanie żałość w téj ojczyźnie,
Nierozróżniona, jako w sercu matki...
Krwi! krwi ofiarnéj!

POLELUM.

Weź z mojego łona.

RÓŻA WENEDA.

Tu krwi potrzeba obcéj, z niewolnika.

Wchodzi do lochu i wyprowadza na scenę LECHONA.

To syn królewski. Patrzcie! jaki blady.

LECHON.

Zlitujcie wy się ludzie méj młodości!
Ta grota pełna przerażeń i wasze
Twarze są blade i przygotowane
Do zemsty. Wiem ja, że wy macie prawo
Mścić się nademną i odebrać życie:
Lecz gdyby tutaj była moja matka,
Królowa dumna i sroga kobiéta,
Ona by was tu przekonała łzami,
Że ja potrzebny jestem na tym świecie
Jak słońce, księżyc... jéj i wam potrzebny.
Że wam śmierć moja na nic się nie przyda,
A życie moje jeszcze może zdać się...
Nie zabijajcie mnie, nie zabijajcie!
Król wasz u mego ojca niewolnikiem,

Za syna swego ojciec odda króla;
Za mój włos każdy da wam ziemi włokę...
A patrzcie, jakie ja mam gęste włosy;
Matka je moja nieraz całowała...
Czy tu nikt nie ma matki?... A więc jeszcze
W sierotach większa być powinna litość.

RÓŻA WENEDA.

Krwi téj nie wezmę... za podła. Idź jęczeć!

Wpycha Lechona do lochu.

Czerwieńszą znajdę krew w sercu gołębia.

ŚLAZ wchodzi prowadzony przez dwóch wenedyjskich rycerzy.

Cóż to za człowiek?

ŚLAZ.

Ja tu dobrowolnie
Przychodzę, proszę wierzyć... dobrowolnie.

RÓŻA WENEDA.

Lechitą jesteś?

ŚLAZ.

O! gdyby nie respekt
Dla was, rycerze, i dla téj mocarki,
Wziąłbym pytanie za obelgę. Mówcie
Że ja pies... dobrze; mówcie, że ja sowa...
Dobrze; mówcie, że bocian... doskonale!...
Lecz mówić, że ja Lechita!... mnie?... w oczy!...
Gdybym nie mienił to być uchybieniem,
Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita... Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać in *verba magistri?*
Owczarstwo?... czy to wszystko mam na twarzy?
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą,
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.

RÓŻA WENEDA.

Milcz.

Do Wenedów.

Gdzie pojmaliście tego człowieka?

RYCERZ WENED.

Dążył od strony Lechitów i wiele

Okropnych rzeczy w drodze opowiadał.
On widział króla naszego Derwida
Zamęczonego, siostrę twą zabitą.

RÓŻA WENEDA do ŚLAZA.

Piekielny! kłamiesz.

ŚLAZ.

Klnę się na te czaszki,
Ja sam wrę zemstą, ja sam zemstą płonę;
Dajcie mi w ręce cokolwiek, miecz, rożen,
Pierwszą broń dajcie, a ja mścić się będę.

Szlochając.

Ten król szanowny! ten starzec sędziwy!
Ta niebotyczna królewna!... miecz dajcie,
Jeśli potrzeba wodza — będę wodzem;
Jeśli człowieka tylko trzeba — jestem;
Jeśli tygrysa, adsum; jeśli księdza —
Do usług; jeśli Ganimeda — zgoda.

RÓŻA WENEDA.

Mówisz o zemście?... tu zemsta pod ziemią.

Bierze nóż i wchodzi do lochu, gdzie Lechon zamknięty.

POLELUM.

Lelum, noc bliska.

LELUM.

Umarła — słyszałeś.
Cicho, mój bracie, zda mi się, że duch jéj
Tu, na łańcuchu stoi między nami
I lekką śmierci dłoń na głowy kładnie.
Czy ty nie czujesz umarłéj dotknięcia?
Ona tak pójdzie z nami w bój okropny
I serca nasze przejrzawszy do głębi,
Pogardzi, jeśli serca zadrżą strachem.
O! Lillo! tobie ślubuję dziś duszę!
Ducha ty weźmiesz ulatującego.
O! śmierci! śmierci! krwawéj śmierci Boże!
Jakże to łatwo być odważnym w boju!
Nieszczęśliwego Bóg nie zrobi tchórzem.
Gdzie są harfiarze? niech idą za nami
Z harfy złotymi... nie trzeba harfiarzy!
Umarli lepiéj widzą i śpiewają
Tę pieśń o sercach strzaskanych boleścią,

O ściętych mieczach i zgasłych nadziejach.
Oni jedynie wiedzą, ile warte
Życie człowieka, ile ulatuje
Ludzkiego szczęścia w czerwonych płomieniach,
Które trzaskają ciało bohatera.
Już o umarłych tylko dbam i Boga,
O nic na ziemi.

RÓŻA WENEDA wychodzi z lochu z dymiącym się nożom.

RÓŻA WENEDA.

Patrzcie! nóż czerwony
W sercu Lechona był... patrzcie, czerwony,
Pomażę sobie brwi tą krwią... zobaczę
Dusze umarłych — i wy zobaczycie...
Tam w zczerwienionéj ciemności powinni
Zjawić się krwawi: król harfiarz z dziewczyną;
Lecz kto przemówi do umarłych, skona.

Wchodzi DERWID i LILLA WENEDA.

Widzicie! o! widzicie idą trupy!
Ja wywołałam je z pod ziemi — przyszli.

LILLA WENEDA.

Przyprowadziłam wam ojca z niewoli.
Oto wasz ojciec.

DERWID.

Cóż to? nie poznali?
Posadź mię, córko moja, na kamieniu,
Cóż?... nie poznali!

RÓŻA WENEDA.

Bez harfy przyszedłeś...

DERWID.

Niebiosa!

Zrywając się.

O! ja przyszedłem bez oczu!
Wydarte moje oczy płakać będą,
Jak się dowiedzą o tém. — O! gadzino,
Czy ty się z harfy mojéj urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? Lilla, daj rękę,
Prowadź mnie daléj.

LILLA WENEDA.

Gdzie ojcze?

DERWID

Do wężów,

Które ty pieśnią tak ułaskawiłaś,
Że mi nie będą gryzły serca.

LILLA WENEDA.

Ojcze!

DERWID.

Gadzina córka; gdy mi darto oczy,
Myślałem, że ta córka wydrze oczy
I włoży w moję czaszkę swoje oczy;
A teraz widzę, że mi wydrze serce
I włoży w swoje piersi puste. — Harfo!
Ty jesteś harfą bez strun! czarownico!
Tak witać ojca? Kiedym tu przychodził,
Skakały na mnie psy, wyjąc z radości;
A ty, jako kruk, widząc te czerwone
Oczy, zaglądasz w nie i głodnym dziobem
Wyjadasz mi łzy czerwone, ostatnie.
O! bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie...

RÓŻA WENEDA.

O! bogdaj mię piorun!
Bo ty bez harfy przyszedłeś o! królu!
I dziś upadniesz na stos... bez królestwa.

LILLA WENEDA.

Nie, on zwycięży dziś, bez młodszéj córki.
Ale przez córkę młodszą dziś zwycięży.
Widzisz, płaczący usiadł na kamieniu
I duma jako stary bocian ślepy.
Bądź ty mu córką. Niech kto pójdzie za mną
I złotą harfę przyniesie.

RÓŻA WENEDA.

Co mówisz?
Harfę odzyskasz... jak?

LILLA WENEDA.

Za harfę złotą
Sama się oddam Lechom... i zostanę.

RÓŻA WENEDA.

Więc idź, bo harfa zwycięży.

LILLA WENEDA.

O! siostro,
Jeśli chcesz harfy... i mnie pragniesz widzieć

Żywą... Lechona mi daj niewolnika!
Za mnie królowa wydać obiecała
Harfę — a moje życie da za syna.

RÓŻA WENEDA.

Więc zginęliśmy, bo Lechon zabity.

Do Ślaza.

Kłamco ohydny! rzucić go ze skały.

LILLA WENEDA.

Nie plamcie wy krwią téj godziny smętnéj
I méj śmiertelnéj koszuli... Ten człowiek
Niech idzie ze mną po harfę.

RÓŻA WENEDA.

Co mówisz?
Ty nie odważysz się wrócić do Lecha.

LILLA WENEDA.

O! siostro moja, jam się obeznała
Ze śmiercią; wierzaj, ja wam harfę przyślę,
Mówisz, że harfa ta wam da zwycięstwo?
O! zwyciężajcie i bądźcie szczęśliwi!

Klęka przed ojcem.

Ojcze! błogosław mi — może nie wrócę,
Ale ci lutnię twoję przyślę złotą;
A jeśli jaka struna z najmaleńszych
Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń tryumfu,
Pomyśl, że struna ci ta przypomina
Najmłodsze dziecko i uderz ją ręką,
Niechaj nie płacze.

Wstaje i do Ślaza mówi.

Chodź ze mną, człowieku,
Chodź! chodź! pójdziemy po harfę.

Wychodzi ze Ślazem.

RÓŻA WENEDA

Zwycięstwo!
Ten starzec usnął, córki swojéj płaczem
Ukołysany... patrzcie! Cóż jest ojciec!!!
Nieście śpiącego na tron Derwidowy.
Zwycięstwo! Sto serc ludzkich.. za zwycięstwo!

Wychodzą.

CHÓR. — DWUNASTU HARFIARZY.

O! ileż trzeba ofiar! ile jęku!

Nim zemsty straszna noc jak piorun błyśnie!
Oto zwycięstwa moc w gołąbki ręku;
Tu wodza rąk dwie bratnich łańcuch ciśnie;
Tu król, co jękiem harf zwyciężyć mniema
I głośniéj grać... niż mrący ludzie jęczą;
Tu wróżka z krwią na rzęsach stoi niema
I słucha, jak na mieczach miecze brzęczą;
I widzi strasznych czynów ludzkich końce,
Przeczuwa boży sąd... A gdy noc głucha,
To z wiary mrącym ludziom robi słońce,
Woła piorunów, patrzy, jak biją... i słucha.

*

Akt V.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha oświecona od gęstych piorunów.

LECH, SYGOŃ, ŚWIĘTY GWALBERT.

LECH.

Na koń! straż przednia pierzchła.

ŚWIĘTY GWALBERT.

W imię krzyża
Dajęć zwycięstwo.

LECH.

W czyjekolwiek imię,
Biorę, gdy dajesz; jeśli nie dasz, wydrę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Każ mi dać konia, bo dzisiejszéj nocy
Najświętsza Panna, w celi méj spalona,
Objawi mi się nad najświętszym trupem,
Nad krwią najbardziéj Bogu ukochaną.
Każ mi dać konia.

LECH.

Ha, pioruny biją,
Jakby się walił świat... Straż przednia pierzchła,
Hej! miecz Rolanda...

Wchodzi GWINONA w żałobie.

Moja czarna żono..
Siedź w zamku.. i każ wieżycom na czole

Położyć gwiazdę z ognia;... Ile razy
Pioruny zgasną, a we krwi utonę,
Wypłynę z koniem ku twemu ogniowi.
Pocałuj dzieci... Uśpić je musiało
Parne powietrze.

GWINONA.

Arfon się piorunów
Lęka i płacze.

LECH.

Czy chory?

GWINONA.

Zalękły.

LECH.

Na koń, rycerze, a ty zamknij okna,
Żeby nie wleciał tu na miejsce męża
Piorun czerwony. Lechici, do broni!

Wychodzą wszyscy prócz GWINONY.

GWINONA.

Chodźcie tu, dziewki, bo mi saméj straszno!

Wchodzą dziewice.

Czy która bajek nie umie? niech gada,
Bo mi tak straszno, jak w śmierci godzinę.
Wiecie, że mój syn już pewnie nie żyje,
Ona po harfę ojca nie wróciła...
Pewnie nie żyje mój syn! Ale jeszcze
Ja mam nadzieję... Ach! jak mi okropnie!
Wy także wszystkie jesteście strwożone,
Jak białych stado łabędzi. Téj nocy
Coś okropnego stanie się... Dziewczęta,
Idźcie spać — sama zostanę wam strażą.

Dziewice wychodzą.

W powietrzu jakiś straszny piorunowy
Zapach i dziwne skargi i płakanie,
Jakby się skarżył mój syn opuszczony
I wołał: matko! matko! matko!... ha! ha!

Wchodzi LILLA WENEDA.

Czy syn mój przyszedł z tobą?...

Lilla Weneda odpowiada gestem rozpaczy.

Nie dręcz ty mię,
Ale odpowiedz prosto, że zabity,

A jeśli żyje, odpowiedz, że żyje;
A ja wygryzę twe błękitne oczka
Pocałunkami... O! powiedz, że żyje.
Lecz jeśli? jeśli mój syn?...

LILLA WENEDA.

Ty okropna...

GWINONA, zbliżając się wściekle, lecz zwolna.

Jeśli już?... mój syn... już...

LILLA WENEDA.

Przy bramie czeka...

GWINONA.

Mój syn!

LILLA WENEDA.

Na harfę moję czeka człowiek.

GWINONA.

Harfiarko.

Chwyta ją za szyję.

LILLA WENEDA.

Pani sroga, ty mię dławisz!

GWINONA.

Harfiarko!

LILLA WENEDA.

O! o!

GWINONA.

Krzycz! krzycz krzycz! harfiarko.

Zrywa pas i dusi Lillę Wenedę.

Krzycz, uduszona... A co?... już bez ducha!...
Do mnie, dziewice! do mnie... trup jest ze mną.

Wbiegają dziewice.

DZIEWICA.

Jakie to wrzaski?

GWINONA.

Co?

DZIEWICA.

Tu coś upadło?

GWINONA.

Ten trup.

DZIEWICA.

Okropność! okropność! okropność!

GWINONA.

Okropność... to ja udusiłam wstążką...

Czy się boicie tknąć rękami trupa?
Ha?...

DZIEWICA.

Uduszona?

GWINONA.

Oni mi zabili
Syna...

DZIEWICA.

O! biedne! bielutkie stworzenie!
Cóż ci zawinił biedny gołąbeczek?
Pozwól przynajmniéj, że ją ubierzemy
W srebrną bieliznę, w bławatki, w narcysy;
I zaśpiewamy nad umarłą lament.
O! jak te piersi krąglutkie ostygły!
Jak te nóżeczki zimne zbłękitniały!
Pomóżcie, siostry, wynieśmy ją razem
Z tego pokoju, gdzie przez okna czarne
Ciekawe patrzą błyskawice z krzykiem.
Ostrożnie! nóżki owińcie koszulą;
Ona się do nas uśmiecha... Ostrożnie!

Wynoszą ciało LILLI WENEDY.

GWINONA.

Gdym ją dusiła, dziesięć matek było
We mnie zamkniętych... teraz przerażona,
Że wszystkie we mnie syczące gadziny
Ucichły... jestem jak trup... Co uczynię?
A ha... odeślę Derwidowi harfę.
A sama włożę zbroję... w krew się rzucę...

Wychodzi.

SCENA II.

Pole przed zamkiem LECHA.

ŚLAZ stukając do bramy.

Hej! hej! czy jest tam kto? czy tu pioruny
Wybiły ludzi? czy się pan odźwierny
Powiesił? hej! hej!... pies wyje żałośnie.
Mości psie, proszę, przypomnij królowéj
Że ja tu czekam na harfę... hej! hej! hej!...
Nikogo... tylko psy żałośnie wyją
Jakby tam w kogoś miał uderzyć piorun...

Hau! hau... bogdajbyś zdechł! bogdajcię piorun!
Hau... hau... czy w panu swoim wąchasz trupa?
Czy śmierć kościana ci przeszła pod nosem?...
Brrr... aż mi zimno... Cóż to są za mary?

Otwiera się brama, wychodzą dziewice w bieli z pochodniami, niosąc skrzynię od harfy zamkniętą.

DZIEWICA.

Człowieku!

ŚLAZ.

Jestem.

DZIEWICA.

Oto jest w zamknięciu
Harfa Derwida; odnieś ją i powiedz,
Że dotrzymuje przysięgi Gwinona.

ŚLAZ.

Włóżcie mi, proszę, pudło na ramiona,
Piękne dziewoje.

DZIEWICA.

A śpiesz się, człowieku...

Wychodzą.

ŚLAZ.

Pełno teraz po drogach ludzkiego rozcieku,
A śmierć pod swoję kosę głupich ludzi garnie,
A pioruny jéj świecą z nieba jak latarnie.
To zaś mój święty Gwalbert zowie światłem wieku...

Wychodzi ze skrzynią na ramionach.

SCENA III.

Pole walki, noc błyskawicowa.

LECH i SYGOŃ wchodzą.

LECH.

O! mój Sygonie! to walka olbrzymów!
Pioruny przeciw nam; bo tylko słuchaj...
Już przez szeregi napół wyrąbane
Przelatywałem na wskroś... już oczyma
Sięgałem w samo krwawe serce wrogów,
Już byłem wpadał... tam, gdzie pod dębami
Starce, pochodnie, harfy zgromadzone
Pod skrzydłem siedzą błyskawic, jak owce

W burzę pod gruszą tulące się wiankiem:
Jużem miał w rękach króla... kiedy nagle
Piorun nad głową moją roztrzaskany
Zabił mi konia.

SYGOŃ.

Panie, rzecz straszniejsza!
Spotkałem czarne straszydło dwugłowe...
Spotkałem wodza Wenedów.

LECH.

Czy straszny?

SYGOŃ.

Wódz ten dwie głowy ma na jedném ciele,
Czasem się obie głowy razem schodzą,
I plączą rogi na helmach ogromne:
Czasem się jedna zaiskrzona ciska
Z wściekłością węża na ludzi... a druga
Patrzy spokojnie i szuka oczyma
Serc w naszych piersiach.

LECH.

Za mną! ja go znajdę...

Wybiega.

SYGOŃ.

Włos mi osiwiał... ale tak okropnéj
Nocy za życia mego nie widziałem.
Chorągwie toną we krwi... jednę piorun
Zapalił złotym płomieniem i bladość
Lekkiego ognia rzucił ludziom w twarze...

LELUM i POLELUM wchodzą.

LELUM.

Lech! Lech! Lech!

Napadają na Sygonia.

SYGOŃ.

Wodzu ohydny Wenedów,
Jeśli człowiekiem jesteś, będziesz trupem.

Biją się.

POLELUM.

Zakręć łańcuchem koło niego... i zwiąż.

Gdy Polelum walczy, Lelum obiega w koło Sygonia i okręca mu łańcuch na gardle, tak że Sygon zostaje powieszony na łańcuchu, który łączy ręce bratnie.

LELUM.

Teraz rozbieżmy się, łańcuch udusi.

POLELUM.

Zacharkał... puść go.

LELUM.

Leży uduszony.

Odwijają łańcuch, Sygoń się wali trupem.

Na łuku moim kładź zatrute strzały.
O! gdyby ojca harfy jęk — o! gdyby
Jeden jęk tylko harfy Derwidowéj,
A z wszystkich byłyby — o takie trupy.

Wychodzą.

SCENA IV.

Pole toż samo.

LECH, SYGOŃ zabity.

LECH.

Sygoń! tu do mnie! Sygoń! znów zabiłem
Ludzi dwunastu, miecz mi się wyszczerbił.
Co widzę! Stary Sygoń leży trupem?
O! zemsta! zemsta!

Wchodzi ŚWIĘTY GWALBERT z krzyżem.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Jęki króla słyszę.

LECH.

Zdejm z niego zbroję i zobacz gdzie ranny?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Na ciele żadnéj nie odebrał rany,
Lecz ma zsiniałą twarz jak powieszony,
Albo zabity piorunem.

LECH.

O zemsta
Nad piorunami!...

Wychodzi.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Biedny poganinie,
Chodź, ja dam tobie pogrzeb chrześciański.

Wychodzi, ciągnąc trupa.

SCENA V.

Monument z druidycznych kamieni w lesie. — DERWID na tronie kamiennym, w około dwunastu harfiarzy na dwunastu siedzi komieniach, przy każdym harfa złota i pochodnia w ziemię zatknięta. RÓŻA WENEDA stoi za ojcem na tronie Dąb Derwidowy na prawo.

DERWID.

Cóż, jeszcze nie ma harfy, a ja słyszę
Jęki narodu i szelest płynącéj
Krwi... Jeszcze nie ma harfy — o! Bogowie!

Wchodzi Wened ranny.

WENED.

Przybiegłem ranny. Lechici nas łamią,
Lud czeka pieśni.

DERWID.

O! Boże! o! Boże!

WENED.

Ja konam, królu, graj pieśń... ja umieram.

Pada i kona.

DERWID, wstając na tronie i rwąc włosy.

Pioruny, bijcie we mnie! o! pioruny!
Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!
Królestwo moje, to puch jak te włosy,
Które wiatr bierze z krwią moją wyrwane.
O! wichry, rwijcie mi włosy! o! wichry!

LELUM i POLELUM wchodzą.

LELUM.

Ojcze, giniemy, graj pieśń.

DERWID.

Idźcie skonać,
Ja nie mam harfy.

RÓŻA WENEDA.

Ustąpcie się wszyscy,
Już słyszę harfę idącą, już słyszę...
Uderzcie w tarcze, niech się zejdą wodze.
Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.
A wszyscy, co ją usłyszą, żyć będą,
A wszyscy, którzy nie usłyszą, pomrą.

Wchodzi ŚLAZ z harfą w skrzyni.

ŚLAZ.

Otom się dobrze wam zasłużył, ludzie...
Przynoszę harfę — gdzie postawić?

RÓŻA WENEDA.

Daj tu...
O dąb oparta królewski, niech czeka.

ŚLAZ.

A wam królowa kazała powiedzieć,
Że dotrzymuje przysięgi.

RÓŻA WENEDA.

Precz, wężu!

ŚLAZ.

A to i dobrze, schowam się w bagniska.

Odchodzi.

RÓŻA WENEDA.

Królu! zwycięstwo daj twemu ludowi.

Wchodzi wodzów dwunastu z obnażonymi mieczami, wszyscy krwawi.

Oto są wodze i pieśni godzina,
Ojcze, przy dębie Derwidowym harfa.

DERWID wstaje z tronu i zbliża się do harfy.

O! jak mi serce drży! czy ja potrafię
W złociste struny uderzyć? Już słyszę
Serca bijące w ludziach — gdzie ta harfa?
Czekajcie! Jak mi drży serce; gdzie harfa?
Już czuję w sobie, że wy zwyciężycie,
Jeżeli duszę w pieśń przeleję całą,
A duszę już mam w rękach, tu... jak piorun,
Jak piorun całą ją cisnę na struny
I spiorunuję pieśnią.

Dotyka się omackiem skrzyni harfowéj.

Harfa w skrzyni,
Wenedo, otwórz.

RÓŻA WENEDA zdejmuje wieko ze skrzyni harfowéj i cofa się odciągając ojca za rękę. W skrzyni bowiem zamiast harfy widać umarłą Lillę Wenedę w smiertelnéj koszuli, z wieńcem bławatkowym na głowie.

Puszczajcie do harfy!
Dla czego wy mnie trzymacie za szaty?
Dla czego wstręty czynicie starcowi?
Ja jestem pełny ducha! — ja się wyrwę
I ta pieśń moja będzie nieśmiertelną.

Wyrywa się z rąk córki i kładzie ręce na twarzy zmarléj Lilli Wenedy.

Cóż to? rzecz jakaś zimna... to nie struny.
Ja pod palcami mymi czuję trupa.

Co to jest? o! to nie harfa... to ciało
Mojéj umarłéj córki.

Chwila milczenia. Róża Weneda chce ojca odprowadzić od ciała zmarłéj, starzec nie daje się córce.

Precz, gadzino!
Tu moja tamta córka... tu, tu w trumnie.
O! o! umarła! — Czekajcie! czekajcie!
Bo tu jest także pieśń, te złote włosy,
Na których będę grał. — Ja ciebie widzę!
Dzieweczko moja, widzę!... o! ja znajdę
Twoje usteczka... O! nie odrywajcie,
Nie odrywajcie wy mnie od niéj, proszę!
Nie odrywajcie.

RÓŻA WENEDA.

Cóż to, nie słyszycie
Téj pieśni z łez królewskich? idźcie skonać!

DERWID.

O! o! gołąbek mój martwy! o! martwy!
O! już na wieki martwy.

HARFIARZ.

Ojciec płacze.

DERWID.

Ja ciebie widzę, córko! twoja postać
Stoi mi w jamie, tu, powydzieranych
Oczu. — Ja ciebie widzę w grobie głowy.
O! gwiazdeczkami ukoronowana
W pachnącym cedrze, lampo pełna blasku.
Wychodzisz z rączki otwartymi... O! o!
Tu! czy widzicie? tu śmieje się płacząc...
Umarła moja, najmilsza umarła!
Moja jedyna!

RÓŻA WENEDA.

Wiedziałam ja dawno,
Na jaką zwołam was pieśń, potępiony
Ludu przez Boga... już dawno widziałam
Na waszych czołach napisane krwawo
Życie trzydniowe... Cóż!... czemu tak bladzi?
Któż tu jest kłamcą? los? czy ja? czy rozpacz,

Która niechcących umrzeć oszukała?
Gołębie serca! o! jak wam leniwo
Do kończącego wszystko grobu!... Trzeba
Was było wszystkich oszukać i śmierci
Pędzić, jak białą trzodę owiec, w gardło.
Nie dosyć jeszcze?.., o! wy moje włosy
Wyrwane, w garść się wężów przemieniajcie
I dla strupiałych ludzi bądźcie biczem!

PIERWSZY Z WODZÓW.

Wróżko! przyrzekłaś nam zwycięstwa harfę.

RÓŻA WENEDA.

Ja ci przyrzekłam? co?... Chodź tu i patrzaj!
I ty myślałeś, że więcéj jest głosu
W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
Gdzież taka harfa jak ten trup? Gdzie takie
Tony żałosne, jak płacz tego ojca,
Co w rękach córki rozwija warkocze
I szuka w nich, jak w strunach drżących, głosu?
O! przysięgnijcie wy na nią, rycerze,
Że się pomścicie... resztę zdajcie gromom
I późnéj zemście czasu... przysięgnijcie!

WODZE.

Zaprzysięgamy zemstę... aż do śmierci.

Wychodzą.

LELUM, calując zmarłą siostrę.

Na ustach twoich, siostro, zaprzysięgam,
Że zobaczymy się dziś. O! Lechici!..

DERWID dobywa z zanadrza nóż ofiarny i mówi, przebijając się dwa razy.

Synowie! o tak — o tak — w Lecha serce...

Pada martwy.

RÓŻA WENEDA.

Tam stos na prawo... Weźcie te dwa ciała
I spalcie razem, a w około stosu
Trzymajcie urny z królów popiołami;
Jeśliby który Lechita szedł gwałtem
I chciał ze stosu porwać ciała święte,
To wy go tymi urny przywalicie.

Harfiarze biorą urny i pochodnie. — Czterech zaś kładą na barki ciało DERWIDA i LILLĘ WENEDĘ w skrzyni cedrowéj i wychodzą. — RÓŻA WENEDA obraca się do LELUM i POLELUM i mówi.

Tu na tronowém kamieniu ułożę
Stos z pachnącego drzewa... Czekam na was...

LELUM, POLELUM wychodzą walczyć, RÓŻA WENEDA odchodzi w głąb lasu.

SCENA VI.

Pole walki. — Noc. — Burza.

LECH wchodzi.

Złamani!... Tych psów wycinać do reszty!
Cóż to za rycerz?...

Wchodzi GWINONA w zbroi.

GWINONA.

Jam się uzbroiła
Mścić się za mego syna! mścić się jeszcze.

LECH.

Można ich teraz rąbać jak barany...
Zupełnie ducha stracili ci ludzie.
Stracili ducha o saméj północy
I odtąd rąbią ich nasi jak trzodę.

GWINONA.

Harfiarza! ja chcę harfiarza!

LECH.

Ostrożnie,
Bo przy nim musi być ludzi ostatek.

GWINONA wychodzi. — ŚWIĘTY GWALBERT wchodzi.

A ty co robisz?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ja chrzczę niedobitych.
Aż mi się Matka Chrystusowa zjawi...

LECH.

Chcialbym napotkać dwugłowego wodza
I ofiarować życie potworowi,
Byleby chodził za pługiem.

Wychodzi.

ŚWIĘTY GWALBERT.

A ja tu
Siądę na kępie... Kto noc taką widział,
Ten wie, co waży świat... co warci ludzie...
Litośniejszymi są pioruny złote,
Bo tylko sosnom serca rozdzierają.
Na toż to matkom dzieci swe hodować,

Aby z nich były kiedyś takie jatki?
Każdy trup tyle wart, ile kosztował;
Spytasz się matki, niech oceni trupa,
Zlękniesz się... gdybyś zapłacił, co mówi;
Mogłaby kupić za zmarłego syna
Żywe królestwo, gdzie są miliony
Synów i matek...

ŚLAZ pokazuje głowę z po za kępy.

ŚLAZ.

Prześwięty Gwalbercie!

ŚWIĘTY GWALBERT.

A co tu robisz, Ślazie?

ŚLAZ.

Grzęznę w błocie.

ŚWIĘTY GWALBERT.

A jakże ty się tu znalazłeś?

ŚLAZ.

Święty!
Wprzód mię wyratuj za uszy, bo tonę,
A potem twoje zaspokoję uszy...

ŚWIĘTY GWALBERT.

Łajdaku, ty mi spalił celę.

ŚLAZ.

Nie ja,
Dyabeł ją spalił... jam cię, ojcze, szukał,
Aby się tobie na dyabła poskarżyć...

ŚWIĘTY GWALBERT.

Dziś odkupienia noc... Gapiu, chodź ze mną.

ŚLAZ.

Teraz do śmierci będę księżym sługą.

Wychodzi.

SCENA VII.

Inna część pola.

LECH wchodzi.

Zabiłem wodza pół...

GRYF wchodzi.

Gdzie Lech?

LECH.

Co słychać?

GRYF.

Małżonka twoja, panie, leży trupem.

LECH.

Zabita?

GRYF.

Panie! okropnie zabita,
A tém okropniéj, że już lud Wenedów
Bezbronny, miecze rzucając, uciekał...
Kiedy królowa, obaczywszy wzgórze
I płomień wielki, czerwony, i wieniec
Czarnych postaci przy płomieniu krwawym,
Krzyknęła: Derwid tam musi być stary;
I z obnażonym mieczem szła na górę.
Wtenczas ci czarni stojący przy stosie,
Na którym dwoje paliło się trupa,
Chwycili urny pełne dawnych prochów
I na królową, co się skał imała,
Rzucili z góry straszne popielnice.
Przybiegłem... ona leżała okryta
Prochem i ludzi umarłych kościami
Z piersią okropnie roztrzaskaną...

LECH.

Biedne me dziatki... będą pytać o nią.
Patrzaj, nie mogę teraz płakać... krwawy.
Nieście do zamku zwłoki nieszczęśliwéj
I każcie obmyć z ludzkiego popiołu.

Wychodzą.

SCENA VIII.

Monument druidyczny. — Stos ułożony w miejscu, gdzie stał tron Derwida.

RÓŻA WENEDA sama.

Już lud wyrżnięty i ustaje burza.
Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie;
Teraz dwanaście tych pustych kamieni,
I tak na wieki już! i tak na wieki!

Wchodzi POLELUM, niosąc na rękach ciało zabitego brata, jeszcze przykute doń łańcuchem.

I cóż, nie mówisz nic do mnie, Polelum?

POLELUM.

O! patrz, zabity brat na piersiach mi śpi.

RÓŻA WENEDA.

Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma?

POLELUM.

Nie rusz łańcucha... Gdzie stos dla umarłych?

RÓŻA WENEDA.

Masz zgliszcze, burza zgasiła pochodnie.

POLELUM.

Poszukaj ognia.

RÓŻA WENEDA.

Ogień dadzą chmury.

Polelum wchodzi na stos z trupem brata.

POLELUM.

Jam gotów... pieśnią zawołaj piorunów.
O! śpij na piersiach moich, bracie blady.
Wszystko skłonione do snu na tym świecie.
Wróżko, zawołaj piorunów; jam gotów...

RÓŻA WENEDA.

Podnieś do nieba rękę z ręką trupa.
Wołajcie oba gromów — łańcuchami.

Wchodzi LECH.

LECH.

Stójcie, poganie! przynoszę wam życie.

Wchodzi ŚWIĘTY GWALBERT.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Stójcie, poganie! przynoszę wam wiarę.

POLELUM.

Życie i wiarę?!... Boże! patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego... patrzaj na tych ludzi,
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska?
I przyszli, kiedy mój lud cały skonał!
I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje!
I przyszli, kiedy niebo oświecone
Łunami stosów, gdzie się palą trupy!
I tu mi dają życie. O! stworzenia!
Czuję nad wami w sercu wielką litość
I wielką wzgardę! O! nie pozwól, Boże,
Aby grobowiec mój był na téj ziemi,
Gdzie oni żyją. — Chmury! czarne chmury,

Co uciekacie z nad trupiego pola,
Ostatnie miecąc pioruny... o! chmury!
Podnoszę do was tę rękę w łańcuchu,
Z tą drugą ręką mego brata trupa;
Obie te ręce i ten łańcuch proszą
O piorun jasny, litosny, ostatni...
Cóż! nie słuchacie?... Więc tą ręką trupią
I tym łańcuchem wyzywam do walki
Was, napełnione piorunami burze,
Aż prośbą piorun wasz niewywołany
Wydrę przekleństwem!

Piorun bije w stos i drzewo zajmuje się złotym płomieniem. — Lelum i Polelum znikną w blasku. — Powoli nad gasnącym stosem ukazuje się postać Bogarodzicy.

ŚWIĘTY GWALBERT, pokazując na zjawienie.

Ave, Nieśmiertelna!

LECH.

Cudowne widmo w obręczu z płomyków.

RÓŻA WENEDA, wchodząc na stos zagasły, grzebie w popiołach, znajduje łańcuch próżny, którym przykuci byli do siebie Lelum i Polelum, i rzucając go pod stopy LECHA, mówi.

Patrz! co zostało z twoich niewolników.

Około 1839.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

	Str.
Mazepa	1
Balladyna	83
Lilla Weneda	231

W BIBLIOTECE POWIEŚCI,
PODRÓŻY, PAMIĘTNIKÓW I OPOWIADAŃ HISTORYCZNYCH
wyszły następujące dzieła:

Hr. de Camors Feuillet. — **Klemencja**, powieść hiszp., Caballero. — **Klub Pickwicka** p. Dickensa, z ang. — **Poświęcenie kobiety**, Berthoud. — **Niccolò de' Lapi**, powieść hist. d'Azeglio. — **Pomniejsze powieści**, Hohol. — **Opactwo Carrow**, J. F. Smith. — **Dygnitarze**, romans, Pablo de los Rios. — **Piękna Pani**, J. I. Kraszewskiego. — **O Zmroku**. W. Collins. — **Synowie Barona**, K. Goeransson. — **Na Cmentarzu na Wulkanie**, J. I. Kraszewski. — **Żona męża próżnego**, Z. M. Schwartz. — **Rina**, romans włoski, W. Berszezio. — **Przeznaczenie**, K. Enault. — **Wojewodzic**, Gryzon — **Czarny Matwij**, W. Łoziński. — **Kto chce kochać** cierpieć musi, K. Reade. — **Powieści**, K. Pieńkowski. — **Zmierzchy i świty**, T. Szumski. — **Boleść i Radość** J. F. Schmith. — **Na dwóch krańcach**, P. Wilkońska. — **Skazaniec**, C. Reade i D. Boucicault. — **Panna czy Pani?** W. Collins. — **Czarna ręka**, C. F. Ridderstadt. — **Pamiętniki Daniela**, J. Tretiak. — **Angiola Maria**, J. Carcano. — **Namiętności**, Z. M. Schwartz. — **Straszna gospoda**, H. Smyth. — **Powołanie**, P. z L. Wilkońska. — **Rok zamęźcia**, F. Carlen. — **Rienzi**. Ostatni trybun rzymski, L. Bulwer. — **Burzyk**. Powieść z nad jeziora F. W. Hacklaender. — **Talizman**, H. Consciense. — **Dwie Matki**, Z. M. Schwartz. — **Kapryśna kobieta**, E. Carlen. — **Wdowa i jej dzieci**, ze szwedzkiego. B. R. — **Powieści pomniejsze**. K. S. Bodzantowicz. — E. F. Carlen. **Bracia mleczni**, powieść. — Yonge. **Dziedzic z Redclyffe**, przekład Marji J. — Dr. Antoni J. **Opowiadania historyczne**. — F. Gerstäcker. **Regulatorzy w Arkanzas**, powieść amerykańska z niem. — Sędzimir. **Księżniczka z gminu** powieść z prawdziwych zdarzeń. — W. Harrison Ainsworth. **Crichton**, powieść angielska. — **Szeroki swiat**, pow. ang. F. Wetherell. — **Złoty Człowiek**, powieść z węgierskiego, M. Jokaja, przeł. A. Callier. — **Przyszłość Gertrudy**, Z. M. Schwartz, ze szwedzkiego. — Dr. G. Ebers, **Córka króla egipskiego**, powieść, z niemiec. przez P. Wilkońską. — Carlen, **Róża z Tistelenu**, powieść ze szwedzkiego. — H. Stanley, **Jak odszukałem Livingstona**, podróż, podług H. Loreau. — Maurycy Jokay. **Moje, Twoje, Jego**, powieść, przekł. A. Callier. — **Pamiętnik Jana Chryzostoma z Gosławic Paska**, z czasów Jana Kazimierza. Michała K. Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego (1656—1688.) — **„Jan z Tęczyna"**, powieść historyczna, J. U. Niemcewicza. — Z. M. Schwartz. **„Pan z rodu i kobieta z gminu,"** powieść ze szwedzkiego, 3 tomy. — **Charaktery osób historycznych**, podług J. Scherra. — **Amerykanin**, powieść H. James, z angielskiego, A. C. — **„Korsykanka"** **„Dwaj bracia"** Powieści, M. Z. Schwartz, ze szwedzkiego. — **Kłopoty starego komendanta**, przez A. Wilczyńskiego, 3 tomy. — **Błękitna książeczka**. — Dr. Antoni J. **Gawędy z przeszłości**. 2 tomy. — A. B. Edwards. **Tysiąc mil na falach Nilu**, z angielsk p. hr. A. D., 2 t. — **Rubin wezyrski** powieść, W. Przyborowski.

BIBLIOTEKA NARODOWA
128605
I.7
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005088168